

Maciej Guzek

TRZECI ŚWIAT

Agencja Wydawnicza

RUNA

TRZECI ŚWIAT

Copyright © by Maciej Guzek, Warszawa 2009

Copyright © for the cover illustration by Tomasz Maroński

Copyright © 2009 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2009

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Ewa Guttmejer

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2009

ISBN: 978-83-89595-58-4

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Pamięci Ryszarda Kapuścińskiego

*Zamierzam mówić o baśniach,
choć zdaję sobie sprawę z tego,
jak ryzykowne jest to przedsięwzięcie.*

„O baśniach”, J.R.R. Tolkien

Spis treści:

CZEŚĆ PIERWSZA - W drogę!	7
Sobota, Warszawa	8
Warszawa - Poznań	8
Mężczyźni w mundurach	10
Kwatera Królikarni	11
Przejście	14
CZEŚĆ DRUGA - Biała Wieża	16
Fotografia 1 - Niebo	17
Ze zbiorów (1) - Róg jednoroźca	18
Ze zbiorów (2) - Rękawica	21
Z notatek (1) - O znaczeniu meteorologii	23
Szkic nr 1 - Mapa	27
Filmy (1) Ulica	28
Z notatek (2) - Dwór	31
Z notatek (3) - Niektórzy mówią, że on tu jest	34
Z notatek (4) - Wróg	34
Z notatek (5) - Tak, tak, nie, nie	37
Z notatek (6) - Miejsce na ziemi	38
Z książek - O upadku światów	39
Fotografia 2 - Grypping	41
Fotografia 3 - Przewodnik	45
Z notatek (7) - Historia miasta Lond	48
Z notatek (8) - Wyjazd	52
Z notatek (9) - Twarze czarownika	53
Fotografia 4 - Fabryka	55

CZEŚĆ TRZECIA - Pogranicze.....	60
Fotografia 5 - Gniazdo.....	61
Fotografia 6 - Ciężarówka.....	68
Filmy (2) - Sławmy możnego Adamira.....	70
Fotografia 7 - Polana.....	73
Fotografia 8 - Pustkowie.....	75
Z nagrań (1) - Lond.....	75
Ze zbiorów (3) - Mucha.....	78
Fotografia 9 - Klatka.....	80
Szkic nr 2 - Kaplica.....	82
Fotografia 10 - Skalniki.....	85
Z notatek (10) - Architektura zbrodni.....	88
Ze zbiorów (4) - Kamyk.....	90
Z nagrań (2) - O sztuce przeczekania burzy.....	90
Ze skóry - Blizna.....	91
Szkic nr 3 - Kolumny.....	92
Z notatek (11) - Targ na Moście.....	94
Z kart - W Maga!.....	95
Z pamięci - Spojrzenia.....	98
Z nagrań (3) - Trzeci Świat_nagranie_9aud.....	99
CZEŚĆ CZWARTA - Południe.....	102
Szkic nr 4 - Twarz.....	103
Ręka.....	104
Szkic nr 5 - Plan miasta.....	107
Ze zbiorów (5) - Woalka.....	116
Fotografia 11 - Wieżowce.....	122
Szkic nr 6 - Pułapka.....	125
Fotografia 12 - Wylęgarnia.....	132
Z notatek (12) - Ci, których nie zdążę spotkać.....	137
Z notatek (13) - Instrukcja postępowania.....	142
Szkic nr 7 - Łowca.....	148

Z nagrań (4) - Helikopter	151
Ze zbiorów (6) - Woreczek po kawie	155
Z notatek (14) - O społecznościach Południa	157
Z notatek (15) - Zapiski luźne	160
Ze zbiorów (7) - Pestki.....	164
CZEŚĆ PIĄTA - Czarownik	168
Zza okna - Miasto, którego nie ma	169
Fotografia 13 - Lustro.....	172

Część pierwsza

W DROGĘ!

SOBOTA, WARSZAWA

„Zamykają Trzeci Świat!”, usłyszałem.

Uwaga rzucona w biegu, w pośpiechu, redaktor naczelny przemierzał boksy, pokrzykiwał, zdawało się, że pracuje w kilku trybach aktywności jednocześnie. Jak on to potrafi opanować? Dopalacze z którejs z Legend?

- Zamykają Trzeci Świat - powtórzył, i mimo że był jeszcze daleko, grzął w płataninie boksów, a kilka spojrzeń powędrowało w jego stronę, wiedziałem, że mówi do mnie.

Kto zamyka, kiedy, dlaczego - dowiedziałem się krótko potem.

Zamykają Trzeci Świat.

Serce załomotało żywiej, ciało od kilku miesięcy gnuśniejące w boksie poczuło przypływ adrenaliny, ustąpił - tak charakterystyczny dla biurw - ból pleców. Dusłem się w tych boksach, w tym labiryncie ze sklejki, drewna, pleksiglasu, pełnym ludzi zamienionych w szczury - i to nie przez żaden czar, lecz przez całkiem zwyczajną i niemającą w sobie niczego nadprzyrodzonego chciwość! Przywykłem do szerszych przestrzeni niż dwa metry kwadratowe, prawie czułem, jak wapnieją mi kości, a na każdy kolejny dzień spędzony w redakcji, licząc od chwili powrotu z ostatniej wyprawy, patrzyłem jak skazaniec odsiadujący niezasłużenie wysoki wyrok.

Kiedy więc usłyszałem te kilka słów, kiedy zobaczyłem minę szefa, wiedziałem już - jadę.

Jadę!

WARSZAWA - POZNAŃ

Droga z Warszawy do Poznania zabrała mi dwadzieścia minut. Ile razy tak podróżowałem? - zestaw znanych czynności, wejście do terminalu, przejście pomiędzy dwoma Światowidami - zawsze, kiedy je mijam, mam dziwne odczucia, czuję mrowienie. Wiem, że gdzieś tam, na płaszczyźnie, którą trudno zrozumieć, dokonuje się skanowanie, że te cztery gęby i cztery pary oczu potrafią zajrzeć pod podszewkę twojej duszy i jeśli uznają, że intencje badanego nie są czyste - nie przepuszczą. Czułem więc mrowienie, mimo że samo przejście

trwało ułamek sekundy.

Poza tym byłem podekscytowany. Przejście przez sam portal też nie trwa długo, na mgnienie oka zapada czerń, potem człowiek otrzymuje potężne uderzenie chłodu, i zaraz z tego chłodu i z tej ciemności wyłania się drugi brzeg - Poznań. To w ogóle trudno nazwać podróżą, bo wzmiankowane dwadzieścia minut zajmują rozmaite czynności administracyjne, sprawdzanie, oczekiwanie w kolejce (Poznań i Warszawę łączy tylko jeden portal, więc zawsze przy nim rojno, zawsze tłok). Samo przebycie drogi do miasta Przemysła to drobiazg, tyle co nic, mrugnięcie.

Mimo wszystko za każdym razem byłem podekscytowany. Podróż bowiem - to nie czas trwania, to nie odległości.

Podróż to stan ducha.

A Poznań, jak zwykle, to tylko stacja przesiadkowa. Tam zaś, dokąd zmierzałem, nie wszyscy mieli wstęp. Mamy, teoretycznie, w Polsce gospodarkę rynkową, ale gdzie zarobek jest naprawdę wysoki, zawsze pojawia się jak najbardziej widzialna ręka rządu. Często ta ręka bywa silnie uzbrojona, nieprzyjazna i zachłanna. Strzeże tajemnic, patentów, strzeże dostępu do bogactw, dzięki któremu Polska znajduje się na szczycie światowej gospodarki, strzeże dostępu do Legend.

A w Legendzie, obranej przeze mnie za cel podróży, bogactwa, jak słyszałem, było sporo. Szły stamtąd na Ziemię transporty wszelakich surowców, przywożono artefakty magiczne, delegowano ręczną produkcję do ezoterycznych stref ekonomicznych, czyli ESE, w których nie obowiązywały żadne uciążliwe normy jakości, standardy ISO, dyrektywy dotyczące czasu pracy, prawa człowieka.

Czy elfom przysługują prawa człowieka? Albo ogrom?

Trzeci Świat.

Miałem okazję widzieć już niejedno, to przecież nie pierwsza moja podróż na Drugą Stronę Lustra, ale tej Legendy wcześniej nie odwiedzałem. Reporterów wpuszczano tam niechętnie. Chociaż nie, to eufemizm - poza kilkoma koncesjonowanymi objazdówkami, podczas których władze pokazywały tylko to, co chciały, reporterów nie wpuszczano tam w ogóle.

„Wyjątek”, powiedział Stary.

Stary był naszym naczelnym i w zasadzie nie był wcale stary. To raczej na mnie powinno się tak mówić, ja i on to przecież ten sam rocznik, a na dodatek on siedział na Ziemi, a ja... - cóż, w odwiedzanych przeze mnie uniwersach czas płynął rozmaicie. Teraz, mierząc zegarem biologicznym, dzieliło nas jakieś dziesięć lat różnicy. Zmarszczki wokoło oczu, ogorzała twarz

i zarysowująca się łysina dobitnie wskazywały, że ja w tej kalkulacji wypadałem zdecydowanie mniej korzystnie.

- Wyjątek - powtórzył Stary. - Specjalnie dla ciebie. Jesteś gwiazdą, zwłaszcza po tym, jak sam jeden przeszedłeś Asgaard.

- Ile mam czasu?

- Naszego? Dwa tygodnie - mruknął. - A lokalnego? - Zajrzał do notatek. - Sześć i pół miesiąca.

Poza tą informacją nie potrafił mi wiele powiedzieć - ot, szczegóły dotyczące lokalnych warunków (bardzo ciekawe): studium uwarunkowań magicznych, informacje o religii, społeczeństwie, geografii. Wszystko to i tak wchłonałbym w chwili przejścia - kiedy cywil przechodzi na Drugą Stronę, rzucają na niego czar adaptacyjny, język i zestaw rudymenarnych informacji przyswaja się automatycznie. Stary nie potrafił jednak wytłumaczyć jednego.

Zamykają Trzeci Świat. Tak.

Ale dlaczego?!

Dlaczego?

MEŃCZYŹNI W MUNDURACH

Teraz w Europie nieczęsto widzi się mężczyzn w mundurach - kontynent od wielu lat jest spokojny, a od kiedy Polska uzyskała bezwzględną supremację dzięki nowym technologiom militarnym, sprowadzonym z Legend, o żadnym poważnym konflikcie nie może być mowy. A mimo to przywitali mnie oni.

Wojskowi.

Na plecach i brzuchu naszyte koraliki, ułożone we wzory ezoodporne, szybki hełmów skonstruowane z tworzywa pozwalającego widzieć ektooplazmę, dwulufowa broń (dolna lufa przeznaczona na srebrne pociski), ponure miny - które wydają się stałym atrybutem żołnierzy, niezależnie od tego, jaka to armia, jaki to kraj, jaki to świat (czy zaświat).

I literka K na piersi, noszona z dumą, symbol przynależności do elity, ich dumą, ich tożsamość, ich życie.

Królikarnia.

Prócz wymienionych wcześniej cech wojskowi mają jeszcze i tę - chyba dominującą - że są małomówni. W rezultacie miałem okazję zamienić ledwie kilka słów z oficerem.

- Zamykają - przyznał, kiwając głową, po czym, na pytanie „dlaczego”, wzruszył tylko ramionami. Nie mógł mówić - nawet gdyby chciał. Ale miałem wrażenie, że jakiś szczegół w jego twarzy, grymas, spojrzenie czy blizna - w nich kryła się odpowiedź. Wtedy jej nie zrozumiałem.

Dopiero później.

Samochód, zwykły, niepozorny, mknął szybko z terminalu (zlokalizowanego w ścisłym centrum, niedaleko Starego Rynku, w wielkiej hali starej gazowni, którą odrestaurowano, przerabiając na dworzec ezoteryczny) do terenów, gdzie przyczaiła się najważniejsza z instalacji wojskowych Rzeczypospolitej.

KWATERA KRÓLIKARNI

Niewiele widziałem.

Wiem, rzecz jasna, gdzie mieści się kwatera główna, nie sposób tego ukryć, wiedza tego typu rozchodzi się w Polsce lotem błyskawicy, a w im większej się będzie trzymało coś tajemnicy, tym większa liczba ludzi się dowie. Wszyscy więc potrafiliby pokazać, gdzie się Królikarnia mieści.

Trafić tam - to zupełnie inna sprawa.

Wyjeżdża się zatem drogą na Katowice - droga to szeroka, pozbawiona kompleksów z pierwszej dekady XXI wieku w stosunku do dróg w innych krajach Europy, wielopasmowa. Suną po niej również pozbawione kompleksów samochody, w większości nowe, jak spod igły, najlepsze modele, arcydzieła techniki. Ta droga, jej oświetlenie, systemy elektronicznego prowadzenia ruchu, te lśniące pojazdy odzierają podróż z mistycznych uniesień, jakie winniśmy czuć, gdy zbliżamy się do jednej z największych tajemnic naszego świata. Owszem, tajemnica została oswojona, udomowiona, mieszka z nami już z górą dwadzieścia lat - lecz nadal nikt jej nie wyjaśnił, nikt nie zrozumiał. Co najwyżej przyzwyczailiśmy się.

Magia.

Otoczony przyciemnianymi szybami, zamknięty w lśniących karoseriach, obudowany ciekłokrystalicznymi ekranami reklamowymi na poboczach, człowiek nie jest w stanie uwierzyć, nie jest w stanie się otworzyć.

Może na tym właśnie polega ich sekret? Bo nagle - choćby siedziało się z nosem przyklejonym do szyby - droga się gubi, zjazdy wiją się podejrzanie długo, tracimy orientację i

oto tłuczemy się wąską, dziurawą ścieżyną, pośród dziwnych lasów, strzeliste drzewa przysłaniają słońce, dziwimy się, skąd dookoła dęby, lśnią w słonecznych promieniach białe sieci pajęczyn, cicho, brak innych samochodów. A przypomnieć sobie, który to był zjazd, jaki drogowskaz się widziało, gdy nasz wóz odbił z głównej drogi, a utrwalić w pamięci jakies punkty charakterystyczne - nie sposób.

Mimo że pokonywałem tę drogę wielokrotnie.

Sama baza Królikarni też jest okryta tajemnicą, podział na strefy dostępu, co krok kontrole, komory, bariery zwane Bielmami (moje upoważnienie sięgało niedaleko, ot, co najwyżej tyle, by wyjść z budynku, popatrzeć na ten nieustanny ruch, na glizdy baraków, pokrytych zimnym, niezemskim metalem). Rzecz jasna nie wszystko widać, wojsko strzeże swych tajemnic skrupulatnie, poziomy tajności są różne i tylko wysocy rangą oficerowie mogą przenikać wszystkie Bielma. Lecz nawet ja, choć nie mogę dostrzec tego, co zostało zamaskowane inkantacją i mocą artefaktu, chociaż moje oczy nie widzą przez Kurtyny - mam pewne spostrzeżenia i wynoszę pewną wiedzę. Rzecz w tym, by spoglądać na ludzi, by śledzić grymasy ich twarzy, urywki rozmów, rozpoznając, czy są rozluźnieni, zdenerwowani czy ponurzy.

A tych ponurych - tak się składa - w oczekiwaniu na transfer do Trzeciego Świata spotykam najwięcej.

Wychodzą na moment z Bielma, niknąc w kolejnym, są szarzy, przygaszeni, odmienieni, często można spotkać takich, którzy wcale nie wyglądają jak ludzie, a o tym, że należą do Królikarni świadczą jedynie mundury, inni znów powierzchowność mają człowieczą, ale są nadzy, bełkoczą w rozmaitych niezemskich językach, widać na ich ciele odmrożenia, poparzenia, brak skóry. Pewnego razu, gdy wyszedłem przed barak - moje tymczasowe więzienie - i spoglądałem na dziedziniec, mignął mi korowód podłużnych metalowych skrzyń, pokrytych znakami krzyży, łacińskimi sentencjami i rysunkami czaszek. Kufry płynęły w powietrzu, obok nich podążali szybkim krokiem mnisi, rozsiewając dym z kadzideł, szemrząc modlitwę i co chwila nerwowo spoglądając na sunące pojemniki. Widok trwał krótko, ledwie kilka sekund i mogłoby się wydawać, że to tylko przywidzenie, majak (w rzeczywistości musiało to być przerwanie pomiędzy Bielmami).

W tym momencie zrozumiałem, że sprawy w Trzecim Świecie idą nie najlepiej. Skrzynie. Kufry.

Trumny.

Jednak ładunki zmierzały w obie strony - do Legend szli dziarskim krokiem nowi rekruci, śniący o przygodach, jakich nie doświadczą na Ziemi, szła żywność (nasi chłopcy powinni mieć dostęp do wszystkiego, o czym zamarzą), szedł wreszcie różnoraki sprzęt - całe kontenery, całe sznury kontenerów. Ezoportu towarowego nie strzeżono zbyt pilnie (większość transportów to w końcu zwykła cywilna produkcja, towary, sprowadzane z Drugiej Strony, trafiające na globalny rynek), chodziłem tam więc, przyglądając się ładunkom, rozładunkom, patrzyłem, jak kolejne skrzynie znikają pomiędzy wysokimi słupami, lub też widziałem, jak z nicości wyłaniają się jeden za drugim ciągniki siodłowe, wjeżdżając na rampy prowadzące do komór, w których już czekali celnik z zakonikiem, gotowi dokonać legalizacji ładunku. Przypominało to obserwowanie niezwykle dużego, kipiącego życiem portu morskiego, z tą wszakże różnicą, że nie było tu statków, nie było morza, żurawi nabrzeżnych i mew kołujących nad statkami. Były za to kruki, wielkie czarne plamy nad terminalem.

Raz, spacerując tak wzdłuż ogrodzenia Ezoportu 1, spostrzegłem, że ptaszyska, siedzące dotąd na gałęzi dębu przy drodze dojazdowej do terminalu, zrywają się do lotu, najwyraźniej czymś spłoszone - choć ja niczego nie mogłem dostrzec. Musiało to być kolejne Bielmo, nie więc nie zobaczę, pomyślałem, lecz mimo to, wiedziony ciekawością, postąpiłem kilka kroków bliżej - nadal nic, w warstwie wizualnej zabezpieczenie nałożono perfekcyjnie. Za to w warstwie dźwiękowej...

- Dawaj, dawaj, jeszcze...!
- A co to za landara? Gdzie to ma iść?
- Na Trzeci, na Trzeci. Będzie jeszcze kilkadziesiąt sztuk.
- Kilkadziesiąt? O ja pier...

Rozmowę na moment zagłuszył ryk silnika, chrzęst kół, dźwięki hydraulicznych podnośników, ale maszyna (najpewniej wielki, osiemdziesięcotonowy ciągnik siodłowy) po chwili przejechała, a ja znów usłyszałem rozmawiających.

- Zrobią im tam, kurwa, prawdziwą zimę z dupy. Zimą z całego świata. Prawdziwą jazdę. Tyle głowic...

- To dopiero początek, mają rzucić następne, kończą budowę kolejnych silosów, o, widzisz te worki, te palety, te kontenery? Wszystko w nich jest, elektronika, cement, całe gotowe elementy konstrukcji. Portal zapchany ładunkami, opóźnienia mamy, nawet osób nie przepuszczają, kolejka się zrobiła.

- Ale, kurwa, dlaczego? Dlaczego aż tyle?
- Posrało się tam, kochanieńki, posrało się kompletnie, dziś nad ranem portal znów wypuł trzydziestu naszych, zapuszkowani, zimni, sztywni, tylko klechy przy nich teraz

odczyniają uroki, leją wodę święconą, śpiewają psalmy...

- I tak ich, kurwa, nie ożywią...

- No, tak, no tak... Ale safety measures, wiesz...

Słuchałbym tej rozmowy jeszcze długo, chłonałbym każdą dostępną informację, ale naraz poczułem mrowienie, tak silne, że aż oczy zaszły mi łzami, a w głowie się zakręciło (niezawodny znak, że zwiększa się natężenie mocy) i wszystko ścichło. Żadnych głosów, rozmowy, warkotu silników. Powiedziałbyś - halucynacja, przesłyszało się, złudzenie.

Tylko dlaczego kruki wciąż wysoko, dlaczego nie siadają na gałęziach, nie grzeją się w słońcu?

Trzeci Świat. Zamykają.

Dlaczego?

Co tam się dzieje?

PRZEJŚCIE

Przejście zawsze jest tajemnicą.

Niewiele ci. wyjaśniają, niewiele mówią, prowadzą jakimiś korytarzami, przez dym z kadzideł, przez mrok i wilgoć, idzie się długo chodnikami oświetlanymi jedynie za pomocą łuczywa, jest wilgotno, jest nieprzyjemnie, jest się nie-wiadomo-gdzie. Doświadczenie kilkunastu podróży do Legend podpowiada, że choćby się człowiek Bóg wie jak starał, choćby szukał punktów orientacyjnych, natęzał umysł - i tak wiele nie spamięta; niczego ponad mgliste obrazy.

Wreszcie plac, jeden z terminali, ktoś się tam zawsze krząta, ktoś klnie, słyhać warkot silników, zgrzyt dźwigów (wszak przez Królikarnię idzie szerokimi strumieniami ezoteryczny import), tu i ówdzie natknąć się można na skupionego zakonnika, to znów na krzyż wiszący nad drzwiami, innym razem na invocatio Dei.

Tym razem duchownych widzę wielu, więcej niż kiedykolwiek. Więcej też dostrzegam broni - pasy ze srebrnymi pociskami, kamizele kevlarowo-mithrillowe, koszule runiczne - Królikarnia drży, czuć tutaj zdenerwowanie, niepewność.

Widzę, że Królikarnia się boi.

Całe dwa dni, oczekiwanie dłużyło się, wlokło, przeciągało. Dwa dni! Ileż to czasu w trzecioświatowej skali! I dlaczego tak długo czekamy? Na co?

Mój opiekun, uprzejmy, acz bardzo formalistyczny młody oficer komunikuje lakonicznie: „portal obciążony”.

Pewnym krokiem wchodzę w otwierającą się przede mną chłodną nicość prowadzącą pod inne gwiazdy, do innych miast, innych pustyń, innych mórz, innych istot, innych pieśni.

Pod inne niebo.

Drżąc z ciekawości, przekraczam granicę.

Część druga

BIAŁA WIEŻA

(...) Chcemy, aby nasze dzieci wierzyły, że przeciwnie, wszyscy ludzie są na wskroś dobrzy. Dzieci wiedzą wszakże, iż one nie zawsze są dobre; a często, nawet gdy są dobre, to wbrew własnym chęciom. Pozostaje to w sprzeczności z tym, co mówią rodzice, i sprawia, że dziecko samemu sobie wydaje się potworem.

W dominującej obecnie kulturze pragnie się stwarzać pozór, zwłaszcza jeśli chodzi o dzieci, że ciemna strona człowieka nie istnieje, i wyznaje się optymistyczną wiarę w coraz-lepszość. (...)

„Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni”, Bruno Bettelheim

FOTOGRAFIA 1 - NIEBO

Niebo.

Zawsze fotografuję niebo - jest to pierwsza czynność reporterska, jaką wykonuję po przejściu przez portal. Nie robię notatek, zarysu reportażu, nie zapisuję złotych myśli rodzących się podczas pierwszych chwil w nowej Legendzie.

Zdjęcie nieba.

W gabinecie, w Warszawie, mam całą kolekcję takich widokówek, mienią się zagadkowymi kolorami, na niektórych widać chmury, na innych nie, na jednym obrazku niebo płonie, na wiszącym obok jest zielone, na kolejnym czarne - zawsze wygląda inaczej niż to ziemskie.

W Trzecim Świecie niebo było błękitne, chłodne, spokojne.

Prawie takie, jakie zdarza się widywać w Polsce wczesną wiosną, o brzasku, gdy dzień jeszcze na dobre nie wstał, a noc oddaliła się już na bezpieczną odległość.

Pamiętam, że robiąc pierwsze kroki, poczułem rześki powiew i doskonałą ciszę. Tak jest zawsze, stoisz pośród słupów pokrytych inkantacjami, po ubraniu skaczą jeszcze blade ogniki - pozostałość wyładowania ezoterycznego, jeszcze drżą nogi, jeszcze nie dotarli do ciebie lokalni urzędnicy i magowie Królikarni. Kocham te kilka chwil, gdy w ciszy i chłodzie (w obrębie portalu temperatura zawsze jest niska, spada poniżej zera) można podziwiać widok nieba.

A niebo nad Trzecim Światem było piękne.

Chociaż już wtedy w tym sielskim z pozoru widoku wyczułem jakąś niewysłowioną groźbę, znak, przestrożę, a może zapowiedź tego, że przyjdzie taki dzień, że niebo nad portalem ściemnieje, przebarwi się, nabiegnie krwawym, niezdrowym blaskiem? Pamiętam, przeszły mnie dreszcze - choć może to dlatego, że od gór wiał przenikliwy wiatr, a pobliskie szczyty pokryte były grubymi, lodowymi czapami.

Nad wszystkim wisiała zaś Matka - dominanta, punkt odniesienia - biała kula, promieniująca jasnym światłem, któremu północna półkula Trzeciego Świata zawdzięczała chłodny, stabilny klimat i to, że stała po stronie Dobra.

Matka.

Siła, decydująca o losach tego globu.

Bóstwo.

Jedno z dwóch.

Wychodząc z portalu, oddycham głęboko, z ulgą. Z moich ust unosi się obłoczek pary i przez moment wydają mi się nawet, że w obłoczku tym widzę twarz - surowe, nieprzyjemne oblicze starca.

Takie rzeczy zdarzają się Legendach, to przecież światy przesycone magią, ale doświadczenie każe przypuszczać, że mam do czynienia raczej z halucynacją, bardzo częstą przy przejściach przez rabbithole. Nim obsługa portalu znajdzie się przy mnie, obłoczek rozwiewa się, nie pozostawiając śladu.

Kiedy idę w stronę zabudowań, czyste dotąd niebo zachodzi chmurami.

Nadciąga burza.

ZE ZBIORÓW (1) - RÓG JEDNOROŻCA

Jest długi, cętkowany, prosty. Waży sporo, kiedy trzymam go w dłoni, wydają mi się, że minimum pół kilograma, co jak na rogi jednorożców jest wagą sporą. Pół kilo bogactwa, na Ziemi przelicznik do złota wynosił cztery do jednego. Na korzyść rogu.

Tym mnie powitali - czy to miała być łapówka, przywilej należny ziemskiemu celebrycie, a może demonstracja, że w Trzecim Świecie nie jest tak źle, że jeszcze się trzyma, i, o, proszę, mają tu jeszcze kość jednorożca (więc nie wymarły!).

Kiedy wcisnęli mi ten róg, doszedłem do wniosku, że przybysz „stamtąd”, z Polski, na dodatek niebędący wojskowym, lecz pochodzący ze świata mediów, to w Trzecim Świecie duże wydarzenie. Oczywiście, co charakterystyczne dla tego typu kolonii, tworzą się lokalne hierarchie, elity, układy, koterie, ludzie robiący interesy starają się dotrzeć do tutejszej władzy, powstają lokalne zręby kultury (na przykład za gwiazdę uchodzi wśród emigrantów niejaka Ester, dziewczyna śpiewająca w klubach dla Ziemian, o której jako żywo nikt na Ziemi nie słyszał), niemniej punktem odniesienia pozostaje ojczysty kraj, pierwotna rzeczywistość.

Ziemia.

Przynajmniej na razie.

Trzymając w dłoni ów róg, ów skarb, teraz, w ciemnym pokoju, próbuję odtworzyć, co wówczas czułem.

Chyba przede wszystkim zaskoczenie. Zaskoczenie tym, że tyle się wokół mnie wydarza, że czas kwarantanny spędzam w sposób interesujący. To właściwe dla wszystkich tego typu

podróży: kwarantanna trwająca do kilkunastu dni; podczas niej - dzięki eliksirom, ziołom, inkantacjom - zachodzą w twoim ciele niezbędne procesy przystosowawcze. Kwarantanny te zwykle nie należą do intrygujących - można zapomnieć o wyjściu na otwarte powietrze, całe dnie upływają w zamkniętych wnętrzach, z perspektywy przyszłego reportażu jest to więc czas stracony. Oczywiście, nie trzeba mi tłumaczyć, że jest to potrzebne. Konsekwencje braku adaptacji bywają groźne: urazy magiczne, porażenia w zetknięciu z przedmiotami naładowanymi energią ezoteryczną, przemiana w jakieś monstrum. Więc trzeba, jasne.

Akurat w tej podróży kwarantanna okazała się ciekawa, a to za sprawą tych, z którymi miałem okazję rozmawiać.

Pierwszy (jeśli nie liczyć obsługi i magów dokonujących adaptacji - ci jednak są całkowicie przejrzyści, niezauważalni, bezgłośni) był generał Wojtczak, głównodowodzący siłami Królikarni w tym świecie. Po wymianie zdawkowych uprzejmości obdarowuje mnie tym nieszczęsnym rogiem. „Tutejszy!” - podkreśla z wyraźną dumą mój rozmówca. Łatwo to zrozumieć, niewiele jest światów, w których jednorożce się przyjęły. Polski Monopol Ezoteryczny prawie wszędzie próbował zakładać hodowle, przenosząc po kilka sztuk z Avalonu, ale większość Legend okazywała się dla tych magicznych stworzeń mało gościnna. W Trzecim Świecie, inaczej, zaadaptowały się świetnie, stada jednorożców dochodziły do tysiąca sztuk jedno, a było ich kilkanaście, ubój szedł pełną parą, pełną parą szedł też eksport rogów na Ziemię. Część z nich w postaci proszku, część jako surowiec do wyrobu rozmaitych gadżetów magicznych, a z tych szczególnie dorodnych wyrabiano naczynia, takie jak to przyniesione przez Wojtczaka (taki kielich miał liczne przewagi nad zwykłym, polepszał smak napojów, usuwał rozmaite nieprzyjemności związane z wypiciem większej ilości alkoholu, neutralizował trucizny, a na dodatek każdy napój spożywany w tym specyficznym naczyniu wzmacniał potencję). Był to więc kosztowny dar. Tym większy, że od jakiegoś czasu chodziły słuchy o załamaniu się eksportu rogów z Trzeciego Świata.

Wojtczak, zapytany o to ostatnie, odchrząka.

Nie może skłamać, tutaj, tuż pod Matką, w Białej Wieży to prawie że niemożliwe, imperatyw, by nie łamać zasad, jest tak silny, że generał nie jest w stanie mu się oprzeć, choćby i chciał (bo przecież kłamstwo to zło!), więc milczy, wije się przede mną, unika odpowiedzi - to jedyne, co może zrobić, jeśli nie chce wyjawiać prawdy. Dopiero później dowiem się, że od kilku tutejszych lat jednorożce zaczęły masowo padać, że część klaczy rodziła potworki zamiast dorodnych źrebiąt, że niektóre zwierzęta, zupełnie odmienione, oszalałe i żądne krwi, traktowały swoich opiekunów i uciekały na wolność. Dowiem się też, że stado rozjuszonych jednorożców zabiło elfa, rozszarpując i zjadając jego ciało, trafię na plotkę, że ostatnie partie

rogów, jakie miano wysłać na Ziemię, zmieniły swe właściwości i stały się niebezpieczne dla zdrowia, w związku z czym zostały odrzucone przez mnichów już z komór celnych pod Poznaniem. Ktoś przygodnie spotkany powie mi wreszcie, że teraz jednorożce, zmieniawszy umaszczenie z białego na kare, służą w posępnych armiach Dziwki. W chwili, w której generał unika odpowiedzi na moje pytanie o te najszlachetniejsze z magicznych stworzeń, nie zdaję sobie z tego wszystkiego sprawy, niemniej czuję, że ów brak odpowiedzi musi być związany z faktem, że zamykają Trzeci Świat.

W przyszłości okaże się, że mam rację.

W trakcie tej samej rozmowy przychodzi jednak moment, kiedy i ja muszę zacząć się wic, kluczyć, udzielać zaciemniających wyjaśnień. Oto bowiem generał pyta mnie, czy zamierzam opisać wszystko, co zobaczę na miejscu. Nim kończy swe pytanie, już rozumiem, że jeśli odpowiem zgodnie z prawdą, myślomanci przed powrotem wyłuskają z mojej głowy każde wartościowe wspomnienie. A więc skłamać - oto co należy zrobić.

Czuję, jak koszula w jednej chwili robi się mokra od potu, uderza mnie fala gorąca, dolna warga zaczyna mi drgać (co zawsze się dzieje, gdy jestem zdenerwowany) - bo oto skłamać nie potrafię. Nie mogę.

Matka, myślę ze złością. Zaciskam pięści w bezsilnej wściekłości.

Jeśli odpowiem, muszę powiedzieć prawdę, jeśli nie odpowiem wcale - tylko upewnię generała, że jego podejrzenia są słuszne. Czuję na sobie badawcze spojrzenie, gorączkowo próbuję wymyślić odpowiedź na tyle ogólną, by nie była nieprawdziwa, bąkam coś trochę bez związku z pytaniem, wreszcie próbuję zmienić temat. Nie mam pojęcia, czy mi się udało.

W tej chwili po raz pierwszy przekonuję się, jakie prawa rządzą w Białej Wieży.

To centrum walki ze złem, wyjaśni młody oficer, którego przydzielono do opieki nade mną podczas pierwszych dni pobytu, to cytadela dobra, miejsce najlepiej oświetlane przez Matkę - dlatego jej wpływ jest tutaj największy. W naszym mieście nie popełnia się zbrodni, nie wybuchają bunt, kobiety bez wyjątku są przyzwoite, mieszkańcy bez wyjątku uczciwi. Nie rozpadają się rodziny, nie dochodzi do kradzieży, nie łamie się zasad - powie mi młodzik.

Po którejś kolejnej uwadze z jego strony zacznę się tego miejsca naprawdę bać.

Z czym więc walczyacie? - zapytam, spacerując po urokliwych mostkach, zawieszonych nad cicho szemrzącymi wodospadami. Uwielbiam spacerować po Białej Wieży - to miejsce faktycznie jest jak z bajki - dotyczy to zwłaszcza kwartałów zabudowy zajętej przez Królikarnię. Są to rejony położone na zboczu góry, pełne tarasów, wieżyczek, wiszących mostów, małych jeziorek, fontann; wygląda to wszystko tak ładnie, że aż kiczowato, nieprawdziwie. I to tutejsze powietrze - człowiek czuje się lekki, uduchowiony. Ma się

poczucie, że stoi się po właściwej stronie.

Po kilku tygodniach pobytu w Białej Wieży zrozumiałem jednak, dlaczego większość przybyszów z Ziemi wyprowadziła się stąd, dlaczego powstały takie miasta, jak Nowe Jeżyce, Jackowo Dalsze czy Tarnowo Podniebne. Człowiek pochodzący z Ziemi musi usunąć się w cień, w miejsce, gdzie wpływ Matki będzie nieco słabszy, pozwalający na choćby drobne odstępstwo od normy, na małe złośliwości, oszustwa, świństwka, kłamstwka. Inaczej przybysz z naszej rzeczywistości zwariuje.

Zrozumiem, dlaczego tak wysoki jest odsetek samobójstw wśród kolonistów.

Z czym walczyacie, powtórzę po raz któryś do młodego oficera, a ten nadal będzie milczał. Tylko głową wskaże przed siebie.

Na Południe.

ZE ZBIORÓW (2) - RĘKAWICA

Zawieruszyła się gdzieś na dnie torby - miła w dotyku, brązowa, pięciopalczysta. Pierwszy raz wkładam ją podczas wizyty w karczmie.

To jeden z etapów adaptacji - pierwszy kontakt, pierwsze wyjście do miasta, zetknięcie się z tutejszymi. Procedura zazwyczaj jest podobna: najpierw ubierają cię w odzież pochodzącą z danego świata, upewniają się, czy czar języków pozwalający rozumieć lokalną mowę działa, i wskazują najbliższą karczmę.

Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. W każdej Legendzie - karczma, od niej zawsze się zaczyna. Nie ma innych miejsc?

Być może chodzi o to, że w takim miejscu stosunkowo łatwo kontrolować sytuację, przybysz z Ziemi zjawia się w karczmie zazwyczaj w towarzystwie dyskretnej eskorty, mogącej interweniować gdyby coś, kiedyś... A może prawda jest bardziej prozaiczna i to właśnie ci ochroniarze narzucają miejsce, chcąc przy okazji napić się, podszczypnąć pomocnicę karczmarza, najeść się.

Wkładam więc na siebie to wszystko, w co powinienem się odziać - w Trzecim Świecie, na Północy, nosi się skórzane koszule, twarde buty podbite gumą (od razu poznaję, że to ziemską technologię, ale ponoć rozprzestrzeniła się tak bardzo, że gdybym włożył inne, tradycyjne obuwie, wtedy właśnie różniłbym się od tutejszych!), do tego spodnie, też skórzane (bardzo wygodne). Skórzane opaski nakładam na nadgarstek, do szyi wiązę kościany amulet

przedstawiający miniaturę białego niedźwiedzia (bardzo popularny, mówią mi, że to symbol potęgi Matki), naciągam obite żelazem miękkie rękawice. Do tego jeszcze nóż (to nieodzowny element!), kurta podbijana futrem, pas, kryjący w swej wewnętrznej części monety - i ruszam na bliskie spotkanie z Trzecim Światem.

Karczma nie zaskakuje - ten sam rozgwar, co w innych Legendach, ten sam tłok i półmrok. Może i zapachy są nieco inne, w powietrzu unosi się zmieszany z dymem z paleniska zapach lokalnych przypraw i tutejszych mięs, lecz prawdę rzekłszy, nihil novi sub sole.

Zamawiam piwo, smakuje trochę inaczej niż nasze, ziemskie, inaczej też niż w innych Legendach, ale wciąż przynosi orzeźwienie - i pianę.

Te podobieństwa - wygląd karczmy, piwo, mięsa - zawsze mnie zastanawiały, już jakiś czas temu doszedłem do tego, że podobieństwa są zbyt duże. Zdaje się to potwierdzać teorię profesora Wiśniewskiego, badacza Legend, który twierdzi, że wszystkie one wywodzą się ze wspólnego pnia kulturowego, z jednej „Legandy-Matki”, opowieści fundamentalnej, a różnice wynikają z innych osobowości Śniących.

Oznaczałoby to - ni mniej, ni więcej - że żyję właśnie w głowie jednej z osób pograżonych w letargu w bazie Królikarni. Mimowolnie wzdragam się przed tą perspektywą.

Siedzę samotnie, przy krótkiej ławie, w cieniu. Wsluchuję się w rozmowy, patrzę w twarze. Karczma pod pewnymi względami bywa bardzo przydatna, dzięki niej łatwo poznać rasy, kultury i obyczaje danego świata. Tak jest i tym razem - obok ludzi dostrzegam elfy (żadna nowość, są w większości Legend), gnomy (o, to zdecydowanie rzadsze zjawisko), ludzi-ptaki, łykających specjalnie dla nich pokrojoną na drobne kawałki przez karczmarza pieczeń. Osobno, przy innym stole siedzą mężczyźni odziani na biało, karczmarz obskakuje ich, przymila się, a kiedy opuszczają spojrzenia na miski z jedzeniem, zerka lękliwie. To moja stara metoda na to, by poznać, jakie w danym świecie obowiązują hierarchie społeczne: obserwowanie oberżysty. Tych obskakiwanych należy zaliczyć do elity - są to więc albo znaczni rycerze, albo magowie, ewentualnie bogaci kupcy. Gnomy, jak widać, nie cieszą się w Trzecim Świecie zbyt dużym poważaniem, do nich właściciel nie podejździe sam, wysyła tylko dziewczkę (najbrzydszą), długo też czekają na realizację zamówienia. Do elfów z kolei podbiega, choć widzę w grymasie twarzy pewną niechęć, łatwo więc zgadnąć, że choć nie są one przez ludzi kochane, to jednak wzbudzają respekt.

Z tych rozmyślań wyrywa mnie bard (kolejny stały element krajobrazu karczmy), który przysiadłszy przy trzaskającym ogniu, zaczyna śpiewać przy akompaniamencie dziwnego instrumentu przypominającego trochę harfę. Śpiewa smutne, rzewne pieśni. Trudno mi ich słuchać bez skrzywienia się z niechęcią, choć większość tych, co są w oberży, śpiewy

przyjmuje z aplauzem i daje temu wyraz, wrzucając monety do drewnianej miski, która stoi przed śpiewakiem, i kupując mu kolejne porcje piwa.

Pieśń, choć niezbyt mi się podoba, naprowadza mnie na pewne spostrzeżenie, jest bowiem bardzo smutna, podobnie jak miny wszystkich bodaj siedzących „Pod Gryfami” (tak nazywa się oberża). Z tych spojrzeń wyczera jakaś rezygnacja, nie strach, ale właśnie rezygnacja. Są przybici - nawet ci pijani, upili się na smutno, a ich myśli zaprzęta obawa, której nie rozumiem.

Żyją w jednym z najpiękniejszych miast, jakie widziałem, pod szczęśliwą gwiazdą. Czego się boją? Czym się martwią?

W tym momencie wraca pytanie o motywy będące podstawą decyzji zamknięcia Trzeciego Świata. Chcę nawet przysiąc się do jednej z grupek stłoczonych pod drewnianymi wspornikami dachu, ale wtedy zauważam ich spojrzenia. Są podejrzliwe, niechętne - to spojrzenia, jakimi obrzuca się obcego, w stosunku do którego nie ma się zaufania.

Skąd wiedzieli?

Czy było coś w moich gestach, w sposobie, w jakim piję piwo, trzymam kufel, w tym, jak spoglądam i jak siedzę, jak gryzę pieczeń i nabieram szarej papki przypominającej kaszę, co zdradziło im, że przybywam z Ziemi? Mimo starannie dobranego ubioru, czaru języków, pieniędzy, w jakie mnie wyposażono?

Nie podszedłem więc do nikogo, siedziałem sam, piłem piwo, które naraz stało się znacznie bardziej gorzkie, czując, że dla zgromadzonych w oberży stanowią obcą część.

A w Białej Wieży, pomyślałem wówczas, w Białej Wieży boją się obcych.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem dlaczego.

Z NOTATEK (1) - O ZNACZENIU METEOROLOGII

Tak naprawdę to nikt jakoś szczególnie nie krył przede mną tajemnicy.

Kluczem do zrozumienia okazała się wielka mapa Trzeciego Świata rozwieszona w jednym z przestronnych pomieszczeń, w których zakwaterowano sztab główny Wojska Polskiego.

Nie sposób zrozumieć Trzeciego Świata, nie wiedząc nic o jego geografii; wiedziałem wcześniej z nielicznych książek o tej Legendzie, że determinuje ona wszystko - to, po której walczysz stronie, jakie wyznajesz wartości, jakim powietrzem oddychasz, jakie światło

oświetla twoją drogę. Geografia (i astronomia) odpowiadają też na najważniejsze pytanie - czy jesteś dobry, czy zły (gdybyż tylko ziemscy filozofowie dysponowali takim kryterium, ile spraw zostałyby rozwiązanych, ilu dyskusji by uniknięto, ile książek by nie powstało).

Rzućmy więc okiem na mapy i spójrzmy w trzecioświatowe niebo.

Najpierw zatem Północ, oznaczana przez kartografów kolorami białym, niebieskim i zielonym. Gdybyśmy przyjrzeni się mapie bliżej, zobaczylibyśmy gęstą sieć miast i łączących je dróg, dojrzelibyśmy również brązowe okręgi - jest ich niewiele, ale od kilkadziesiąt lat to one decydują, co dzieje się na tej półkuli planety. To nic innego jak nasze przyczółki, bazy wojsk Królikarni, w których teraz (tego na mapie nie widać) trwa gorączkowa krzątanina, wszyscy się spieszą, pakują, robią ostatnie interesy.

Dół mapy, po drugiej stronie, to kolor czerwony - od odcieni jasnych, przechodzących w pomarańczowy, aż po ciemne bordo. Mapy, które dostałem, są niedokładne i patrząc na nie, nie potrafię wiele powiedzieć o tym obszarze - są tam kontury masywów górskich, są zarysy lądów i zarysy mórz - ale nie mogę się z nich dowiedzieć, jaka okolica jest bezludna, a gdzie jest wielu mieszkańców; nie ma traktów, nie ma i punktów orientacyjnych. To dla nas terra incognita - Królikarnia nigdy nie zdołała dobrze poznać tamtych obszarów i wszystko wskazuje na to, że raczej już nie pozna.

Aby ową różnicę w kolorystyce wyjaśnić, trzeba oderwać wzrok od mapy i spojrzeć w niebo. Jeśli spoglądać się będzie z półkuli północnej - tam gdzie siedzę, pisząc te słowa - ujrzy się spokojne, jasne światło Matki. Pod nim wszystko kwitnie, rola daje obfite plony, drzewa są zielone, a mieszkańcy tych ziem spokojni i dobrzy. I taka też jest tutejsza magia - użytkowa, pomocna ludziom, nienachalna, nieinwazyjna. Odsunęła się na dalszy plan.

Co innego, gdyby unieść głowę, będąc po drugiej stronie globu - tam spotkamy Dziwkę. Jej ostre czerwone promienie padają na półkulę południową, na tamtejsze lasy, pola, morza i przede wszystkim na tamtejszych mieszkańców. „Złe światło” - tak to się nazywa w tych stronach. I rzeczywiście, przemienia ono każdego; ci, którzy stamtąd przychodzą, są inni, noszą w sobie odmienny system wartości, odmienne ideały (czy może brak ideałów). Niosą w sobie zło.

ZŁO.

W Trzecim Świecie nie ma miejsca na relatywizm.

Różnica przejawia się przede wszystkim w magii. Południowe czary są potężne i groźne. Są to czary właściwe czasom wojny, czasom rzezi i przelewu krwi (krew jest zresztą - jeśli wierzyć opracowaniom na temat religii Południa - ulubionym darem dla Dziwki). Północ i Południe - są to więc dwie logiki, dwa osobne światy, przez cały czas w nieustannym zwarciu,

pogrążone w konflikcie, czasem pełzającym, a czasem wybuchającym gorącym płomieniem.

Losy tej wojny od wieków kształtują się różnie, w zależności od położenia na niebie Dziwki i Matki. Były takie okresy, gdy górę brało Południe, był też czas, gdy wydawało się, że Północ zwycięży nieodwołalnie. Teraz - wskutek zagmatwanej tutejszej astronomii, Południe, po latach porażek, znów podnosi głowę, znów budzą się czerwone demony.

- Trzeci Świat ogarnia pożar. Obawiam się, że tym razem nikt nie zdoła go ugasić - powiedział mi pewnego dnia jeden z oficerów z Białej Wieży, pułkownik Zawadzki, wskazując jednocześnie na dwie czarne przerywane linie - jedna na północy, druga na południu. Te linie to granice, do jednej z nich sięgało tylko światło Matki; obszar zakreślony drugą przerywaną linią stanowił wyłączną domenę Dziwki.

Był też szmat terenu leżący pośrodku, tak zwane ziemie niczyje, szlak cudów, miasta szaleńców i świętych - nazw miała ta kraina bez liku. Pokiwałem głową, zapytany przez Zawadzkiego, czy rzeczywiście chce się tam wybrać.

- Płaskowyż - powiedział, znów zbliżając wskaźnik do mapy.

Wielki łańcuch górski, naturalna granica między Południem a Północą, przecinająca glob w połowie, miała wielką lukę - Płaskowyż właśnie, największa obecnie zmora Królikarni.

Z południa bowiem wiało.

Patrząc na procesy historyczne, rzadko zwraca się uwagę na meteorologię. Na gospodarkę - o tak, oczywiście, na przykład szukając przyczyn drugiej wojny światowej, zaraz ktoś powie, że winny okazał się kryzys, jaki rozprzestrzenił się na świecie, kiedy znów pierwsza wojna była owocem nadzwyczaj szybkiej industrializacji. Na socjologię - oczywiście. Bo czy można pominąć socjologię, kiedy opisuje się upadek ZSRR? I ludzie - w historii najważniejsi są ludzie; ten - zwrotnicowy historii, ów - miał przemożny wpływ, jeszcze inny - przyczynił się do, a kolejny, niepozorny, stanowił kroplę, która przepełniła - i procesy historyczne ruszają w naszej wyobraźni z kopyta.

Ale meteorologia?

Zgoda, bywa zauważana, zwłaszcza gdy mówimy o czasach, w których człowiek jest jeszcze mniej sprawny, jeszcze nie wymyślił swych najbardziej skutecznych machin śmierci, jeszcze musi na piechotę poruszać się po polu bitwy - wtedy faktycznie, deszcz nabiera znaczenia przełomowego, można powiedzieć, że decyduje o zwycięstwie lub przegranej w bitwie, jak choćby w siedemdziesiątym czwartym, w meczu z Niemcami.

To wszystko są jednak incydenty - ludzkiemu oku umykają natomiast zjawiska znacznie ważniejsze, niejednokrotnie decydujące o losie społeczeństw, lecz tak rozciągnięte w czasie, że nie zdajemy sobie z nich sprawy. Zjawiska te mają znaczenie dalekosiężne, ich piętno jest

długotrwałe, a zmiany, jakie z sobą niosą, bardzo trudno odwrócić.

Tak właśnie dzieje się tutaj, w Trzecim Świecie. A czynnikiem meteorologicznym, który zmienia geopolitykę, obala jednych władców, innych ustanawia, który wznieca rewolucje, niepokoje, pożary, a dowódcom Królikarni wywraca plany strategiczne do góry nogami (oni, jak wszyscy koloniści, uzurpują sobie prawo do tego, by dyktować ustawienie na tutejszej politycznej szachownicy) jest właśnie wiatr wiejący przez Płaskowyż. Z południa. Ów wiatr niesie bowiem ze sobą pył, czasem deszcz, niesie nasiona, owady, popioły przez setki, ba, przez tysiące kilometrów - cząsteczki pędzą przed siebie, odbywając podróż decydującą o losach Trzeciego Świata, jak kropla drażąca skałę. Wszystkie te cząsteczki pochodzą z terenów oświetlanych przez złe światło Dziwki. I jeśli ktoś naiwnie myśli, że ślad ten pozostaje bez wpływu, nie może popełnić większego błędu.

Każdy pyłek, każdy proch, każdy atom przyniesiony z „tamtej strony”, spod panowania innego porządku, zmienia równowagę sił. Oczywiście nie dzieje się to od razu - nie, jeden podmuch nie decyduje o tym, że w oczach zapalają ci się czerwone ognie, z palców strzelają płomienie, w dłoni pojawia się nóż, a na szyi twojego przyjaciela krwawy ślad po tym nożu. Wpływ jest o wiele bardziej subtelny - i nikt z dnia na dzień nie porzuca Białej Wieży, by służyć Dziwce, Czarownikowi, by praktykować czarną magię. Zmiana następuje stopniowo.

Najpierwszym objawem są sny - droga, którą podświadomość próbuje się komunikować z naszym świadomym ja. Sny stają się mroczne, ponure, wypełniają je wizje niczym z obrazów Beksińskiego - pochody ludzi bez głów, głowy bez oczu, oczy bez powiek. Im dłużej jednak wieje wiatr, tym bardziej słabnie przywiązanie do wzniosłych ideałów promieniujących z Białej Wieży. Coraz częściej ludzie pozwalają sobie na drobne słabości, szerzą się małe wiarołomstwa, złośliwości - jeszcze na niedużą skałę, jeszcze w błahych sprawach, lecz to często wystarcza, by pchnąć na równię pochyłą całe rodziny, całe osiedla, całe miasta. Krok za krokiem, każda kolejna nieprawość większa jest od poprzedniej, każde bezeczeństwo bardziej bezecne i dobitne - aż wreszcie Biała Wieża wydaje się słabym promykiem, małą świeczką, którą zdmuchnie byle podmuch.

A po drugiej Stronie czeka - z otwartymi ramionami - Dziwka.

Wieje tak tutaj już od piętnastu tutejszych lat, mówi mi Zawadzki.

Nieprzerwanie.

SZKIC NR 1 - MAPA

Pierwszy raz pokazał mi ją pułkownik Zawadzki po tym, jak zrozumiał, że nie zrezygnuję z mojej wyprawy, a ja pracowicie (choć opuszczając mnóstwo szczegółów) przenieśliem ten widok na kartkę, którą miałem z sobą. Zawadzki właśnie został wybrany jako osoba mająca przygotowywać mnie do podróży - bo sam o Trzecim Świecie niewiele miałem informacji, o tyle, by wiedzieć, że chcę jechać na Południe (niecywilizowane, dzikie, magiczne). Dopiero ponury pułkownik wytłumaczył mi, czym tutaj jest Południe. Jako jedyny próbował odwieść mnie od mojego pierwotnego planu. To mnie nawet zastanowiło, pozostali oficerowie okazali się bardzo pomocni i mocno wspierali moje zamierzenia - tymczasem Zawadzki, wielkie, poczciwe chłopisko spod Opola, z jednej strony tłumaczył niuanse tutejszej geografii i geopolityki, z drugiej wahał się, coś w sobie dusił, część informacji przekazywał z wyraźną niechęcią, jak gdyby pod przymusem. Tak było choćby wtedy, gdy stanęliśmy przy jednej ze szczegółowych map.

Pułkownik tarł czoło co chwila i mrugał (w ten sposób przejawiało się w jego wypadku zakłopotanie), miałem wrażenie, że najchętniej przemilczałby fakt istnienia tej mapy.

- Sprawy nie mają się najlepiej - powiedział, sucho, tak jak miał w zwyczaju, po czym tym samym suchym, beznamiętnym głosem, wyłożył, jak wygląda sytuacja (coraz częściej mrugając i pocierając dłonią czoło). Otóż mapa, jaką widziałem, wskazywała dwie linie. Pierwszą z nich znałem dobrze - to była linia, poza którą nie wychodziło światło Dziwki. Była jednak i druga, nie tak intensywna. Ta sięgała znacznie bliżej Białej Wieży, znacznie bliżej baz Królikarni.

Obszar oddziaływania wiatru.

- Od tej linii mogą pana spotykać nieprzyjemności. Poważne nieprzyjemności.

Wtedy zapytałem, co oznaczają te lekko pomarańczowe plamy zaznaczone na mapie, które już bezpośrednio wdzierały się na terytorium kontrolowane przez Białą Wieżę. Mój rozmówca zamrugał, potarł czoło dłonią, zaczął mówić, zamrugał, potarł czoło dłonią, potarł czoło dłonią, zamrugał, potarł czoło dłonią, zamrugał, zamrugał, otworzył usta, zamrugał, potarł czoło dłonią.

- Czasami - powiedział cicho, tym samym suchym głosem - chmury z Południa docierają aż tutaj.

FILMY (1) - ULICA

Jeśli jesteś cywilem, a w dodatku reporterem, do Legend o podwyższonym rygorze niewiele możesz ze sobą zabrać. Obowiązują ściśle reguły, trzeba trzymać się rozmaitych wytycznych, instrukcji, procedur, przejść przez dziesiątki bram, minąć ogromną liczbę posągów strzegących przejść i prześwietlających wzrokiem swych kamiennych oczodołów każdy centymetr sześcienny bagażu.

Generalna zasada jest zaś taka - nie pakować zbyt wiele, nie mieć przy sobie niczego, co zbyt wiernie rejestrowałoby rzeczywistość - celnicy nie przepuszczą.

Inna rzecz, że nie miałbym w czym tego zmieścić.

Jedynie, na co sobie mogę pozwolić, to kamera, połączona z malutkim laptopem - wszystko lekkie, poręczne, wytrzymałe, nie potrzebuje wiele energii, właściwie ładuje się samo, absorbując światło tej czy innej gwiazdy. Zawsze jest przecież jakaś gwiazda nad horyzontem - dokądkolwiek bym trafił.

Kiedy jestem na zewnątrz - nagrywam, kiedy wracam do swojej celi w jednej z kamiennych wież - siadam, oglądam, spisuję na papier. Kamera utrwala wiele szczegółów, na które w pośpiechu podróży można by nie zwrócić uwagi.

Siedzę więc przy dębowym stole (albo przy stole zrobionym z drewna bardzo przypominającego dąb, w tych stronach stosowanie wszelkich nazw, jakie znamy z Ziemi, obarczone jest znacznym ryzykiem popełnienia błędu), przecierając oczy, spoglądam w ciekłokrystaliczny ekran, obserwuję kiepskiej jakości filmiki (takie, jakie kręcili moi rodzice podczas swoich wycieczek na początku dwudziestego pierwszego stulecia i zamieszczali na Youtube), robię zapiski.

Tego dnia, kończąc okres adaptacji, wyszedłem po raz kolejny z siedziby Królikarni do miasta.

Pierwsze spojrzenie zawsze wychwytuje wielkie budowle, bogate zdobienia, urokliwe uliczki czy ładne twarze dziewcząt - i taki obraz utrwala się przy powierzchniowej, jednorazowej obserwacji. Dodatkowo wrażenie piękna wzmacnia wpływ Matki - przekonałem się już, że jej promienie mają zbawienne działanie na psychikę, uspokajają, powodują, że świat wokół wydaje się piękniejszy. Film jednak daje obserwatorowi drugą szansę, pozwala przyjrzeć się ulicom Białej Wieży wielokrotnie, zwrócić uwagę na tło.

Film odziera ze złudzeń.

Okazuje się na przykład, że mury w wielu miejscach wcale nie są białe - znaczą je czarne zacieki, brudne naloty, zadające kłam przekonaniu, że Biała Wieża po kres czasów zachowa

kolor śniegu. Te smoliste ślady, jak się później dowiedziałem, powstały niedawno - nim przybyliśmy, mury faktycznie utrzymywały (ponoć) swój kolor. Ale wraz z Ziemią pojawiła się cywilizacja, wraz z cywilizacją - wzmożone zapotrzebowanie na energię, a zapotrzebowanie to spowodowało, że sięgnięto w głąb gór.

Tutejsza ziemia jest bardzo bogata. Węgiel, ropa, gaz ziemny - co tylko chcesz, w nieprzebranych ilościach. Z drugiej strony zimy nie należą do łagodnych, Biała Wieża leży na Północy, kiedy sygnie śniegiem, potrafi przykryć dom - trudno się dziwić, że kiedy raz odkryto węgiel, miejscowym trudno zrezygnować z takiego dobrodziejstwa. Niestety, dobrodziejstwo to wraca w postaci brudnych deszczy, czarnych plam, jakimi dym znaczy miejskie mury, zacieków, których nie można domyć.

Na filmie nie widać jednak wyłącznie miejskich murów. To tylko kamienie - o wiele bardziej interesująca jest społeczność, żywe istoty zamknięte wewnątrz, stłoczone i kipiące energią - życie kwitnie tutaj na ulicach (co znów czyni ten świat egzotycznym, na Ziemi każdy zamyka się w swej prywatnej przestrzeni, nie ma miejsca na przypadkowe spotkania, nie ma swobody interakcji - chyba dlatego tak często stamtąd uciekam).

Na pierwszym planie są oczywiście zbrojni, rzucają się w oczy, połyskują blachy napierśników, hełmy, jelce mieczy. Zabawnie kontrastują z tym ekwipunkiem współczesne rekwizyty - jeden z wojowników, potężny brodac, ma do siodła przytroczony krótki granatnik. inny pistolet maszynowy i latarkę, jaką noszą ludzie ze służb specjalnych, kolejny z przechodzących (była ich cała grupa, weszli w kadr tak, jak wchodzi wojskowi, bez pytania, nieproszeni, pewnym siebie krokiem), miał wbudowaną w hełm komórkę, wciąż coś mówił, gestykulował, gdy jego wierzchołek szedł posłusznie za innymi.

Wreszcie przeszli, na moment odsłaniając rozciągające się w tle uliczki - tutejszy odpowiednik centrum handlowego, choć lepszym skojarzeniem byłyby suki w którymś z arabskich miast. Handlowano tu wszystkim - przede wszystkim jedzeniem (z haków na straganach zwisały pasy mięsa w rozmaitych kolorach, pośród nich wyróżniał się wielki kawał pokryty z zewnątrz zieloną, połyskliwą łuską, piętrzyły się kopce owoców, suszonych owadów, różnych ziaren). Zaraz obok ktoś zachwalał noże z tajemnymi inskrypcjami, ktoś inny trzymał w klatce trzy tresowane chochliki.

Przyglądając się uważniej, można dostrzec przysłoniętą przez innych staruszkę, owiniętą w chustę i odzianą w rozciągniętą, spraną koszulkę z napisem „STAR WARS” - zapewne ze zbiórek, organizowanych często na Ziemi. Staruszka miała przed sobą na kamieniach ustawioną serię puszek po piwie - kolorowe opakowania przyciągały wzrok. Mimo że filmik był krótki, zdążyłem na nim zarejestrować, że przy kobiecie zatrzymało się kilku potencjalnych

kupców (krasnowłódz, faun, szczupły elf - też w ziemskiej koszulce, z wielkim napisem „Piwo ukształtowało to wspaniałe ciało”) - przyglądali się puszkom, brali je do ręki, wachali, odstawiali z wyraźnym żalem, tylko elf kupił jedną, zaraz zazdrośnie chowając do plastikowej torby (z rzucającym się w oczy czerwonym napisem: „TESCO - dobre zakupy”).

Na moment cały ekran zajął mężczyzna z głową jeża. Na jego szyi wił się zielonkawy, metalicznie połyskujący wąż zjadający własny ogon.

Po jego przejściu kamera znów dostrzega babinę - tym razem z błyszczącą puszką po budweiserze odchodzi niewysoki mężczyzna, jego ubranie ocieka wodą, a zamiast włosów z głowy wyrastają mu zielone wstęgi - rzeczne trawy. To wodnik, właśnie wymienił się z kramarką na gadającego szczupaka (przez moment słyhać, jak szczupak krzyczy przeraźliwie, jak wzywa pomocy i zaklina kobietę, by nie robiła mu krzywdy, ta jednak wprawnym ruchem uzbrojonej w kamień dłoni, ruchem zadziwiająco mocnym jak na jej wiek i posturę, ogłusza rybę i wrzuca ją do siatki). Siatka zaczyna robić się pękata, widać interes idzie świetnie, to zresztą cecha wielu Legend - każda rzecz przewieziona z naszego wymiaru, z Ziemi, uzyskuje tu status przedmiotu pożądanego, wartość skarbu. Słyszałem opowieści o smokach zasiedlających śmietniska - zwierzę wylegiwało się na górach starych komórek, kolorowych czasopism, pustych opakowań po jogurtach, kremach czy zużytych oponach (w światach tych, ponieważ nie zostały objęte ziemskim ustawodawstwem, kwestie związane z ochroną środowiska nie istniały, nie trzeba więc było długo czekać, by wszystkie większe firmy zajmujące się wywózką odpadów otworzyły w Legendach swoje ekspozytury, nabywały działki i dokonywały eksportu tego, z czego produkcją nasza cywilizacja faktycznie nie ma kłopotów: eksportu śmieci). Babina musiała najwyraźniej dostać się do jakiegoś wysypiska, gdzie składowano odpady z browaru.

Kamera przesuwa się dalej.

Biała Wieża to miasto dumne, uchodzi za perłę trzecioświatowej architektury, zapewne zresztą tak jest, niemniej o część swoich obywateli w ogóle nie dba - nie musisz się martwić o dach nad głową, jeśli jesteś kupcem, rycerzem, dworskim urzędnikiem lub udało ci się załapać jako obsługa bazy Królikarni (to nowa profesja, liczy raptem kilkadziesiąt lat, ale dodaje splendoru, podnosi w hierarchii, miejscowi cenią ją nawet bardziej niż stan rycerski). Lecz duża grupa - biedniejszych, mniej zaradnych, słabszych - pozostaje całkowicie poza polem widzenia monarchy, na nich światło Matki nie pada tak intensywnie jak na zamożnych. Ci najbardziej skorzystali na kolonizacji, do tamtej chwili pojęcia pomocy humanitarnej nikt tutaj nie znał. A teraz - cóż, być może przysadziste blaszane baraki, z dachami żółcącymi się tanim plastikiem, wzniesione przez Caritas nie komponują się zbyt dobrze z jasnym murem, do którego

przylegają, ale mimo wszystko jest to jakiś dach nad głową, jakieś schronienie, przed deszczem, przed wiatrem, przed śniegiem.

Przynajmniej coś.

Zanim je wybudowano, rokrocznie podczas zim (a w Białej Wieży zimy są naprawdę srogie) z powodu mrozu umierało kilkuset mieszkańców.

Obraz rejestrowany przez kamerę stopniowo zmienia się, kadry powoli stają się bardziej harmonijne i nie tak zatłoczone, pojawia się więcej rzeźb, ozdób, więcej jest też wojska - znak, że już niedaleko do siedziby władz, niedaleko do pałacu namiestnika.

Z NOTATEK (2) - DWÓR

Biała Wieża nie ma króla - król zginął, odszedł, jest w ukryciu - krążą tutaj rozmaite pogłoski i opowieści, wiadomo na pewno, że nie wyginął jego ród, wskazują na to dwa wielkie drzewa rosnące na dziedzińcu zamkowym (jeśli ród wygaśnie, drzewa umrą). Niemniej jeśli jacyś potomkowie istnieją, trudno im wykazać owo pokrewieństwo w sposób wystarczająco pewny, by ogół uznał, że oto król powrócił.

Miasto i kraj są więc w rękach namiestników, którzy zasiedli na tronie, rozgościli się, rozepchnęli, zajęli wygodne miejsca, utworzyli kilkupokoleniową dynastię i nie wydają się chętni oddać swoje stołki.

Słyszałem od naszych żołnierzy, że było kilku pretendentów, faktycznych dziedziców (z dokumentowaną linią pochodzenia) próbujących wystarać się o koronę i spowodować, by białą tron znów się zapełnił (teraz pozostaje on pusty, namiestnicy zasiadają na szarym, położonym niżej). Lecz wysiłki te skończyły się dla naiwnych pretendentów tragicznie: zostali posądzeni przez namiestników o to, że są posłańcami z Południa, że mają siac zamęt, że są wrogami Białej Wieży i rodzaju ludzkiego i wszyscy zostali zmrożeni.

Na marginesie - jest to interesująca opozycja: na Ziemi najpopularniejszą metodą anihilacji osób posądzonych o czary czy o konszachty z diabłem było palenie na stosie, podczas gdy tutaj jest odwrotnie - rolę taką pełni zamrożenie osoby podejrzanej (wynika to chyba z tego, że Dziwka reprezentuje upał, gorączkę, ogień).

Sam rytuał jest bodaj równie okrutny jak zachodnioeuropejskie stosy. Najpierw podejrzanego (pozbawionego ubrania) przywiązuje się do pala. Biała Wieża jest tak mocno wysunięta na północ, że przez ponad połowę tutejszego roku można liczyć na ujemne

temperatury, zwłaszcza nocą, kiedy mróz staje się naprawdę silny. Po przywiązaniu do pała skazańca oblewa się lodowatą wodą, jedno wiadro, drugie, woda zaczyna ściekać po nagim ciele, a wkrótce, kiedy mróz tężeje - krzepnie. Do rana podsądny (choć w istocie sądy odbywają się rzadko, często karę wymierza się, nim oskarżony doczeka procesu, trzeba wszak działać szybko, Dziwka nie śpi) zamienia się w zimny, sztywny sopel, otacza go coś w rodzaju szklanej, nieforemnej trumny - lodowa bryła, w której zastygł. Następnie miejski kat grubym metalowym prętem uderza w zamrożone ciało w taki sposób, by ludzki sopel złamał się na dwie części - co kończy egzekucję (ten ostatni etap związany jest z pogłoską, jakoby najpotężniejsi słudzy Dziwki potrafili przetrwać zmrożenie).

W taki sposób zakończyli żywot trzech ostatni pretendenci do korony.

Wiedząc to wszystko jeszcze przed wejściem w mury pałacu namiestnikowskiego, nie mogę pozbyć się poczucia niestosowności, podczas gdy idący obok mnie major Kadziński tłumaczy zawzięcie, że nie mam racji.

- Oni naprawdę byli skażeni - mówi mi. - Sprawdziliśmy ich, żyli na pograniczu, pili wodę z sadzawek retencyjnych, przesiąkli światłem Dziwki. Wyglądali normalnie (jeszcze!), ale byli podejrzani. Dlatego nie interweniowaliśmy.

Nie chce mi się pytać, co z prawem do obrony, uczciwym procesem, zakazem kary śmierci - tutaj rządzi inna logika, major najwyżej uśmiechnąłby się z politowaniem.

Na namiestnikowskich salonach widać poruszenie, ekscytację, traktują nas z rewerencją, jaką okazują, jak się domyślam, nielicznym. Namiestnik kiwa głową, gdy major wyjaśnia mu, jaki jest cel mojej wizyty, bez problemów otrzymuję wszystkie możliwe glejty, pieczęcie (w tym najważniejszą - pieczęć namiestnikowską) i weksle pozwalające nie martwić się o kwestie materialne - i od tej chwili mogę poruszać się po Trzecim Świecie (a przynajmniej po tej jego części, gdzie sięga władza lub wpływy Białej Wieży) w sposób nieskrępowany. Namiestnik wyraża wprawdzie zatroskanie, że wybieram się tak daleko na południe, jednak nie próbuje nawet protestować. Przywołany gestem wróż prowadzi mnie do ustawionych na kamiennym stole brył lodu i, mamrocząc coś pod nosem, nakazuje wpatrywać się w nie jakiś czas - po to, abym przynajmniej zobaczył, co mi grozi.

W jednej z brył widzę tylko czerwone, intensywne światło, tak ostre, że muszę zmrużyć powieki, nieprzyjemne i złowrogie. Stopniowo, gdy wzrok przyzwyczaja się nieco, udaje mi się rozróżnić pewne kształty: w dole ciągnie czarny pochód - armia deformantów, straszdeł, maskaronów. Przyznaję, na ten widok przechodzi mnie dreszcz, wszelkie porównania z

obrazami Boscha, Beksińskiego czy Memlinga nie są w stanie oddać tego, jak odrażające były to postacie. Szybko przenoszę spojrzenie na drugi kryształ, iskrzący się błękitem i zielenią.

Tak, błękit i zieleń występują, lecz nie są same - przeciwległa strona wielkiej równiny (którą okrucuch lodu ukazuje stopniowo, jak gdyby operował nim sprawny kamerzysta) iskrzy czerwienią i czernią. Kiedy obraz się wyostrza, dostrzegam wojska. Po jednej stronie armia, można powiedzieć, tradycyjna: wojska połyskują żelazem, zza osłon wyglądają jasne spojrzenia, a proporzec - niebieskie pole dzielone na cztery mniejsze białymi liniami - wskazuje, że to oddziały jednego z państw sojuszniczych Białej Wieży (wyraźny dowód to symbol widniejący w lewej, dolnej ćwiartce sztandaru). Oprócz nich widać naszych, żołnierzy Królikarni; ustawiają artylerię, przygotowują stanowiska strzelnicze, konstruuja umocnienia, saperzy zapewne zaminowali już teren, na który za moment wylegną hufce wroga. Gdzieś w tle widać czarne plamki na niebie - to helikoptery, a dalej, naprawdę daleko za nimi, smugi kondensacyjne świadczące o tym, że rzucono też myśliwce.

Ale kiedy spoglądam na drugą stronę, wiem, że i myśliwce tu nie pomogą.

Pokazują mi kolejną bryłę lodu.

Jest to chwila oddechu, bo nie ma tam żadnych kreatur podobnych do tych oglądanych we wcześniejszych relacjach. Widzę tylko puszcę, z pozoru wygląda ona zwyczajnie, niemniej - jak informuje mnie stojący obok mag - jest to puszcza, do której dociera już światło Dziwki. I - jeśli przyjrzeć się szczegółom (a, dodajmy, bryła lodu ma świetne wyczucie szczegółu) widać tego efekty. Drzewa deformują się; jedne wyrastają tak, że tłamszą inne, rozprzestrzeniają się poziomo, rosą wbrew fizyce, pnie wyginają się, grubieją w dzikie, upiorne kształty. Mag chce, bym zwrócił wzrok na kolejną relację, lecz ja zatrzymuję się przy tej, patrzę długo na drzewa, które stłamsiły pozostałą roślinność, patrzę na te pogruźlone pnie, na zrosty, na zdeformowaną korę, wzrok się przyzwyczaja, zaczynam rozpoznawać wzorzec, powtórzony w każdej deformacji, patrzę dłużej, patrzę i już wiem. Widzę twarz! Upiorną, wrytą w drewnie podobiznę, zwielokrotnioną w wielu egzemplarzach. Twarz groźną, ponurą, srogą - w jej rysach odnajduje się władczą siłę, nieustępliwość, ale i niecofające się przed niczym okrucieństwo. Mag spogląda na mnie z niedowierzaniem i na wszelki wypadek pyta, czy ja rzeczywiście widzę jakieś oblicze - dotąd potrafili je dostrzec tylko rdzenni mieszkańcy Trzeciego Świata, dla ludzi z Królikarni były to tylko brzydkie, chaotyczne odkształcenia. Kiwam głową, że tak, że oczywiście. Wtedy ów mag mówi: - Twarz Czarownika.

Z NOTATEK (3) - NIEKTÓRZY MÓWIĄ, ŻE ON TU JEST

Według tutejszych opowieści w zmaganiach z Północą Dziwka nie jest osamotniona; powiadają, że ma męża, oblubieńca, sługę, władcę, namiestnika, który w jej imieniu przemierza Trzeci Świat, zasiadającego na tronie w Antymieście, jest złem wcielonym i wcieloną mocą.

Czarownik.

Trzeci Świat, nawet jego północna część, pełny jest poświęconych mu podań, powiastek, legend.

Czarownik.

Nikt nie może dojrzeć prawdziwego Czarownika. Prawdziwy Czarownik gości na sabatach, rzucając kośćmi, decyduje o naszym nieszczęściu, przemieszcza się w jednej chwili z miejsca na miejsce, jada ludzkie mięso, pija krew, a jego lewa dłoń ma siedem palców, by łatwiej przychodziło mu rzucanie czarów. Nikt nie zna jego głosu, nikt nie zna jego prawdziwej twarzy, kształtu głowy, postury.

W Trzecim Świecie, w tych miastach i księstwach, którymi nie opanowała jeszcze gorączka Dziwki, przy bramach stoją widzący: próbują dostrzec, kiedy Czarownik przychodzi. Zazwyczaj im się ta sztuka nie udaje.

Wciąż jednak tutejsi mają nadzieję, że narodzi się człowiek o takim wzroku i o takiej sile woli, że zobaczy, jak gęstnieją ciemności nocy, które schną, zastygają, tężeją, ogniskując się w czarne węgle i składając się w utkaną z mroków postać; i wówczas człowiek ów ujrzy mroczną twarz Czarownika*.

Niektórzy mówią, że on już tu jest.

Z NOTATEK (4) - WRÓG

„Nigdy nie wiadomo, gdzie czai się wróg”.

Zapisałem sobie to zdanie - w swej logice było tak ludzkie, tak ziemskie. Zupełnie nie pasowało do mieszkańca Białej Wieży. Wryły mi się w pamięć te słowa tak dobrze, że ledwie zamknę powieki - znów słyszę ten głos, znów widzę tę twarz.

- Nigdy nie wiadomo, gdzie czai się wróg - wyjaśnia mi postawny starzec chroniący twarz pod białym kapturem. To jeden ze Strażników.

W światach takich jak nasz, na Ziemi, pod rządami, które sami sobie obieramy, w ustrojach, w których podstawą jest poszanowanie prywatności, a zasada domniemania niewinności stanowi fundament prawa karnego, osoby pokroju mojego rozmówcy byłyby personami wyklętymi przez społeczeństwo, odrzuconymi, poddanymi pełnemu ostracyzmowi. Zadaniem Strażników jest bowiem podejrzewać. Lecz zanim czytelnik zacznie budować wygodne paralele do KGB, SB, NKWD, CIA i innych tajnych służb, na Ziemi stawianych za przykład zła wcielonego, trzeba przyjąć do wiadomości, że Trzeci Świat rządzi się innymi prawami. Na Ziemi konflikt, przynależność do dwóch zwalczających się frakcji, zawsze odbywa się w ramach jednego systemu myślowego, jednej logiki, wszystkich obowiązują te same prawa fizyki, chemii, wszystkich dotyczy podobny kod kulturowy - a niezgoda, konflikt rozgrywają się wyłącznie w głowach.

Tutaj jest inaczej.

Przynależność do danego stronnictwa nie jest czymś, co można swobodnie wybrać, o czym można decydować. Najczęściej jest to kwestia urodzenia - urodzisz się pod Matką, zostajesz sługą dobra; przyjdiesz na świat tam, gdzie pada czerwone światło Dziwki - nie masz wyjścia, jesteś zły, bez dyskusji.

Trzeci Świat to królestwo determinizmu.

Najgorsze zaś, że jest to niezwykle bezwzględna prawda - mam na myśli, iż nie chodzi tu o zwyczajną tradycję (jak choćby taką, że ludzie z Warszawy kibicują Legii, a poznaniacy - Lechowi). Nie, owo zło lub dobro to przymus (ciągnąc futbolową analogię - można byłoby znaleźć poznaniaka, który wyłamuje się przymusowi społecznemu i kibicuje Legii - tutaj to nie do pomyślenia).

Oczywiście, dochodzi do konwersji, lecz jest to przemiana znacznie głębsza i niemożliwa bez zewnętrznej ingerencji. Największy wpływ ma światło (jeśli ktoś z Południa będzie długo pozostawał pod wpływem Matki, zło ustąpi). Z drugiej strony, jeśli kogoś z Północy posłać daleko na Południe, wtedy można postawić na nim krzyżyk; jeśli wróci, to jako jeden z deformantów, święcie wierząc, że to, za co aktualnie walczy (czyli zło), jest właściwe. W tak nakreślonej sytuacji ewentualne konwersje, zmiany barw, nabierają zupełnie nowego charakteru i są szczególnie zawzięcie tępione.

Dlatego właśnie Strażnicy są potrzebni. Są niezbędni.

Jak wyjaśnił mi mój zakapturzony rozmówca, przemiana (a raczej Przemiana) możliwa jest również w innych sytuacjach, nie tylko przez ekspozycję na światło jednej lub drugiej

* W tym fragmencie wykorzystano cytaty z R. Kapuścińskiego („Heban”, s. 202).

gwiazdy.

„Woda, która widziała Dziwkę, zboże, które rośnie pod Dziwką - pamiętaj!” - powiada się tutaj, a przysłowie to oznacza, że materia (a przynajmniej pewne jej rodzaje) przeniesiona z drugiej półkuli zachowuje właściwości tamtego obszaru. Upraszczając - jeśli się napije wody z Południa, przejdzie na stronę ciemności.

Strażnik twierdzi, że zdarza się to często. Że codziennie kogoś odkrywają. I rzeczywiście, jeśli pochodzić po mieście, nie sposób nie natknąć się na grupę białych zakapturzonych postaci prowadzących kolejnego odstępcę. Bierze się go do lochów, bada (o metodach badania można by wiele napisać, a obrońcy praw człowieka nie byłoby zachwyceni) i decyduje, czy dany osobnik ma jeszcze szansę wyzwolić się spod zgubnego wpływu, czy może jeszcze przejść terapię, czy jest już za późno i należy dokonać zmrożenia. Ponieważ zmiany nie od razu odbijają się na wyglądzie danej osoby, Strażnicy muszą być szczególnie czujni, rozwinęli też gęstą sieć informatorów i tajnych współpracowników, a korzystając ze sprzętu udostępnionego przez Królikarnię (sama Królikarnia nie chciała najwidoczniej brudzić sobie tym rąk), tutejsze służby mogą śledzić większość tego, co dzieje się w mieście. Jako przybysz z Ziemi miałem wstęp wszędzie, korzystając z tego prawa, odwiedziłem ich loch, w podziemiach Białej Wieży (tam zlokalizowana jest główna kwatera tej służby) - ściany pokryte ekranami wyświetlającymi obraz z kilkuset kamer, dziesiątki osób ze słuchawkami na uszach, wciąż i wciąż spływają raporty, ktoś biegnie, ktoś krzyczy, poprzez długi tunel lochu niesie się wrzask kogoś, od kogo Strażnicy wydobywają niezbędne do swej pracy informacje. Widać pośpiech, gorączkę, widać, że ci, którzy służą w „białych kapturach” (to potoczna nazwa), mają poczucie misji. Wszędzie walają się puste puszki po napojach energetyzujących.

Ulica może i nie pała do Strażników szczególną sympatią, ale też nie ciąży na nich odium, nie są wykluczeni poza nawias społeczeństwa. Sama służba zresztą jest nad wyraz egalitarna, przyjmuje się do niej każdego, kto rokuje nadzieje - są więc elfy, gnomy, ludzie, krasnoludy, umarli, ludzie-ptaki, centaury, zwierzołaki i wiele innych stworzeń niewymienionych tu przeze mnie z braku miejsca - pełne spektrum ras zamieszkujących Trzeci Świat.

- Gównem by bez nas zrobili - mówi Strażnik, wskazując na przechodzących ulicą, zadzierających dumnie podbródki rycerzy, spoglądających z wyższością na otaczający ich tłum. I rzeczywiście - jakkolwiek lapidarnie ujął to mój rozmówca, mówił prawdę, którą jak w soczewce zobaczyłem w tamtej chwili: rycerstwo, choć wciąż w Trzecim Świecie cieszące się poważaniem, odchodziło do przeszłości, stanowiło wybrzmiałą pieśń, relikw, dekoracje, tak jak na Ziemi papierowe gazety w dobie Internetu.

Tutaj Strażnicy byli Internetem.

Na razie jednak pozostają w cieniu, ich domeną jest noc, kręty loch, podsłuch, interaktywna mapa Białej Wieży, gdzie czerwone punkciki oznaczają podejrzanych. Walczą o to, by wróg nie dostał się do cytadeli dobra, walczą, by uchronić główną kwaterę przed siłami zła, walczą, by zachować harmonię, porządek, piękno.

Swoista to ironia losu - w innej rzeczywistości byliby wyklęci, tutaj są nadzieją.

Z NOTATEK (5) - TAK, TAK, NIE, NIE.

Pobyty w Białej Wieży, pod światłem Matki, ma dobre strony - pewne rzeczy zaczyna się widzieć ostrzej, bardziej zdecydowanie. Na Ziemi wszystko jest niejednoznaczne, zniuansowane, rozmyte; przyjęło się mówić, że nasz glob to Błękitna Planeta, ale lepiej rzec - planeta szara, bo wszystko jest u nas szare, ta szarość przechodzi z odcienia w odcień, raz bywa bardziej zdecydowana, kiedy indziej znów słabsza, ale nigdy nie dochodzi do skrajności, nie osiąga bieli albo czerni.

Trzeci Świat to właśnie biel i czerń, choć chcąc być precyzyjnym, trzeba byłoby powiedzieć - biel i czerwień.

Nie ma tutaj miejsca na hamletyzujących przywódców, rozwątpionych intelektualistów, kwestionujących każdą prawdę, nie ma miejsca na owe niuanse, w których tak się lubują ziemscy mędrcy. Granice zarysowane są jasno, przejrzyste - wiadomo, kto jest wrogiem, kto przyjacielem, wiadomo, jakie czyny są złe, jakie dobre, nikt nie ma wątpliwości, nikt się nie waha.

Nikt się nie waha.

Oczywiście można by wskazać na Ziemi takie miejsca, gdzie podobnie widzi się świat - Irlandia Północna, Rwanda, pogranicze turecko-ormiańskie, Izrael, Iran, Palestyna. Ale na naszej planecie brakuje przysłowiowej kropki nad „i”, brakuje pieczęci - bo ostatecznie wszystko rozgrywa się w ludzkich głowach. Czy ktoś zmusza Palestyńczyków, by rzucali się na Żydów? Nie! A tutaj?

Tutaj, w Trzecim Świecie, takie zabójstwo to prawie że biologiczna konieczność. Przynależność do jednej ze stron konfliktu działa jak prawo ciężenia. I przekłada się na wszelkie inne sfery życia. W Białej Wieży nie ma oszustw, wszyscy karnie płacą podatki, niemal nie zdarzają się morderstwa, nie ma rabunków. Nawet Strażnicy nie kierują się okrucieństwem czy żądzą władzy - ich bezwzględność wynika ze swoistego rozumienia służby

dobru i z jasnego zakreślenia granic. Na Ziemi w ostatecznym rozrachunku zawsze walczysz z człowiekiem, takim jak ty sam, nie ma obiektywnego, zewnętrznego probierza moralności danej osoby, podczas gdy w Trzecim Świecie sprawa jest jasna jak światło Matki.

O czym gadać z diabłem? Co negocjować?

Dlatego sięga się tutaj po rozgrzane żelazo, po łańcuchy, kołowroty, krzesła nabijane gwoździami, po lodowatą wodę, twarde metalowe pręty i wiele innych wymyślnych sposobów torturowania, bez chwili zastanowienia, ze świadomością, że nie ma alternatywy. Nikogo tutaj też takie metody nie oburzają, nie nazywa się tego nawet mniejszym złem, nazwanie złem jakiegokolwiek aktu przemocy wobec Południowców nie mieści się mieszkańcom Białej Wieży w głowie.

Może właśnie temu należy przypisać, że pewna część moich rodaków wcale nie chce wracać? Godzą się, że zostaną odcięci od Ziemi, gdy portale się zamkną. Zostają, bo tęsknią do istic bliźniego rozróżnienia na dobro i zło, a w tej Polsce, która na nich czeka, tego na pewno nie doświadczą. Tak, tak, nie, nie - jakie to tutaj proste.

Z NOTATEK (6) - MIEJSCE NA ZIEMI

Przechadzając się uliczkami Białej Wieży, widziałem właśnie, jak stara, schorowana babina ustępuje drogi odzianemu w piękne szaty młodzikowi, synkowi jakiegoś możnowładcy (świadczył o tym herb wyszywany na piersi na szacie - trzy czarne rogi w białym polu). Chłopiec mógł mieć może kilkanaście lat, babinka ledwie chodziła i zapewne pamiętała czasy, kiedy to Północ napierała na Południe. A jednak to ona uskoczyła przed nadchodzącym, to ona (nie wiem, jakim cudem) skłoniła się jeszcze, a młodzik nawet na nią nie spojrział.

Hierarchizacja jest częścią tożsamości tych, co zamieszkują tę Legendę - o wszystkim decyduje urodzenie, krew, herb; głupi rysunek trzech czarnych rogów na białym tle otworzy ci wszelkie drzwi, podczas gdy talenty, ciężka praca, męstwo - niekoniecznie. Tutejsi świetnie manewrują w skomplikowanej sieci zależności, wiedzą, czy ważniejsze są trzy rogi, czy może złoty gryf, a wszystkich i tak przebija białe drzewo (białe drzewo w zielonym polu to herb namiestników władających Białą Wieżą); gorzej przychodzi im ocenianie faktycznych kompetencji i kwalifikacji danej osoby. Nie jest to zresztą zupełnie do niczego potrzebne, choćbyś był nie wiem jak utalentowany, herb, urodzenie, miejsce twojego rodu w hierarchii i tak przeważają.

Ma to swoje zalety, tłumaczył mi jeden z niższych oficerów Królikarni, w cywilu socjolog. Tutaj, jak sięgnąć pamięcią, nie było rewolucji, struktury społeczne są trwałe, łatwo nimi kierować. Więc kiedy babina uskakuje przed smarkaczem i prawie że przed nim klęka - to nic nadzwyczajnego, to reakcja równie naturalna jak oddychanie, właściwa dla wielu Legend, w których społeczeństwo zabrnęło w ślepią uliczkę feudalizmu.

Czasami próbuję sobie wyobrazić jakiegoś ziemskiego aktywistę anarchizmu czy alterglobalizmu lądującego w Trzecim Świecie. Podchodzi do babiny, krzyczy, że to jawna niesprawiedliwość, próbuje kogoś zainteresować losem tej biednej kobiety: a zewsząd otaczają go nierozumiejące twarze, puste spojrzenia, słowa niedowierzania, obojętność. Co gorsza, sama babina odskakuje od dziwaka, strząsa jego dłoń (a nasz hipotetyczny anarchista podał ją przecież w najlepszej wierze - by mogła się wyprostować), spluwa, przekonana, że ma do czynienia z szaleńcem, pijakiem, wichrzycielem lub - nie daj Matko - Południowcem.

Nie słyszałem o żadnym takim działaczu, który by tutaj przeniknął. Ale nawet gdyby - ile mógłby taki podróżnik wytrzymać w Trzecim Świecie? Tydzień? Dwa?

Po trzech albo uciekłby na Południe, albo sam stał się monarchistą.

Spojrzenie uskakującej przed gołowąsem staruszki jest wymowne i oczywiste, mówi mi: każdy powinien znać swoje miejsce.

Z KSIĄŻEK - O UPADKU ŚWIATÓW

Dość szybko zaczęły się rodzić we mnie podejrzenia. Decyzja o tym, że my, Polacy, wycofujemy się z kolonii, przerzucane na Ziemię nocą, ukradkiem, trupy żołnierzy, coraz to nowe incydenty, blednące z każdym dniem światło Białej Wieży, wędrowni kaznodzieje płaczący się po mieście - wszystko to zaczynało układać się w spójną mozaikę.

Wiedziałem już, że Południe jest w natarciu, w ofensywie, ale przecież - czy to dla Królikarni nowość? Boże, nie, podróżując po Legendach, napatrzyłem się na niezliczoną ilość starć, wojen, potyczek, z którymi Królikarnia poradziła sobie świetnie. Przewaga, jaką dawały nowoczesne technologie wojskowe i podłość charakteru, była zbyt duża. Tymczasem w Trzecim Świecie było inaczej. Cofaliśmy się (my, Ziemianie) i nic nie wskazywało na to, że trend ten można odwrócić.

Rzeczpospolita bardzo rzadko opuszcza swoje kolonie, utrzymuje placówki nawet w tych całkiem niedochodowych. Jest to, rzecz jasna, powodowane resentymentem, w dziewiętnastym

wieku bogacili się wszyscy i wszyscy grabili swoje zamorskie lądy, tylko nie my - my bowiem, jako Chrystus narodów, zostaliśmy ukrzyżowani przez trzy wraże mocarstwa. Efekt tego kompleksu, który, jak się okazuje wciąż drzemał w zbiorowej podświadomości, był taki, że trzymaliśmy nasze przyczółki w Legendach stanowczo i za wszelką cenę. To nic, że Legend jest wiele (około setki); walczymy o każdą, jak minister Beck o honor.

Trzeci Świat stanowił wyjątek, jasny przebłysk racjonalizmu w tym narodowym szaleństwie. Skoro tak, to, doszedłem do wniosku, wyjątkowa musiała być również przyczyna owej - jakże rozsądnej - decyzji o porzuceniu kolonii.

Pomyślałem wówczas o pracach Kirchnera i Kotowskiego na temat Światów Tamtej Strony - zwłaszcza o fundamentalnej „Genezie Baśni” dotyczącej tego, jak powstały i jak się będą rozwijać Legendy. Twierdzenia tych naukowców wielokrotnie krytykowano, lecz wyglądało na to, że mam przed sobą pierwszy świat (lub ściślej - zaświat), w którym hipotezy Kirchnera i Kotowskiego się sprawdzą.

- Armageddon? - zapytałem, kiedy tuż przed moim wyjazdem na Południe po raz ostatni spotkałem się z Zawadzkiem.

- To tylko teoria, bez twardych dowodów - mruknął pod nosem, ale nie wyglądał na zaskoczonego, kiedy wyłożyłem mu swoje spostrzeżenia i jednocześnie odwołałem się do tez wspomnianych naukowców.

- Kirchner i Kotowski uważają, że istnieją trzy rodzaje odkrywanych przez nas światów. Po pierwsze światy pozostające w równowadze, ustabilizowane, w których życie na pozór toczy się tak jak na Ziemi. Druga kategoria to rzeczywistości początkowe, w okresie niemowlęcym, młode - w nich sytuacja jest dynamiczna, mają przed sobą bardzo długą i niepewną przyszłość. Jest wreszcie trzeci rodzaj - światy przełomu. Kirchner w eseju „Początek i koniec Uroborosa” opisuje możliwe warianty zmiany. Ponieważ - jak dowodzi - wszystkie światy baśniowe biorą się z jednego pnia (pniem tym jest zestaw mitów funkcjonujących w kulturze zachodniej), wszelkie światy fikcyjne (inaczej nazywane Baśniami lub Legendami) nieuchronnie dążą do przełomu, do konfrontacji. Ich przeznaczeniem jest ostateczna bitwa dobra ze złem. Armageddon, gdzie oba rozstrzygnięcia są możliwe.

Pamiętam, że Zawadzki na te słowa nieoczekiwanie się uśmiechnął.

- Może i coś w tym jest, ale nie we wszystkich punktach Kirchner miał rację - rzucił niedbale. - Nawet pan nie wie, jak się staraliśmy, ile wysiłku podjęto, jakie poszły nakłady. Nie udało nam się doprowadzić choćby do równowagi stron. Wprawdzie coś tam się jeszcze planuje, w pogotowiu stoją kolumny pancerne, helikoptery, tysiące świetnie wyszkolonych żołnierzy; słowem - będziemy jeszcze próbowali. Ale nie sądzę, żeby się powiodło. Nie, więcej

racji miał Kotowski, pisząc, że los niektórych z tych światów jest z góry przesądzony, od samego początku.

- Zło zwycięża?

- Pan jedzie na Południe, prawda? Nie zrezygnował pan? - Znowu się uśmiechnął, choć bardziej przypominało to grymas, w tym wyrazie twarzy nie było wesołości. - Sam pan zobaczy.

FOTOGRAFIA 2 - GRYPING

Kolejne zdjęcie w moich zbiorach jest bardzo nastrojowe, przypominające nieco widoki, jakie oglądamy na londyńskich pocztówkach - wąska, brukowana uliczka, nad którą pochylają się stare, stylowe kamienice, tonące w białym oparze. Obiektyw świetnie uchwycił poranną mgłę - owa mgła to, odkąd wzmogła się aktywność Dziwki, na Północy rzecz normalna, stały element krajobrazu. Jest to mgła mroźna, ostra, nieprzyjemna, dzień w dzień zniechęcająca mieszkańców miasta do wychodzenia z domów. Mgła powodująca, że prawdziwe życie zaczyna się dopiero wtedy, gdy opar opadnie - w Trzecim Świecie to coś znacznie poważniejszego niż zjawisko klimatyczne (choć miejscowi tak to właśnie postrzegają). Dla przybysza z Ziemi pewnym zaskoczeniem może być jednak fakt, że mgła przywraca do życia umarłych, że ci, co mają z nią styczność, znikają bezpowrotnie lub wracają odmienieni, tracąc pamięć albo ludzki wygląd. Tutejsza mgła to mgła znana z horrorów lub sag fantasy, to mgła nie tylko realna, ale i symboliczna.

Natury tego zjawiska nikt do tej pory nie zbadał, i wzięwszy pod uwagę, że Ziemia wycofuje się z Trzeciego Świata, nikt już pewnie tego nie zrobi.

Z powodu owej mgły nad ranem większość zlokalizowanych w pobliżu uroczysk i bagnisk miast na Północy jest wyludniona i trochę niesamowita. Na zewnątrz pokazują się tylko ci, co muszą.

Tacy, jak ów mężczyzna.

Ciemny, zamazany kontur na fotografii.

Śmieciarz.

Miejscowy.

Do tego typu prac bierze się w Trzecim Świecie tubylców, moi rodacy nie mają ochoty brudzić sobie rąk, czystych od świeżego dobrobytu, nie mają też zamiaru ryzykować zetknięcia

z mgłą. Dlatego zatrudnia się gnomy, gobliny lub krasnoludy, by ranek w ranek dbały o czystość ulic. Wbrew pozorom z perspektywy mieszkańca Trzeciego Świata nie jest to los zasługujący na wyrazy współczucia: regularna pensja (niewysoka), jedzenie i ciepły nocleg powodują, że praca śmieciarza jest dla tutejszych bardzo atrakcyjna, władze miast nigdy nie narzekały na brak kandydatów.

Gdybyśmy się przyjrzeni zdjęciu uważniej, gdybyśmy je powiększyli (co na Ziemi jest bardzo proste, możliwe na każdym komputerze), musielibyśmy skonstatować, że ulica jest przesadnie czysta, tak czysta, że wygląda nienaturalnie. Przede wszystkim nie znajdziemy tam śmieci typowych dla naszej cywilizacji - czyli papierków, niedopałków, gum do żucia, opakowań po sokach jednorazowych, brak jest plam oleju, zgniecionych puszek po piwie, foliowych torebek, resztek jedzenia, walających się plakatów, które odpadły od słupów ogłoszeniowych, nie ma szkła z rozbitych butelek, zepsutych zabawek, gruzu, zgniłych owoców, opakowań po prezerwatywach i psich odchodów.

Ale to nie wszystko, czystość miasta nie bierze się z jego technologicznego zapóźnienia (zwłaszcza że to miasto Ziemi, prawdziwy nowy świat, trzecioświatowy Nowy Jork). Nie, nawet uważne oko nie znajdzie na zdjęciu również śladów, jakie zostawia za sobą cywilizacja właściwa dla Trzeciego Świata (czyli nieznaną samochodów, tworzyw sztucznych i telefonów komórkowych). Owszem, są śmieciarze, tacy jak ten ze zdjęcia, lecz intuicyjnie wątpimy w to, że są oni aż tak skuteczni, tak skrupulatni. Gdzie się podziały końskie odchody, które tak często można spotkać w Białej Wieży? Gdzie słoma, którą wyklada się tu na brukowane uliczki, by turkocący wóz nie budził śpiących w kamienicach? Gdzie kawałki drewna, służącego powszechnie do opalania pieców i kominków? Gdzie resztki jedzenia walające się w okolicach karczem?

- Wyjechali - mówi mi śmieciarz, potężny, zgarbiony krasnolud, z długą siwą brodą. - Wyjechali wszyscy.

Kiedy padają te słowa, stoimy na brukowanych uliczkach Tarnowa Podniebnego. Przyjechałem tu sam, wiedząc już, że termin wyjazdu na Południe szybko się zbliża. Chciałem, jeszcze przed wyprawą na półkulę Dziwki, zobaczyć to miejsce. Pierwszy pomnik porażki ziemskich kolonizatorów.

Do niedawna tętniło tu życie, to tutaj, a nie w Białej Wieży znajdowały się przedstawicielstwa większości ziemskich firm prowadzących interesy w Trzecim Świecie, tutaj zawierano największe interesy, tutaj obsługiwano większą część eksportu idącego prosto do sklepów Warszawy, Poznania czy Krakowa. Jeszcze niedawno ulicami biegały tysiące urzędników, agentów celnych, prawników, finansistów, bankierów, product menedżerów -

wszyscy zapatrzeni w swoich elektronicznych bożków, wszyscy analizujący niekończące się kolumny danych, z kubkami kawy w dłoniach, spracowani, zdeterminowani, by zarazić Trzeci Świat nowoczesnym kapitalizmem.

Przez chwilę była tutaj prawdziwa ziemia obiecana.

Spoglądając w głąb ulicy, wciąż można znaleźć polskie szyldy, drogowskazy, polskie nazwiska na drzwiach kamienic.

- Wyjechali - powtarza smutnym głosem śmieciarz, którego prosty, ustabilizowany i w gruncie rzeczy przyjazny świat właśnie legł w gruzach.

Najpierw wyjechali prezesi lokalnych oddziałów banków.

W czasie, kiedy Polacy zajmowali miasto, Grypping (tak miał na imię mój rozmówca) zdążył dojść do prostej, lecz pozytywnej konstatacji: czego jak czego, ale śmieci, tam gdzie są ci „nowi”, ci „inni”, śmieci więc - na pewno nie zabraknie. Podług tej prawdy skroił też swoje postępowanie, swój master plan, zakładający ciche i skromne życie, w którym nigdy nie będzie brakowało na jedzenie.

Następni wyjechali dyrektorzy oddziałów i menedżerowie wysokiego szczebla, zabierając ze sobą swoje żony, dzieci i kochanki.

Grypping mówi, że śmieci było dużo jeszcze całkiem niedawno - kiedy rozeszła się wiadomość o pierwszej porażce wojsk Królikarni na Południu (wcześniej Wojsko Polskie uchodziło tutaj za niezwyciężone), mieszkańcy Tarnowa Podniebnego rzucili się nie do ucieczki, lecz do wzmożonej konsumpcji. Jeszcze więcej kawy, jeszcze więcej papierosów, jeszcze więcej opakowań po fast foodach, jeszcze więcej prezerwatyw. Odreagowywali strach, chcieli zagłuszyć rodzącą się niepewność, przesłonić nadciągające zagrożenie. Wtedy, wzdycha Grypping z nostalgią, było dużo śmieci.

Potem wyjechali właściciele lokalnych biznesów (wprawdzie mieli pieniądze i wiedzę o tym, co dzieje się w Trzecim Świecie porównywalną z dyrektorami banków, jednak trudniej przychodziło im porzucić swój dorobek, wypracowywany nierzadko przez dziesięciolecia). Ich wyjazd okazał się szczególnie malowniczy - długa procesja ciężarówek, ciągników siodłowych, wreszcie i wozów wiozących skrzynie i kontenery ciągnęła się główną ulicą przez całe miasto i dalej, dwa kilometry za mury. W tej chwili jest tam tylko wielka dziura w ziemi i rachityczne pozostałości budowli, lecz wtedy, gdy trwał exodus, stał w tym miejscu portal prowadzący wprost pod Poznań. Samochodowy wąż wychylał więc łeb za miasto, wchodził pomiędzy dwa wysokie słupy - i znikał, kawałek po kawałku, skrzynia po skrzyni, ciężarówka po ciężarówce. Znikanie odbywało się z wielkim hukiem, Grypping twierdzi, że przez trzy tutejsze doby nie można było zasnąć, bo ewakuacja trwała nawet nocą, nawet pomimo mgły, a

hałasy, dochodzące raz za razem od strony portalu, wciąż i wciąż wstrząsały miastem.

Widząc, że Tarnowo Podniebne pustoszeje, do ucieczki rzucili się pozostali.

Na innym zdjęciu, które gdzieś mi się teraz zawieruszyło, można dojrzeć skutki paniki, jaka wówczas wybuchła. Kilkadziesiąt świeżych krzyży na tutejszym cmentarzu (odznaczają się wyraźnie od innych jasnym kolorem i tym, że wszystkie zrobione są z taniego drewna) - wystrugał je Grypping, wprawdzie nie bardzo wiedział, co oznaczają, ale podpatrzył, jak Ziemianie grzebali swoich zmarłych, i kiedy ich zabrakło, postąpił tak samo. Odształconymi przez mgły palcami chwycił łopatę, wykopał czterdzieści cztery dziury w ziemi, zbił, korzystając z desek znalezionych w opuszczonych domach, czterdzieści cztery trumny i wystrugał czterdzieści cztery krzyże, zatykając je na czterdziestu czterech skromnych kopczykach. Gdyby nie on, nie byłoby nikogo, kto zająłby się stratowanymi ciałami prawników, lekarzy, finansistów, maklerów, agentów celnych i wszelakich urzędników, którzy zginęli w czasie chaotycznej ewakuacji.

- Wszyscy... - powtarza ciężko Grypping. - Wyjechali.

Wszyscy.

Bo na ucieczce moich rodaków przez portal (następnie go wyburzono) exodus się nie skończył. W mieście pozostała całkiem spora grupa autochtonów, osób pokroju mojego rozmówcy, ściągniętych do Tarnowa Podniebnego, by usługiwać nowym władcom Trzeciego Świata. I teraz ta grupa pozostaje bez pana. Bez opiekuna. Bez celu.

Pierwszy odruch jest łatwy do przewidzenia - gnomy, kruki, gobliny, krasnoludy, duchy, zwierzołaki ruszają do szturmów na opuszczone domostwa Ziemian. Nie, nie po to, by tam zamieszkać (tutejsi uważają wiele rzeczy, w naszym mniemaniu uchodzących za zdobycze cywilizacji, za zwykłe dziwactwa).

Ale może jednak coś się tam ciekawego znajdzie?

Wywozili skrzynie, kufry, kontenery, racja.

Ale może jednak coś tam zostało?

Ale może jednak o czymś zapomnieli?

O czymś, co można wynieść. Zabrać. Wrzucić na wóz. Schować za pazuchę płaszcza. I uciec.

Kolejny tydzień przebiegł w Tarnowie Podniebnym pod znakiem radosnego rabunku. I znów - jeśli by spojrzeć na miasto z lotu ptaka - trzeba by powiedzieć, że pojawił się wąż. Długa, wąska nitka tych, którzy ruszyli ciągnącą się dwieście kilometrów drogą, przez pustkowia. Ilu z nich dokądkolwiek doszło? Ilu sprzedało swoje zagrabione z domów Ziemian skarby na bazarze w Białej Wieży? Ilu zginęło po drodze? Bilans pozostanie otwarty, tego nie wie nikt, a

z uchodźcami nie było rachmistrza w rodzaju Gryppinga, który za pomocą czterdziestu czterech krzyży podsumowałby cenę tej wędrówki.

Kiedy rozmowa z Gryppingiem dobiega końca, proponuję, żeby jechał ze mną. Do najbliższej miejscowości jest daleko, mam samochód, wracam do Białej Wieży, mam wolne miejsce, a tutaj co go czeka? Wysprzątałeś już wszystko! - namawiam. Kręci przecząco zniekształconą głową, na której widać płaty łuski, zachodzącej na skórę (poranna mgła obeszła się z nim stosunkowo łagodnie, lecz mimo to straszy swoim wyglądem i w Białej Wieży pod okiem Strażników, zwracających uwagę na każdą deformację, nie miałby lekko). To nie dla niego, on woli zostać. To jego miasto.

Po czym, nie mówiąc nic więcej, wstaje i odchodzi w szary opar. Wstaje, by nie słuchać dalej moich propozycji, by przerwać kuszenie - bo on chce tu zostać.

To jego miasto.

Odchodzi pomiędzy kamienice, w dół zbocza, wąską uliczką. Po chwili to już tylko ciemny, niewyraźny kontur na tle jaśniejszych ścian domów. Ledwie widzę go na ekranie aparatu.

Sądzę, że do dziś krasnolud przemierza ulice Tarnowa Podniebnego.

Jego miasta.

FOTOGRAFIA 3 - PRZEWODNIK

Spoglądając na kolejne zdjęcie, przypominam sobie, jak bardzo cieszyłem się, kiedy dostałem przewodnika!

To milkliwy długowłosa mężczyzna, na Ziemi uchodziłby za zniewieściałego, a jakiś podpity osobnik niezawodnie zakrzyknąłby za nim „ciota” (zwłaszcza przez wzgląd na włosy - lśniły tak, że większość kobiet mogłaby mu ich pozazdrościć, tak jak i smukłej, dziewczęcej sylwetki).

Elf.

Przedstawiciel starej rasy.

Nie mówił wiele, tylko tyle, by poinformować, ile muszę zapłacić za jego usługi. Wychodziło dość drogo, niemniej jeden z otrzymanych w pałacu namiestnikowskim weksli w zupełności wystarczał na opłacenie jego i jeszcze kierowcy - goblina. Fakt, że ludziom z Królikarni w ogóle udało się namówić elfa na to, by podróżował ze mną, i tak należało uznać za

szczęśliwe zrządenie losu; zwykle przedstawiciele jego rasy zachowywali wobec przybyszów z Ziemi wyniosłą obojętność. Mój przewodnik (imię jego niech będzie przeklęte, próbowałem wielokrotnie je poprawnie zapisać czy wymówić, ale poniosłem na tym polu same klęski) należał do wyjątków. Jak się dowiedziałem od któregoś z niższych rangą oficerów Królikarni, stary elf uzależnił się od kawy (tutaj stanowiącej prawdziwą rzadkość i osiągniętej zawrotną cenę). W swoim nawyku przypominał mi nieszczęsnych Indian północnoamerykańskich, którzy nie zetknąwszy się wcześniej z alkoholem, wpadali w nałóg jak bezradny królik w sidła. Wprawdzie kawę uważa się za znacznie mniej szkodliwą niż alkohol, lecz w wypadku mojego przewodnika nie dałbym za to głowy - uzależnienie stało się tak silne, że przez cały czas podgryzał czarne ziarnka, a dochodziło nawet do sytuacji, że jadł mielony czarny proszek palcami z woreczka. Zresztą nie to było najważniejsze - każdy nałóg oznaczał skazę na charakterze, słabość, będącą, jak przypuszczam, pozostałością po wcześniejszych jego rajdach na Południe. A taka skaza wykluczała go z własnego ludu.

Przyjął zlecenie, bo nie miał wyjścia.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń elf był mi potrzebny, ba, niezbędny, by wyruszyć w drogę. Właśnie elf - nie przedstawiciel żadnego innego gatunku. Starszy lud podświadomie bowiem wyczuwa bliskość złego, bez problemów czyta zastawione przez sługi zła pułapki, potrafi odgadnąć (czy może czyni to za nich ich intuicja), kiedy niebo rozjarzy czerwona zorza i kiedy zadmie „podmucha Południa”, co pozwala znaleźć bezpieczne schronienie. Dlatego potrzebowałem Elaha (tak go nazwałem, skracając i wulgaryzując jego szlachetne miano).

Z czasem zresztą, im dłużej trwała wyprawa na Południe, nasze relacje - najpierw bardzo chłodne - poprawiały się, elf był mi szczególnie wdzięczny za dodatkowe porcje kawy, jakie wyłuskałem ze swojego prywatnego zapasu, i stary numer polskiej edycji „Playboya” (zainteresowanie, jakie okazał zdjęciom polskich aktorek i modelek, dobitnie wskazywało, że jego nieco niewieścia powierzchowność to cecha gatunkowa, nie wskazówka co do preferencji seksualnych).

Kiedy przed magazynem Królikarni trwał załadunek samochodu (spory łazik, jaki dostałem od komendanta, miał wielką przestrzeń bagażową, wyposażony był w karabin maszynowy, granatnik i magicznie rozszerzony bak - wchodziło tam około półtorej tony paliwa, co powinno starczyć, byśmy dotarli na Południe i wrócili - oraz również powiększony zbiornik na wodę), goblin palił camela, Elah kruszył zębami ziarnka kawy, ja po raz pierwszy zobaczyłem „drużynę”.

Uważam „drużyny” za jeden z dowodów na to, że Kirchnera hipoteza Armageddonu jest bliska prawdy. Tworzą się one samorzutnie, choć trudno mówić o przypadku; właściwszym

słowem byłoby powołanie lub przeznaczenie. Oto budzi się coś takiego w człowieku (w elfie, w krasnoludzie, skrzacie domowym - można podstawić do tej wyliczanki dowolną istotę myślącą, dotyczy to wszystkich, bez wyjątku), że porzuca swoje obecne życie, tak jak stoi - wybiega z domu i idzie.

Idzie walczyć ze złem.

Początkowo idzie sam, czasami śpiewa jakąś starą pieśń w zapomnianym języku (którego nie ma prawa znać), lecz częściej po prostu kroczy z mieczem lub włócznią zarzuconą na ramię. Idzie, a dookoła zapada nagle cisza. Mina takiej osoby mówi wszystko.

Chwilę później dołączają do niego następni. Potężny berserk-kowal rzuca w wodę niedokończoną podkowę i z młotem wybiega z kuźni, gnom robiący za balwierza gna za nim, trzymając w wąskich palcach brzytwę, potem dołącza się dziewczyna sprzedająca powrozy, i jeszcze jakiś rycerz, dopiero co omawiający z prostytutką szczegóły upojnej nocy, jaką zamierzał spędzić w jej towarzystwie - lecz już nie zamierza, już kroczy dziarsko w pochodzie za milczącym mężczyzną, który niesie na ramieniu miecz. Grupa stopniowo gęstnieje, jak cukierek rzucony w piach - obrasta ochotnikami - czasami uzbiera się ich dziesięciu, czasami więcej, słyszałem opowieści o drużynach liczących i po sześćdziesięciu śmiałków. Te drużyny zdążają na Południe, w stronę Antymiaasta. Powszechna jest na Północy wiara, że jeśli Antymiaasto padnie, wówczas los ciemnej strony zostanie przypieczętowany, a Dziwka ostatecznie przegra i zgaśnie (choć miejscowi nie trapią się tą kwestią, mnie samego zastanawia, co wówczas stałoby się z południową półkulą Trzeciego Świata - zapadłyby nad nią ciemności? A może Matka zmieniłaby trajektorię?).

Wyprawy drużyn nie są przygotowane, brak im logistyki, planu strategicznego, brak żywności, uzbrojenia, nie mówiąc już o rozpoznaniu terenu, w swym chaotycznym braku planu przypominają krucjaty - niemniej zdarza się niekiedy, że docierają zadziwiająco daleko. Nie wiem, czym żyją ich uczestnicy, na pewno nie jest to chleb czy mięso, bo takich specjalów nie mają. Może wiarą, entuzjazmem, emocjami? Na Ziemi nie byłoby to możliwe, ale tutaj, cóż, wciąż muszę sobie samemu przypominać, że to Trzeci Świat, że inne prawa i inne reguły. Są takie drużyny (a mieszkając w Białej Wieży, poznałem ich historie względnie dobrze), które pokonują setki kilometrów w ciągu ledwie kilku dni - jak gdyby „przeskakiwały” odległości, przechodziły przez jakieś portale czy może były przenoszone przez orły. Pewne jest, że wiedzie ich siła trudna do zdefiniowania (Zawadzki utrzymywał, że gdyby udało się ją zrozumieć i okiełznać, można by jeszcze stawić czoło Dziwce). Miejscowi nazywają ją czasem Północnym Wiatrem, Tchnieniem Matki, Dotykaniem Dobra. W tej pierwszej nazwie coś faktycznie musi być, drużyny formują się najczęściej wtedy, kiedy wieje z Północy, choć nie udowodniono, by

przyczynę ich powstawania stanowił wicher. Niemniej każdą inną nazwę (na przykład Dotyk Dobra) trudno mi zaakceptować - przynależność do drużyny to żaden dotyk dobra, przeciwnie - nie znam takiej, której by się powiodło. Jedni umierają w walce, inni z wycieńczenia, gubiąc drogę na pustkowiu, w jeszcze innym wypadku dochodzi do zdrady, bo ktoś, jakieś najsłabsze ogniwo, pęka pod ognistym spojrzeniem Dziwki, wreszcie część drużyn ginie bez wieści, bez śladu. Pozostając w bazie Królikarni, przeglądałem statystyki z ostatnich trzech lat - zanotowano uformowanie się samorzutnie pięćdziesięciu trzech drużyn, przy średniej liczebności dwadzieścia, przecinek siedemdziesiąt pięć setnych osoby. To razem daje tysiąc sto osób. Tysiąc stu śmiałków - i to tylko na przestrzeni ostatnich trzech lat! A ilu poszło wcześniej? Ilu Królikarnia nie zarejestrowała? A wszystko to bez żadnego efektu! Dlatego, kiedy myślę o drużynach, nie mogę pozbyć się natrętnego skojarzenia.

Lemingi. Marsze lemingów.

Drużyna, którą obserwowałem podczas załadunku mojego samochodu, składała się głównie z młodzików. Właściwie - to były jeszcze dzieci, nastolatki, ledwie dające radę udźwignąć miecz czy tarczę. Gardło ścisnęło mi przerażenie, chciałem podbiec do nich, zatrzymać, wykrzyzczyć im prosto w twarz, że idą na pewną śmierć, że nic nie zmienią, nie zwyciężą zła, a stracą życie, tak potrzebne tutaj, w Białej Wieży. Ełah przytrzymał mnie za ramię, nie pozwolił, kręcąc głową.

- Nie poradzisz - wychrypiał (elfy mają strasznie chropowaty głos, to ponoć cecha ich anatomii, stąd też język tak trudny dla przedstawicieli innych gatunków). - Oni są już w środku. Nie myślą tak jak ty, nie czują bólu, są szczęśliwi. Nie psuj tego. Może to jedyny sposób?

Wtedy przypomniałem sobie obejrzaną wcześniej mapę, tę ekspandującą czerwień, cofającą się zieleń i błękit, przypomniałem sobie to, co widziałem w bryłach lodu - rogate sylwetki, wykrzywione szaleństwem twarze, czarne chmury nad horyzontem. I już nie chciałem biec do tych biednych-szczęśliwych dzieci.

Może to jedyny sposób?

Z NOTATEK (7) - HISTORIA MIASTA LOND

Jak owe wichury w Trzecim Świecie potrafią być groźne, świadczy historia miasta Lond. To przykład działania owego osławionego wiatru południowego i przebiegłości Dziwki.

Miasto Lond leżało na pograniczu obszaru, kontrolowanego przez Białą Wieżę. Nie była

to w naszym rozumieniu część państwa (gdzie w ogóle poprowadzić granicę państwa w tym świecie - to osobna kwestia), niemniej moglibyśmy powiedzieć, że to lenno lub - używając bardziej współczesnej i bliższej geograficznie nam, Polakom, nomenklatury - strefa wpływów. Przez wieki wydawało się zresztą, że położenie Londu jest wyjątkowo szczęśliwe; jeszcze pod słońcem Matki, ale nie w zimnych i deszczowych rejonach, nie w nieustannych mgłach i słotach, jakie doświadczały Białą Wieżę. Dziwka zresztą przez długi czas pozostawała słaba, jej blask ledwie, ledwie przebijał się nad południową półkulę, a mieszkańcy tamtej strony - pokonani - by przeżyć, musieli handlować ze zwycięzcami. Lond stanowił idealną przystań, punkt na szlaku, którego nie sposób było przeczyć czy przegapić - miasto rosło więc jak na drożdżach, pobierając różnorakie opłaty, egzekwując prawa składu, organizując wielkie targi, bijąc własną monetę, budując magazyny, wykorzystywane przez kupców z obu stron do przechowywania swoich towarów. Nade wszystko zaś Lond - skoro znacznie oddalony od Białej Wieży - wydawał się tym wychowanym pod czerwoną gwiazdą miejscem względnie bezpiecznym (dodajmy, że władcy Londu, jakkolwiek lojalni stronnicy Białej Wieży, starali się, by żadnemu przybyszowi włos z głowy nie spadł, co dowodzi siły niezmiennych pod każdą szerokością geograficzną praw ekonomii).

Sen o bezstronności urwał się z chwilą, kiedy znad Płaskowyżu powiało. Trzeba przy tym wyjaśnić, że ten wiatr wiązał się ze wzmożoną aktywnością Dziwki, a działo się to wtedy, kiedy Południe zaczęło podnosić głowę. Pozycja Londu z dnia na dzień uległa zmianie - z miasta tranzytowego stał się miejscowością frontową. Dokończono ciągnącą się przez dziesiątki lat budowę murów obronnych, pojawiły się regularne inspekcje Królikarni, Biała Wieża zaczęła przyglądać się Londowi bliżej, z większą niż dotychczas podejrzliwością.

Pojawili się Strażnicy.

Władca, zasiadający wówczas na książęcym stolcu, znakomicie wyczuł zmianę, a że stanowisko było dla niego wszystkim, zmienił postawę z gorliwością nowo mianowanego prezesa korporacji. Zaczął od wzmożenia patroli, od ograniczania handlu z Południem, od kontroli szlaków handlowych, od wypadów na Pogranicze, z których przywoził - jako trofeum - głowy deformantów (powiadają, że cała taka kolekcja w liczbie trzydziestu i trzech kapiteli jeszcze wisi w pustej sali tronowej pałacu w Londzie), a wiedząc, że wpływ Dziwki - a wraz z nim zło - zwykł przenikać niepostrzeżenie we własne szeregi, podwoił czujność, organizując bodaj drugą tajną policję w Trzecim Świecie (pierwszą byli oczywiście Strażnicy).

Dziwka jednak okazała się silniejsza i bardziej przebiegła.

Najpierw - w pierwszych miesiącach trwania wiatru - władca odczuwał niepokój. Nie było to zresztą nic niezwykłego, niepokój zaczęli odczuwać wszyscy, lecz to w ręku księcia

spoczywały wszystkie sznurki, wszystkie dźwignie i przekładnie, jednym słowem pan Londu miał możliwość działania. I kiedy wiatr nie ustawał, po pół roku zaczął działać.

Wtrącił do lochu wszystkich tych, którzy pochodzili z Południa i osiedlili się w Londzie. Był to bardzo ryzykowny ruch ze względu na dużą liczbę takich mieszkańców, a oficjalna doktryna głosiła, że jeśli długo pozostaje się pod światłem Matki, wówczas następuje przemiana i osoba zmienia się ze złej w dobrą. Nie bacząc na ten dogmat, władca zamknął w więzieniach około dwóch tysięcy obywateli miasta - w normalnych warunkach nie odważyłby się na to, ale wszyscy już szepczą: zagrożenie jest realne! już słyszą gorący oddech wroga na plecach, a wtedy łatwiej znosić niewygody i podłości, nikt się nie wychyla, dopóki przemoc nie dotyczy jego, lecz innych. Noc w noc powtarzają się więc mrozące krew w żyłach sceny, krążą historie o ludziach w białych kapturach (to ta służba bezpieczeństwa Londu, upodabniająca się do Strażników), którzy pukają do drzwi domów tych z Południa, wyciągają klnących ojców, płaczące matki, dygocące dzieci - i znikają w ciemności, w korytarzach pod zamkiem monarchy.

Ta operacja, jak się okazuje, nie wystarcza, by oczyścić Lond. Władca widzi to już z całkowitą jasnością - od pewnego czasu nawiedzają go bowiem prorocze sny, nieomylnie wskazujące następnych wrogów, następne grupy winnych, następne kozły ofiarne (wieje już wtedy od roku, ale książę jest przekonany, że sny zsyła mu Matka, troszcząca się o czystość jego dzieci, więc nie zaprzęta sobie głowy dziwną anomalią, a tych podpowiadających mu, że może być manipulowany przez Dziwkę - wtrąca do lochów, morduje bezlitośnie, zalicza w poczet swoich śmiertelnych nieprzyjaciół i zdrajców).

Po przesiedleńcach z Południa, z których miasto jest już oczyszczone, przychodzi pora na kupców odwiedzających czasami południowe krainy. Potem na tych, którzy z nimi handlowali. Na tych, którzy gotowali im jedzenie. Na tych, którzy obrabiali przywożone z Południa towary. Na tych, którzy z tych towarów korzystali.

Wszyscy oni trafiają do więzień, pod sąd, pod zarzutem spiskowania z przeciwnikiem, mówcy sądowi dowodzą, że skoro zetknęli się ze złem, zło przeniknęło do ich serc, nie może więc być dla nich miejsca pośród społeczności dobrej i pocziwej.

Za murami zaczynają płonąć stosy (w tym rejonie jest zbyt ciepło, by stosować zmrożenia); powiadają, że luna była przez cały miesiąc, nie wygasając.

Chodzi o dziesiątą część populacji miasta.

Przez moment, po tym bezprzykładnym ludobójstwie, sytuacja się uspokaja, władca Londu staje oko w oko z wysłannikiem Białej Wieży przynoszącym wiadomość, że (co dla księcia jest kompletnym zaskoczeniem) Biała Wieża nie pochwała takich metod i że to, co

wydarzyło się w Londzie, to wyraz nadgorliwości. Zgnębione miasto oddycha. Ale nie na długo.

Wiele bowiem nadal.

Pewnej nocy, znów we śnie, władca widzi posłańca. Nie jest to jednak zwykły poseł, z krwi i kości, wyposażony w pergaminy i pieczęcie Białej Wieży. Nie, tym razem to prawdziwy posłaniec, przychodzący od samej Matki - my, szukając w naszej mowie właściwego określenia, nazwalibyśmy go aniołem. Przychodzi i wskazuje kolejną grupę podejrzanych - żołnierzy, znanych z brawurowych rajdów na Południe. Księżę budzi się zlany potem, rozumiejąc, że tym razem nie ma żartów, że to zdecydowanie trudniejszy przeciwnik niż przesiedleńcy czy kupcy. Dlatego działa szybko. W ciągu jednej nocy prawie wszyscy zostają uwięzieni i straceni.

Spyta ktoś - ale czyimi rękoma władca dokonał tych wszystkich okrucieństw? Nie zrobił tego przecież sam, nie chodził od domu do domu, nie podkładał ognia pod stosy, nie zakładał powrozów na dłonie, nie wbijał noża w serce! Tak, oczywiście, księżę miał wykonawców - część z nich to ci, co zawsze stoją po stronie tronu, przy władcy, mając nadzieję, że spłynie na nich część zaszczytów i splendorów. Lecz największa liczba członków tajnej służby księcia rekrutowała się spośród tych, co również czuli działanie wiatru, miewali upiorne sny, a ich skóra (skrzątnie kryta pod białym kapturem) stawała się coraz ciemniejsza.

Dalszy bieg wydarzeń można opisać jako nieustającą spiralę przemocy, wzajemny klincz - bo wreszcie ci, których władca nie zdążył zamordować lub uwięzić, wszczynają bunt. Lond pogrąża się w wojnie domowej.

Powiadają, że w tamtym czasie księżę rozumiał już, że wszedł na drogę, z której się nie wraca i z której nie widać Białej Wieży. Chyba była to prawda - bo zatracił się całkowicie w okrucieństwie, nic go już nie hamowało, a opowieści o ludziach utopionych w kotłach z wrzącą wodą, o ludziach z wylupionymi oczami, obciętych językami, dłońmi, o buntownikach przybitych żywcem do miejskich murów nie należą do rzadkości. Ostatecznym aktem pieczętującym nową drogę władcy było wbicie na pal posłów Białej Wieży.

Droga ta prowadziła jednak donikąd. Rzecz działa się kilka lat temu, Biała Wieża była podówczas znacznie silniejsza, miała też bardziej zdecydowane wsparcie Królikarni. Pod mury Londu podciągnęły białe armie, wsparli je magowie - miasto nie miało szans się utrzymać. Tyran został obalony i przykładowie stracony, inni, którzy przeszli na stronę Dziwki, zginęli w walce. Pozostali - cóż, nie wiem dokładnie, co stało się z ludnością miasta (najpewniej nie zostało przy życiu wielu ludzi), słyszałem tylko, że magowie zadbali, by wpływ Dziwki nie rozprzestrzenił się dalej.

Z NOTATEK (8) - WYJAZD

Wyruszamy skoro świt, zanim biały blask Matki jeszcze na dobre rozproszy mroki. Elah wyjaśnił, że tak będzie bezpieczniej, że stronnicy Dziwki mają szpiegów nawet tu, w Białej Wieży. Elfy uważa się za posłańców Matki, powierników dobra i światła Matki - biorąc to pod uwagę, mój przewodnik wydaje się zadziwiająco podejrzliwy.

Ale możliwe, że po prostu dobrze zna tutejszą rzeczywistość.

Zegarek wskazuje, że od mojego przybycia minął jeden dzień ziemskiego czasu. Zaledwie jeden dzień!

Jedziemy na Południe.

Ktoś może zapytać: dlaczego Południe?

Co ciągnęło mnie w tę właśnie stronę, choć wiedziałem: stamtąd mało kto wraca. Zawadzki odradzał wielokrotnie, ostrzegał, sugerował, a ja sam też nie byłem głuchy i niewidomy; zdawałem sobie sprawę, że mimo ambitnych planów do Antymiasta nie zdołam dotrzeć, ba, doskonale rozumiałem, że nim na dobre uda mi się przyjrzeć drugiej stronie globu, będę musiał wracać. Tam jednak chciałem jechać.

I zostawiałem za sobą tyle miejsc do odwiedzenia na Północy, tyle ciekawych historii do zebrania, tyle osób do spotkania, a wszystko to pod kojącym blaskiem Matki, w cieniu strzegących mnie luf karabinów Królikarni.

A jednak.

Najprościej - i do pewnego stopnia prawdziwie - należałoby na takie pytanie odrzec, że moja decyzja wynikała z powinności reportera. Wiedziałem, że kluczem do zrozumienia tego, co wydarza się w Trzecim Świecie, jest podróż na drugą półkulę. Ci spod Matki byli mi bliscy, rozumiałem tę stronę barykady, lecz jak objaśnić konflikt, nie wiedząc nic o drugiej stronie? Nie podejmując choćby próby zrozumienia „tamtych”, „innych”, „skażonych”. Zresztą tak silna polaryzacja sama w sobie wydawała mi się fascynująca, godna reportażu.

Druga przyczyna była bardziej prozaiczna; otóż, choć na Ziemi materiałów o Trzecim Świecie publikowano niewiele, coś tam mimo cenzury się ukazywało, czegoś można się było dowiedzieć. Lecz wszystko - o Północy! O Południu nic, ślady, strzępy, wzmianki. Zrozumiawszy to, już kilka lat wcześniej, gdy składałem pierwszy wniosek o pozwolenie na wjazd do tej Legendy, wytyczyłem sobie trasę mojej podróży. Wiodła prosto na Południe.

Jest jeszcze jeden powód, motywacja, która na skutek zasłyszanych informacji

zakiełkowała we mnie już w Trzecim Świecie. Mam pewną trudność, by o niej pisać, sam nie do końca pojmuję moją nagłą fascynację postacią Czarownika. Intuicja podpowiada mi, że ta informacja, ta postać jest ważna. Że to nie kolejny mit, nic nieznacząca opowiadka dla ludu. Że jest w niej jakaś prawda.

Zrodziło się we mnie nieco megalomańskie przekonanie, że to ja znajdę Czarownika. Tak właśnie pomyślałem, rozważając przestrogi Zawadzkiego i zastanawiając się, czy jechać. Znajdę go.

Ja.

Na temat Czarownika zgromadziłem sporo informacji, spisywałem każde wpadające mi w ręce podanie, każdą zasłyszana plotkę, w efekcie temat ten zajmuje zdecydowanie najwięcej miejsca w moich notatkach z Trzeciego Świata. Jeśli im wierzyć, szanse na spotkanie Czarownika mam marne.

No, chyba że sam będzie tego chciał.

Z NOTATEK (9) - TWARZE CZAROWNIKA

Powiadają tutaj, że dla Czarownika czas nie ma znaczenia, że robi z nim, co chce i kiedy chce.

Nam nie mieści się to w głowach - ludziom nawykłym do odmierzania życia, wciąż i wciąż przyglądającym się wskazówkom czasomierzy, stale kątem oka śledzącym cyfry na ekranach komputerów, słuchającym odmierzanych przez stacje radiowe skrupulatnie godzin, półgodzin, kwadransów, minut; nam, projektującym przyszłość, rzutującym się na nią, istniejącym jakby i teraz, i za kilka lat - choćby w postaci kalkulacji bankowych, kiedy udzielają pożyczki, w których jakiś łebski analityk przeliczył już nasze przyszłe dochody, zainteresowania, konsumpcję - z podziałem na książki (tych mało), alkohol, hamburgery, dzinsy, wyjazdy zagraniczne, meble, paliwo, wydatki na edukację (znów mało). A ten analityk, który nas obliczył, zmierzył i rzucił w przyszłość - czy jest inny? Nie, sam też jest zaplanowany, od początku do końca, ma z sobą harmonogram, awans w tym a tym roku, kolejny wtedy a wtedy, a potem znowu trzeba się na pewien czas zatrzymać, ułożyć życie, mieć dziecko, kolejny awans, może kolejny kurs czy studia.

Tutaj, w Trzecim Świecie, to nie do pomyślenia.

Nie chodzi nawet o to, że znacznie trudniej jest planować, bo liczba nieprzewidywalnych

zmiennych wyklucza jakiegokolwiek rozsądne czy wiarygodne prognozowanie. Nie, ta różnica leży głębiej - gdzieś w świadomości, w postrzeganiu świata. Trudno mi to zrozumieć, jeszcze trudniej opisywać, nasuwają się tylko metafory, nieoddające pełni zagadnienia. Najprościej byłoby powiedzieć to tak: podczas gdy my, ludzie z Ziemi, postrzegamy czas jako drogę (jednokierunkową), mieszkańcy Trzeciego Świata widzą czas jako planszę (na przykład szachownicę), a życie jako grę. Oczywiście większość mieszkańców Trzeciego Świata porusza się w jedną stronę - jak pionki, których ruch możliwy jest w jednym kierunku, od krawędzi początkowej do krawędzi końcowej (chyba że ktoś lub coś tę drogę skróci). Są jednak na szachownicy figury mogące zmierzać w dowolnym kierunku: konie, gońce, wieże czy wreszcie - hetman.

Czarownik - brnąc konsekwentnie w metaforę - jest właśnie takim hetmanem.

Jak plansza długa i szeroka, nie ma dla niego granic, może iść w tył, w przód, w bok - wedle życzenia. Może wpływać na to, jak poruszają się pionki, może eliminować inne figury, może spowodować, że jednocześnie na planszy znajdzie się dwóch hetmanów.

Może wywrócić planszę.

Nie wierzę w to i sędzę, że nie mógłbym w to uwierzyć, nawet gdyby to była prawda. Umysł podąża wyuczonymi torami, nie zaakceptuje pewnych informacji, nie ma siły - prędzej się rozpadnie.

Wiele jest jednak poszlak wskazujących, że tutejsi nie okłamują mnie w tym względzie. Nie dowodów, w takich sytuacjach nigdy nie ma dowodów, cud prawdziwy, niemieszczący się nawet w pokrętnej logice Legendy, nigdy nie daje się złapać za rękę. Lecz zawsze zostawia ślady, kręgi na wodzie, poszlaki.

Ot, choćby portrety.

Portret pierwszy sprzed ledwie stu lat (to, mierząc miarą Trzeciego Świata, naprawdę niewiele) - wówczas ostatni raz widziano Czarownika. Traf (a może wcale nie traf? - żyjąc tutaj, przestaję wierzyć w przypadki) chciał, że tym, który go spotkał, był sławny tutejszy malarz, nazywany „mistrzem portretów”. Spotkanie odbyło się na pustkowiu, w smutnej opuszczonej chacie, w pół drogi między Płaskowyżem Czerwonym a Doliną Trzech Garbów, na ziemi niczyjej. Pamiątką jest zamalowana ściana budynku z jasnego kamienia: skreślona czarnymi farbami ponura twarz, ostre oczy, ostry nos, zaciśnięta kreska ust - malunek jest skromny, lecz wykonany pewną ręką, znać w nim kunszt zawodowca, widać wierność szczegółu, pietyzm. Dlatego nie ma najmniejszych wątpliwości, że podobizna przedstawia osobę młodą. Ile on może mieć lat, myślę, trzydzieści, trzydzieści pięć?

A przecież podobizna wcześniejsza (o pięćset lat!), ta, którą widziałem jeszcze w Białej

Wieży, wryta w czarnym, dziwnym kamieniu, wyrzuconym przez tutejszy wulkan i niemającym swego ziemskiego odpowiednika, również wierna, również obrobiona ręką kryjącą w sobie sztukę i umiejętność - przedstawia starca! Sędziwego mężczyznę (bez wątplenia jest on podobny do tego ze ściany chaty, mógłby na przykład być jego prapradziadkiem), z czołem usianym wieloma bruzdami, który powoli zbliża się do kresu żywota.

Trudno oczywiście mieć pewność, że na obu dziełach sztuki widnieje twarz tej samej osoby, ba, jeszcze trudniej byłoby uwierzyć, że to ów mityczny Czarownik. Niemniej wielokrotnie „biali” (również z pomocą Królikarni) podejmowali próby zniszczenia tych pamiątek. W ruch szedł dynamit, trotyl, młoty pneumatyczne, ultrawytrzymałe wiertła, szły wielkie koparki, szła farba, mająca przykryć to, co namalowano na ścianie opuszczonej karczmy.

Bez rezultatu.

Coś więc w tym musi być, myślę, następna zagadka Trzeciego Świata, której zapewne nie zdążę przeniknąć, po raz kolejny dochodząc do wniosku, że pół roku to zdecydowanie zbyt krótko.

Chciałbym dowiedzieć się, kim był ów Czarownik (bo zaczynam się przekonywać, że ktoś taki musiał przemierzać swego czasu tutejsze szlaki, nawet jeśli większość opowieści o nim jest wymyślona; musiał istnieć jakiś autentyczny pierwowzór).

Chciałbym go spotkać; powoli, w miarę podróży na Południe, staje się to moją obsesją.

Chciałbym być tym, który zobaczy jego twarz.

FOTOGRAFIA 4 - FABRYKA

Na fabrykę, uwiecznioną przeze mnie na rozmytym, poruszonym zdjęciu natrafiamy zniemacka, niespodzianie - jest trzeci dzień podróży (według lokalnego czasu), kilka godzin wcześniej minęliśmy posterunki Królikarni, oficer poinstruował nas, że okolica spokojna, ale mamy być uważni, bo w tych stronach nigdy nie można być całkiem bezpiecznym. O zakładach przemysłowych nie wspomniał słowem, nie sposób ich jednak nie zauważyć. Płot wyrasta z traw (jedziemy rozległą równiną, wyjechaliśmy już z gór, w których kryje się Biała Wieża), roślinność skarłała, pokryła się plamami, jest brzydka, powietrze cuchnie. Co jakiś czas, wzdłuż ogrodzenia, wyrastają metalowe wieżyczki strażnicze, zza płotu rozlega się ujadanie

psów, a na niebie kołuje kilka ogromnych ptaków.

Goblin - kierowca, Trzynasty z Miotu, bardzo gadatliwy, wyjaśnia mi pospiesznie, że to sępy. Gdzieś tam, może w jednej z metalowych wieżyczek, stoi bestyj. Stoi, ma zamknięte oczy, ale mimo to widzi - obserwuje okolicę, korzystając z oczu ptaszysk (są dwukrotnie większe niż te, jakie możemy spotkać na Ziemi, mam wrażenie, że swymi rozmiarami gwałcą prawa fizyki).

Zatem wiedzą, że nadjeżdżamy, mówię, a goblin skwapliwie kiwa głową. „Od dłuższego czasu. Czekają na nas”.

Kiedy podchodzimy bliżej do płotu, dostrzegamy w oddali potężne zabudowania - wysokie hale magazynowe, niższe pomieszczenia produkcyjne, stalowe kominy, z których bucha dym, tysiące małych sylwetek uwijających się pomiędzy labiryntem prostokątnych budynków. Spostrzegam również, że jest i druga linia umocnień, oddzielona od pierwszej pasem ziemi niczyjej (zapewne zakłętej, mruczy pod nosem Elah, wejdiesz bez amuletu i zmienisz się w kamień), ściany budynków też pokryto ochronnymi zakłęciami - istna forteca, myślę, ten obiekt jest lepiej strzeżony niż Biała Wieża czy bazy Królikarni.

Niewiele trzeba czasu, by zrozumieć, że mam przed sobą jeden z przykładów ezoteringu - nazwa ta to zgrabny termin opisujący rozwiązanie wdrożone przez bardzo wiele ziemskich firm. Chcieliby to zresztą stosować wszyscy, ale, po pierwsze, koncesje wydaje tylko rząd Rzeczypospolitej, a poza tym ezotering podlega reglamentacji ograniczającej odpływ miejsc pracy do Legend. Jednak ci, którym koncesję uda się uzyskać (za astronomiczne pieniądze), czują się, jakby złapali Pana Boga za nogi. Relokacja spłaca się już w pierwszym roku działalności.

Weźmy pierwszą z brzegu kwestię - prawo pracy. Ów uciążliwy zespół norm rozplenił się po ziemskim globie jak jakiś chwast, i teraz stopniowo, acz nieustępliwie dusi ziemski kapitalizm. Ale tu, w Trzecim Świecie, nie ma żadnego prawa pracy! Żadnych głupich ograniczeń, restrykcji i urlopów macierzyńskich (a nawet gdyby je wprowadzić, tutejsi nie potrafiliby z nich skorzystać). Mogą więc fabryki pracować na okrągło, mogą w nich pracować dzieci, matki, ciężarne; można płacić w naturze (na przykład w żywności), można płacić z opóźnieniem - po kilku miesiącach, można odetchnąć od związków zawodowych - już tylko oszczędności w tym obszarze zwracają koszt koncesji.

Ale nie zatrzymujmy się tylko na prawie pracy - weźmy ekologię. Opał. Kto na ziemi w tej chwili pali węglem? Nikt, nikt, normy, które mają uchronić nasz glob przed globalnym ociepleniem, są tak restrykcyjne, że należy stosować drogie technologie sekwestracji, w efekcie węgiel wykorzystują już tylko elektrownie.

W Trzecim Świecie nie ma takich problemów, o czym świadczą kłęby czarnego dymu wznoszące się z kominów zakładu, jaki rysuje się przed nami.

Wszystkie te korzyści bledną, jeśli zestawić je z najpoważniejszą - z przyspieszeniem mianowicie. To zresztą jest istota ezoteringu. Światy Drugiej Strony Lustra mają inną prędkość niż Ziemia - dzień u nas to znacznie dłuższy okres tutaj. Istnieją nawet specjalne tabele współczynników dla poszczególnych światów - tu jeden dzień ziemski odpowiada siedmiu dniom miejscowym, tam znów jest to cztery i pół dnia, gdzie indziej - dwanaście dób, czasami przeliczniki są jeszcze bardziej korzystne (Trzeci Świat jest w czołówce). Wyobraźmy więc sobie zwykłą fabrykę, zlokalizowaną na Ziemi, powiedzmy, fabrykę samochodów. Cykl produkcyjny trwa, przyjmijmy, dwa tygodnie. Tymczasem samochód produkowany w Trzecim Świecie będzie gotowy za dwa (ziemskie) dni - w jaki więc sposób ziemska fabryka może konkurować z fabryką zaświatową?

Nie może.

Dlatego wyścig po koncesje jest krwawy i brutalny, międzynarodowe korporacje uznają to za najważniejszy z czynników decydujących o przetrwaniu jednych organizacji i upadku innych. W przypadku zakładu, który mam przed sobą, rywalizację wygrał Michelin - świadczy o tym wielkie logo i jeszcze większy biały ludzik przechadzający się przed bramą. Z nie do końca zrozumiałych dla mnie przyczyn korporacje lubią ożywiać swoje znaki firmowe - życie w pofałdowanego białego potworka musiał tchnąć jakiś sówicie opłacony, tutejszy mag, ale to nie jest wyjątek, pamiętam na przykład, że przed fabryką Peugeotota ryczał bez ustanku posąg lwa.

Odwróciwszy się w naszą stronę, olbrzymi ludzik Michelina mrugnął porozumiewawczo.

Bestryj faktycznie musiał wiedzieć o nas od dłuższego czasu, bo właśnie nadjeżdżają dwa pojazdy patrolowe, załadowane żołnierzami, ojeżone lufami najrozmaitszej broni, pobłyskujące raz i drugi zakłęciami ochronnymi.

Oddycham z ulgą, kiedy słyszę język polski.

Okazuje się, że większość służących tutaj członków firm ochroniarskich to Polacy - dlatego ci, którzy nas zatrzymują, zachowują się w stosunku do mnie przyjaźnie (a ich przyjaźń jeszcze wzrasta, gdy pokazuję im pełnomocnictwa wystawione przez generała Wojtczaka). Prywatne armie to istotna siła zbrojna w Legendach, ściśle współpracująca z Królikarnią - nie

mają zresztą innego wyjścia, skoro właśnie jedna z komórek Królikarni udziela zezwoleń na prowadzenie tego typu działalności.

Wychodzący do nas ochroniarz jest rozmowny i pomocny. Uprzejmie wyjaśnia, że niestety, nie może mnie wprowadzić za płot (zasady korporacji, pan rozumie), jednak zaprasza nas wszystkich do wysuniętej stróżówki, zlokalizowanej jeszcze przed ogrodzeniem, częstuje prawdziwą polską kielbasą, piwem, dostajemy świeży pachnący chleb (sprowadzany prosto z piekarni poznańskich - koncern musi wydawać na to astronomiczne sumy, ale to konieczność - trzeba zadbać o oddelegowanych do pracy po Drugiej Stronie, nie ma ich zbyt wielu).

Opowiadam mu, że jestem reporterem, mówię co nieco o tym, dokąd jadę i co chciałbym opisać. Okazuje się, że czytywał kiedyś moje reportaże z innych Legend, dlatego nie pokazuje po sobie zdziwienia - jest raczej zmartwiony.

- Niech pan się jeszcze zastanowi - mówi w pewnej chwili, spuszczać wzrok na kufel, w którym pieni się jeszcze resztkę lecha. - Wiem, trudno w takiej chwili się cofnąć, ale niech pan chociaż nie jedzie zbyt daleko. To pewna śmierć.

Milczymy chwilę, a potem mężczyzna - nazywa się Marian Kubiak, pochodzi z Wielkopolski, spod Ostrzeszowa i służy w ochronie fabryki Michelina już drugi rok - zaczyna mówić.

- Zabieramy się stąd. Jeszcze miesiąc, może dwa, a potem zamykają zakład. Teraz to panu mówię, bo kiedy wrócę... - kiwa głową, pociera skronie. Nie musi kończyć, wszyscy Ziemiańscy robiący w ezoteringu, wracający z podobnych misji, przed powrotem przechodzą kwarantannę pod okiem magów Królikarni. Ci ostatni czyszczą wracającym pamięć - drobiazgowo, myśl po myśli, emocja po emocji wszystko trafia do wielkiego zbiornika, a potem do korporacyjnych baz danych. Trafiasz na Ziemię - i nawet nie do końca wiesz, że przez jakiś czas cię nie było. Więc Marian Kubiak opowiada teraz, kiedy zdaje sobie sprawę, że nikt z przełożonych go nie słucha i kiedy jeszcze pamięta.

Widocznie przypuszcza, że ja z Południa nie wrócę.

- Ataki powtarzają się prawie co noc. Przychodzą grupami, z lasu, wtedy, kiedy światło Matki gaśnie zupełnie. To pogranicznicy, przemienieni przez wiatr znad Płaskowyżu. Dajemy sobie z nimi radę, dzięki bestryjom kontrolującym wilki, koty i sowy mamy rozeznanie, co się dzieje, również w nocy. Czasem uda im się przejść przez płot, przez pierwszą linię umocnień, giną dopiero na polach przeklętych. Zabijamy ich z zimną krwią, celując jak do kaczek - mimo że to najczęściej ludzie, centaury, elfy, hobbity, gatunki inteligentne. Wie pan, tak mi to spowszedniało, że po powrocie nie miałbym oporów, by strzelać do zwykłych ludzi, na ulicy. Może i dobrze, że mnie potem wyczyszczą.

Marian Kubiak patrzy na mnie uważnie. Jego spojrzenie jest pozbawione wyrazu, nieobecne. Spoglądając w ten sposób, sprawia wrażenie kogoś, kto relacjonuje wypadki znane jedynie ze słyszenia - jest zdystansowany, spokojny, chłodny. Tylko żyłka na czole drga mu nerwowo.

- Co rano musimy uprzętać ich kości. Nie to jednak jest najgorsze - wpływ Dziwki, uważa pan, widać również pośród tych, którzy są wewnątrz, w zakładzie (a pracuje tutaj około trzydziestu tysięcy robotników). Co raz to ktoś popada w obłąd i rzuca się do gardeł pracującym na taśmie produkcyjnej obok nich. Jednym wyrastają rogi, innym wilcze zęby czy ptasie szpony. Jeszcze inni skarżą się na złe sny, zapadają w apatię, w stupor, po czym po kilku tygodniach umierają albo popełniają samobójstwo. W ostatnim miesiącu mieliśmy kilka podpaleń. Pan popatrzy, nawet ze mną coś jest nie w porządku, czuję się rozregulowany. Kiedyś ochrona - to była tylko praca, ale teraz to coś więcej. Te wiatry znad Płaskowyżu (one docierają aż tutaj, czuje pan?) otwierają jakieś złe drzwiczki w głowie - za nimi są pokłady bezinteresownego czystego okrucieństwa. Uczucie, kiedy strzela się do innej istoty, widok padającego ciała, widok krwi - przynoszą satysfakcję. Wie pan, z czym by to można porównać? Z rozładowaniem napięcia po stosunku.

Milknie na chwilę, spuszcza głowę.

- Tam jest coś złego, naprawdę złego, pan słucha. Niech pan nie idzie za daleko.

Uśmiecham się lekko, i już rozumiem, że jego ostrzeżenia są na nic.

- Więc niech pan jedzie przez Czarne Pola - mówi. - Tamtędy bezpiecznie.

Część trzecia

POGRANICZE

Baśniowe kraje rozciągają się daleko wzdłuż i wszerz, w górę i głęb i pełne są najprzeróżniejszych rzeczy i stworzeń: znajdziesz tam wszelkiego rodzaju ptactwo i zwierzęta, niezliczone gwiazdy i bezbrzeżne oceany, czarowne piękno i czyhającą zewsząd grozę, radość i smutek przeszywające jak ostrze miecza. Ten, kto tam zbłądzi, może chyba uznać się za szczęśliwca; ale odmienność i bogactwo tej krainy wiążą język wędrowcowi, który chciałby o nich opowiedzieć. A zadając zbyt wiele pytań, naraża się on na to, że zatrzasną się przed nim drzwi do królestwa, a klucze zaginą.

„O baśniach”, J.R.R. Tolkien

FOTOGRAFIA 5 - GNIAZDO

Droga przez Czarne Pola jest dłuższa, ale również Elah zgadza się, że ta trasa to dobry pomysł. Faktycznie, oprócz Białej Wieży Czarne Pola to najlepiej strzeżony przez Królikarnię obszar Trzeciego Świata, a zarazem rejon decydujący o tym, że ta Legenda jest tak cenna z perspektywy Ziemi.

Pola to obszar roponośny, zawierający największe w Legendach zasoby „czarnego złota”. Gdyby zestawić wszystkie zasoby ziemskie i porównać je z tutejszymi złożami (tylko tymi odkrytymi do tej pory), złoża z Czarnych Pól stanowiłyby czterokrotność tego, co mamy na Ziemi.

W chwili, w której rozeszła się wieść o odkryciu pól naftowych w Trzecim Świecie, kilku szejków naftowych popełniło samobójstwo - ich potęga stopniała, w jednej chwili byli panami rynku, w drugiej już musieli dostosowywać się do warunków dyktowanych przez EZOPETROPOL, państwowy koncern wydobywczy, zarządzający większą częścią zasobów zlokalizowanych w Trzecim Świecie (dodajmy do tego przesunięcie czasowe Trzeciego Świata, powodujące, że ezoteryczna ropa pojawiła się na ziemskim rynku prawie natychmiast).

Pamiętając to, co opowiadał mi o Czarnych Polach Kubiak, nie zatrzymuję się w grafitowych blokach mieszczących w sobie siedzibę EPPL-u, zdawkowo załatwiam wszelkie formalności z funkcjonariuszem Królikarni (na każdej bramce - a tych jest bez liku - patrzą na mnie z politowaniem, jakbym postradał zmysły, bo z ich perspektywy właśnie tak jest. Po co jechać dalej, na Południe?). Trzynasty z Miotu, wykonując moje polecenia, skręca w pewnym momencie w bok, z głównej arterii, i trafiamy na równiutką, choć nieco węższą drogę, która po dwóch godzinach doprowadza nas do jednej z bardziej osobliwych budowli, jakie w Trzecim Świecie widziałem.

Gniazdo.

Wyobraź sobie, czytelniku, średniowieczny zamek - wysoki mur, krągłe baszty, szczyrby blank, wykusze, zwodzony most, czerwoną dachówkę. A teraz dodaj rozmaite elementy wzięte z naszego czasu - anteny satelitarne, czasze radarów, czarne żelazne kopuły kryjące karabiny maszynowe, wiązki kabli biegnące po powierzchni ścian, srebrne rury od ogrzewania centralnego, wysokie połyskujące metalem kominy, latarnie bijące po oczach mocnym światłem, stanowiska szperaczy omiatające w nocy okolice, przybudówki z pustaków, nowe

segmenty z suporeksu, wykończenia niektórych elementów obrobione klinkierową cegłą, wyasfaltowany dziedziniec - wszystko to sprawia nieprzyjemne wrażenie architektonicznej kakofonii, nieładu, dysharmonii, trudnej do zaakceptowania dla kogoś przyzwyczajonego do konkretnych form, do porządku.

I dodajmy jeszcze biało-czerwoną flagę, powiewającą na wysokim maszcie, z naszytą na nasze narodowe kolory literą R.

R jak Rybicki, pan na okolicznych włościach.

Historia owego Rybickiego jest w pewien sposób typowa, właściwa światom, do których przybywają emigranci. Tak było podczas kolonizacji Ameryki, tak jest i podczas zasiedlania Legend. Światy te mają przedziwną moc przyciągania niebieskich ptaków, awanturników, ludzi, którzy bądź to nie radzili sobie w dotychczasowym życiu, bądź też uwierała ich otaczająca rzeczywistość. W naszym świecie często wchodzili oni w konflikt z prawem, co stanowiło dodatkową motywację do wyjazdu. Zostawiają stary świat z ulgą, wkraczają do nowego śmiało, z podniesioną przyłbicą - i są to dla nich niejako powtórne narodziny. Szanse i ścieżki awansu do tej pory zamknięte stają otworem, a emigranci, wiedząc, że to być może ostatnia w ich życiu taka okazja, rzucają się na nią z determinacją, którą trudno z czymkolwiek porównać. Muszą!

I najczęściej im się udaje.

Przykładem takiego success story jest właściciel Gniazda, Rybicki. Na Ziemi mały przedsiębiorca, wiecznie niezadowolony, wiecznie użerający się z administracją, wciąż mający „ogony” - a to w urzędzie skarbowym, a to u dostawców, a to w departamencie ochrony środowiska, a to w inspekcji pracy.

Tutaj Rybicki jest księciem.

Nie jest to żadna metafora. Roman Rybicki, emigrant z Polski jest w Trzecim Świecie najprawdziwszym księciem, podległym tylko namiestnikom Białej Wieży. Tron zdobył w okolicznościach, o których nie chce zbyt wiele opowiadać, wiem tylko, że poparła go niemal cała ludność księstwa (za przeciwnika miał otumanionego światłem Dziwki prawowitego dziedzica). Wiem też, że (naoglądawszy się wielu kampanii wyborczych na Ziemi) Rybicki sporo naobiecywał podczas zmagania - w tym między innymi, że odeprze „Tamtych” (tak czasami mówi się tutaj o sługach zła), a w czasie walki o tron Gniazda „Tamci” nawiedzali te ziemie regularnie.

Z tej ostatniej obietnicy książę Roman wywiązał się skrupulatnie, nie cofając się przed zastosowaniem środków zakazanych przez wszelkie możliwe ziemskie konwencje dotyczące uzbrojenia. Miejscowi jednak nie bardzo przywiązywali do nich wagę, ważniejsze dla nich było

to, że Odmienieni (to kolejna nazwa tych, którzy ze względu na światło Dziwki przeszli na stronę zła) przestali porywać dzieci z okolicznych domów.

Zapytacie, skąd Rybicki miał na to wszystko pieniądze? Przecież uzbrojenie, nie dość, że zakazane, jest przede wszystkim koszmarnie drogie. Tutaj właśnie znalazł ujście geniusz Rybickiego - otóż, spostrzegłszy, jakie umiejętności mają tutejsi różdżkarze, zaprzął ich do poszukiwania surowców. Wkrótce odkryto na ziemiach należących do Gniazda ogromne złoża ropy (właśnie to odkrycie zapoczątkowało boom naftowy w Trzecim Świecie). Do wydobycia Rybicki zatrudnił większą część populacji swojego księstwa - z dnia na dzień rybacy i rolnicy, zbieracze, rycerze, elfy i niziołki, smokobójcy, dworzanie, zielarze i wytwórcy amuletów przemienili się w nafcjarzy. W efekcie Gniazdo stało się najlepiej prosperującym księstwem pośród państweczek, których suzerenem był władca Białej Wieży.

Rybicki przyjmuje nas z otwartymi ramionami, cieszy się, że może gościć rodaka. Wprawdzie na Elaha spogląda z nieufnością, a na Trzynastego z Miotu z pogardą, lecz nawet im oferuje przyzwoite pokoje i dobry posiłek. Mnie zaś zaprasza do siebie, na długie nocne Polaków rozmowy.

Tej rozmowy - po polsku, o Polsce, przy polskim jedzeniu i przy polskiej wódce wyraźnie mu brakuje - jest to częsty syndrom kogoś, kogo koleje życia rzuciły gdzieś na prowincję, oderwały od swojej kultury. Nie, nie chce wrócić, ale porozmawiać w rodzinnym języku, a jeszcze bardziej zaimponować rodakowi, pokazać: zobacz, jak mi się powiodło - o tak, to pokusa, jakiej mało który Polak się oprze. Rybicki nie jest wyjątkiem; przez pierwszą godzinę muszę więc słuchać opowieści o tym, w jaki sposób doszedł do tego, do czego doszedł (opowieści są rzecz jasna podkoloryzowane i ocenzurowane z elementów mogących zepsuć budowany z mozołem wizerunek). Później rozmowa zaczyna zbaczać na ciekawsze tory. Mój rozmówca streszcza mi, co działo się w jego włościach w ostatnich miesiącach. Choć zarzeka się, że nie wróci na Ziemię, to przyznaje, że w Trzecim Świecie robi się coraz goręcej. Przechodzimy pod ścianą, będącą tłem dla dość bezprecedensowej galerii - Rybicki bowiem zbiera głowy zabitych przez siebie wrogów. Nie, nie wszystkich - tylko Odmienionych, tych, na których Dziwka odcisnęła swoje piętno, są więc mężczyźni z kłami jak u dzika, jest „lisica” - kobieta z nienaturalnie wydłużonym nosem, porośniętym futrem. Ze ściany spoglądają również głowy orków (czyli elfów zbrukanych przez zło), są krasnoludy całe pokryte łuską (gdy żyły, ziały smoczym ogniem). Patrzenie na tę makabrę przyprawia mnie o dreszcze, Rybicki nalewa mi więc kolejny kieliszek wódki i mówi, że pobliskie góry obfitują w sadzawki

retencyjne.

Czy slyszalem o sadzawkach retencyjnych? Tak, slyszalem. Jest ich sporo na terenach takich jak Czarne Pola, a najwiecej w gorach - to specyfika obszarow, do ktorych dociera juz slabe swiatlo Dziwki, lecz przez wiekszosc dnia dominuja promienie Matki. Dziwka wiec jest nieszkodliwa, neutralizowana - niemniej nie do konca. W tych godzinach, kiedy Matka gaśnie, Dziwka zostaje sama - i choc jej blask niknie w oddali, pozostawia po sobie „odcisk”. Woda zamkneta w jeziorkach absorbuje swiatlo Zlej Pani, nasacza sie jej moca (jest to zwlaszcza przypadek malych zbiornikow wodnych, w ktorych wymiana wody albo w ogole nie nastepuje, albo dzieje sie to bardzo wolno). Stopniowo, oswietlany czerwonym swiatlem, zbiornik mętnieje, zachodzi szlamem, woda brudnieje. Lecz to nie zwykly szlam i zwykla woda - po dlugim naswietlaniu substancje te nabieraja wlasciwosci takich jak swiatlo Dziwki, tyle ze sa skondensowane. Jak by powiedzieli specjaliści Królikarni - staja sie bardzo silnymi substancjami ezoaktywnymi. Akumulatorami czarnej magii.

Ta woda stanowi bodaj najskuteczniejszy oręź slug zła w walce z Białą Wieżą. Woda z sadzawek retencyjnych i plastikowe kanistry przywiezione z Ziemi.

Prawda, nie opowiadalem jeszcze o plastikowych kanistrach.

Kiedy jedna z organizacji humanitarnych na Ziemi postanowila sfinansowac zaopatrzenie Trzeciego Świata w owe pojemniki, traktowano to jako wspialny pomysl, dar serca, zbawienie dla tej Legendy majacej problemy z gospodarka wodna - nie ma tu wodociagow, nie ma melioracji, technika kopania studni mimo znakomitych rózdzkarzy jest slabo rozwinieta, nie wspominajac juz o warunkach sanitarnych, w jakich wode tutaj magazynuje sie i pije.

Oczywiście zadnej fundacji nie bylo by stac, by caly glob, ot tak, wyposazyc w wodociagi - ale plastikowy kanister? Dlaczego nie?

Łatwy w transporcie, lekki (nie to, co powszechne tutaj gliniane dzbany - trudno je przeniesc, nawet gdy sa puste, a wypełnione woda stawaly sie nieznośnym bagazem). Oczywiście - rycerstwo i magowie nie narzekali na brak wody, lecz reszta społeczeństwa? Do czasu pojawienia sie plastikowego kanistra to byl dramat, prawdziwy dramat.

Przywieziono wiec do Trzeciego Świata cale mnóstwo pojemnikow - niech sobie tubylcy radza, dajmy im narzedzie, ktore w krótkiej perspektywie odmieni ich los.

Odmienilo, bez dwóch zdań.

Trudno powiedziec, kto pierwszy wpadł na pomysl, by do plastikowych kanistrów nalac wody z sadzawek retencyjnych, calkiem niewykluczone, ze byl to jeden z ekspertow Królikarni. Dosć, ze metoda ta w szybkim tempie bardzo sie rozpowszechnila - w efekcie w miastach bedacych pod panowaniem Bialej Wiezy wyrosła pokaźnych rozmiarow piata

kolumna Odmienionych. Wodą zaczerpniętą ze skażonych sadzawek zatrutowano studnie, dolewano ją do piwa, do zupy, do lekarstw. Wcale nierzadko zdarzały się i takie historie, że - przykładowy dotąd - mąż wracał do domu z karczmy (w której agent z Antymiasta nalał mu do piwa wody z sadzawki) i nim usnął, już odmieniony, mordował żonę, dzieci i sąsiadów.

Tak, plastikowy kanister ma wielki udział w nadciągającym triumfie Dziwki.

Rybicki opowiada mi jednak o sadzawkach retencyjnych inną historię.

Jeden z możnych (w państwie Rybickiego nazywają ich grafami) miał piękną żonę Lyrię. Jak zawsze w takich opowieściach - początkowo pożycie ich układało się świetnie, on kochał ją, ona jego... przy czym Rybicki zarzeka się, że nie jest to tylko chwyt narracyjny. Jednak klimat panujący w tej okolicy nie służy zdrowiu, choroby tutaj to rzecz powszechna, a nawet lokalni feudałowie (których stać na ziemskie lekarstwa) nie zawsze mają odpowiednie medykamenty pod ręką - czy to ze skąpstwa, czy z zabobonu (bo niejednokrotnie bardziej ufają miejscowej zielarce), czy też z tej prostej przyczyny, że do najbliższej faktorii jest kawał drogi.

Tym razem zielarka niewiele pomogła, gdy Lyria zapadła na tajemniczą chorobę (z opisu wywnioskowałem, że mogła to być ospa), a organizm, nieprzygotowany na taki atak, poddał się prawie tak szybko jak wojska francuskie w czasie drugiej wojny światowej. Lyria konała, zielarka rozkładała ręce. Wówczas graf (na imię miał Uther) zrozumiał, że potrzebne są bardziej radykalne środki. Traf chciał, że niedaleko w górach (ledwie pół dnia drogi od dworu) było miejsce przeklęte, sadzawka retencyjna - wiedziała o niej cała okolica. Pewnej nocy zdesperowany Uther ładuje więc swoją małżonkę na sanie (w górach leżał już wtedy śnieg), siodła konia i rusza w stronę Wdowiego Stawu. Widzę oczyma wyobraźni tę scenę - zamglona dolinka, mury dworu zacierają się już w oddali, wierzchem jedzie ponury, czarnowłosy wojownik, a z tyłu, z sań odzywiają się ciche przedśmiertne westchnienia. A może nie, może Lyria wtedy spała, nie wiedziała nawet, dokąd jadą?

Jechali ku przeznaczeniu.

Dlaczego szaleństwo wstąpiło w Uthera? Znał przecież moc sadzawek retencyjnych, wiedział, że nie może wyniknąć z tego nic dobrego. Jednak musimy zrozumieć jego desperację - on, wojownik, bogacz, nienawykły do porażek, przed którym wszyscy w okolicy gną karki - był bezsilny, na jego rękach umierała jedyna osoba, którą (poza sobą rzecz jasna) kochał.

Dotarliszy do sadzawki (brzegi są już podmarznięte), Uther chwytając ogromny młot, krzyczy, kruszy lód i kąpie swą piękną jasnowłosą żonę w wodzie. To od tamtej pory nazywają ów zbiornik Wdowim Stawem.

Ale ta nazwa nie jest od wdowca, chociaż początkowo tak to właśnie wygląda - zimna kąpiel na nic, Lyria nie daje znaku życia, Uther kłęcząc na brzegu jeziora, krzyczy, wali stalową

rękawicą w lód. wygraża pięściami Matce, a ciało jego żony niepostrzeżenie zsuwa się do wyrąbanego przez rycerza przerębla.

Ocknąwszy się z otępienia, Uther chce wstać, odejść z tego miejsca, zapomnieć - lecz ze zdziwieniem odkrywa, że jego nogi zostały uwięzione przez korzenie pobliskiego wiązu, dostrzega też, że rosnące za nim krzaki zaczynają oplatać mu ramiona, brzeg jeziora cofa się, zostawiając go na lodzie. Usiłuje wstać, lecz nogi rozjeżdżają się na zamarznętej tafli, klnie, jest przerażony, w oczach pojawia się panika, serce łomocze. Rycerz zaczyna przeraźliwie krzyczeć, ale nikt nie słyszy jego wołania, tylko echo odbija ten wrzask od jednego zbocza do drugiego. W chwili, gdy Uther (wciąż unieruchomiony przez przybrzeżne rośliny) traci nadzieję, ktoś pojawia się na brzegu - początkowo widać tylko kontur postaci, zamazaną, zamgloną sylwetkę - jak gdyby rycerz oglądał tę tajemniczą postać przez szybę samochodu podczas silnego deszczu. Lecz chwilę później Uther już poznaje, już rozumie - i wtedy zaczyna krzyczeć jeszcze głośniej.

To Lyria idzie w jego stronę.

Szczałki grafa znaleziono kilka tygodni później - został rozerwany przez przybrzeżne drzewa. Zapewne nigdy nie poznalibyśmy prawdy, gdyby nie kruk, który siedział nieopodal, niezauważony ani przez Uthera, ani przez jego odmienioną małżonkę. A gdy jezioro się uspokoiło, ptak odleciał, by przehandlować swą cenną wiedzę (w Trzecim Świecie kruki stanowią kulturowy odpowiednik Żydów, ze względu na inteligencję i niebywałą smykałkę do interesów). Cechy te sprawiły, że należą one tutaj do najbogatszych stworzeń obdarzonych inteligencją (największy tutejszy bank należy właśnie do nich, powiada się, że Biała Wieża jest w nim zadłużona po uszy); jest to też powód, dla którego ptaki te nie są tutaj kochane.

- Targował się o tę wiedzę - mówi mi Rybicki, wałąc dłonią w kolano, w połowie zły, w połowie rozbawiony. - Nikt nie potrafi targować się tutaj tak dobrze, jak kruki.

Nie jest to bynajmniej koniec historii nieszczęsnego jeziora. Oddajmy na dłużej głos Rybickiemu:

- Zalęgła się franca, zapuściła korzenie, sięgnęła do dna, wyciągnęła rękę po okoliczne strumienie, po ptaki, po ryby, po drzewa i trawy - Lyria była w każdym skrawku tamtej ziemi. Mocy miała pod dostatkiem, czerpała z zasobów długo gromadzonych w sadzawce - żywa inkarnacja Dziwki. Bardzo szybko ów rejon gór stał się ziemią przeklętą, przebiegające tam szlaki zamarły, nie mówiąc już o wierceniach (tak, to rejon roponośny, ale po tym, jak straciłem całą trzydziestoosobową załogę, wstrzymałem tam prace). Lecz ja się tak łatwo nie poddaję, panie redaktorze. Ściągnąłem ciężki sprzęt. Działa. Miotacze ognia. Trucizny. Zamieniłem tę uroczą dolinkę w piekło - albo ja, albo ta pinda, trzeciej drogi nie ma.

Przez moment wyglądało na to, że jednak pinda.

- To wtedy, w jedną noc zginęło stu najemników - ciągnie mój gospodarz. - Zaczęło się niewinnie, ot mgła, cóż mgła, mało to mgieł? Ale nie, to nie była mgła - lub nie taka, o jakiej myślałem. Dobrze, że miałem przy sobie maga, ten szybko zrozumiał, że coś nie tak, siłą wepchnął mnie do helikoptera - i odleciałem. Z góry, już bezpieczny, oglądałem, jak moi ludzie skaczą sobie do gardeł, zaczynają strzelać jeden do drugiego, przecinają swoim kolegom tchawice, odpalają ładunki wybuchowe.

Mgła, kurwa, mgła.

Bałem się potem cholernie, ale poprzysiągłem - nie daruję szmacie. Następne akcje zaplanowaliśmy już znacznie lepiej, odbywały się ze wsparciem lotnictwa, miałem także napalm, miałem bomby głębinowe, miałem bomby kasetonowe, miałem moździerze, miałem broń chemiczną - a na dodatek miałem gromadę tutejszych czarodziejów, kilkanaście butli z dzinnami, tresowane węże morskie, zaczarowane szczupaki - postawiłem wszystko na jedną kartę (tymczasem dostałem wyniki z Instytutu Geologii Legendarnej, potwierdzali mi właśnie, że złoża ropy i gazu odkryte w pobliżu Wdowiego Stawu są ogromne - nie miałem wyjścia). Ech, cośmy się namęczyli, była zajadła jak bulterier, padło może z pięćset osób przy oczyszczaniu jeziora - dobrze, że to wszystko miejscowi.

Rybicki wzdycha, pociąga łyk wódki, zagryza słonym, wpół surowym mięsem i kończy.

- Czy zginęła? Konsultowałem się z kilkoma tutejszymi magami, twierdzą, że nie, że cały czas gdzieś tam jest - i prawda, nie znaleźliśmy ciała. Ale uciekła za zasłony mgieł, tak daleko, tak głęboko w te mgły, że już stamtąd nie wróci, nie potrafi. Uciekła! Przede mną!

Spoglądam na Rybickiego, prosto w jego oczy, zimne i wyrachowane, oczy typowego polskiego cwaniaczka, który doszedł do pieniędzy i zaszczytów w takim samym stopniu ciężką pracą co draństwem i oszustwem.

- Uciekła - mówi Rybicki.

Ja też bym przed nim uciekł.

Dwa dni później, po tym jak opuściliśmy Gniazdo, okazało się, że historia Wdowiego Stawu miała swój dalszy ciąg.

FOTOGRAFIA 6 - CIĘŻARÓWKA

Ciężarówka, którą widzimy, przypomina z daleka przewrócony na bok karton. Stoimy na drodze prowadzącej do Wdowiego Stawu. Jak widać, mimo przechwałek Rybicki (tacy jak on zawsze się przechwalają, nie spuszcza spojrzenia, będą łącać w żywe oczy) nie kontroluje swojego księstwa w pełni. Mamy przed oczyma namacalny dowód - przewróconą, zdruzgotaną ciężarówkę. Jej boki są osmalone, obok leżą trzy ciała, zmasakrowane, z powyrywanyimi kończynami, sine. Jedna z postaci nie ma głowy. Trzynasty z Miotu twierdzi, że głowa została odgryziona przez olbrzyma (olbrzymy w znakomitej większości są czcicielami Dziwki). Wnioski te potwierdza Elah, badając ślady na miejscu tragedii (nasz przewodnik ma woreczek inteligentnego piachu z pustyni, rozsypuje go gestem rolnika siejącego zboże, piasek upada, pokrywa badany przez elfa fragment i dokładnie odtwarza trop, następnie Elah gestem przypominającym mudry zbiera piach do woreczka, znów go rozsypuje - i tak dalej, dopóki nie odczyta wszystkich śladów). Olbrzymy, mówi, w chwilach gniewu zioną ogniem - co wyjaśnia, dlaczego bok ciężarówki jest okopcony, a plandeka spalona.

Samo pojawienie się ciężarówki musi budzić wiele pytań - dlaczego ciężarówka nie miała ochrony Królikarni? (zgodnie z polityką zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego wojsko chroni wszelkie transporty ropy, nawet jeśli należą do prywatnych właścicieli). Może była to dostawa prowiantu dla robotników na polach naftowych? - lecz jeśli ta wersja okazałaby się prawdziwa, dlaczego ciężarówka nie jechała w dobrze strzeżonym konwoju, tak jak to się odbywa w tych stronach? Dlaczego ciężarówka poruszała się bez jakichkolwiek oznaczeń? Dlaczego jej kierowcy nie mieli przy sobie żadnych dokumentów? Elah, rozgryzając jedno ziarenko kawy za drugim, sugeruje, że mógłby to zbadać, odprawiając jakiś plugawy rytuał, przywołujący duchy zamordowanych. Nie ma jednak takiej potrzeby - wystarczy przyjrzeć się bliżej ładunkowi, który, o dziwo, pozostał nietknięty.

Ciężarówkę wypełniały plastikowe pojemniki na wodę. Na wszystkich widniała zachęcająco wyglądająca naklejka: „neverland trips”.

Tutaj, w Trzecim Świecie, nikomu ta nazwa nic nie powie, niemniej na Ziemi jest znana bardzo dobrze - to jeden z najpopularniejszych środków halucynogennych przemycanych z Legend. Specyfik ten jest prawdziwą plagą, zwłaszcza ze względu na to, że trudno go wykryć (gdy został przebadany skład chemiczny, w pierwszej chwili sądzono, że ktoś podmienił próbki

- okazało się, że neverland trips to zwykła woda).

Resztę historii można dopowiedzieć sobie samemu - neverland trips to, rzecz jasna, woda z sadzawek retencyjnych, przemykana z Trzeciego Świata (zagadką pozostaje dla mnie, dlaczego na mieszkańców Ziemi substancja działa inaczej niż na tutejszych). A zatem to nie skażenie spowodowało, że kotlina Wdowiego Stawu została zamknięta (kiedy pytałem Rybickiego, czy można zobaczyć na własne oczy miejsce, o którym tyle opowiada, mój rozmówca kategorycznie odmówił). Ale ja widziałem już podobne procedery wcześniej, wizyta nad Wdowim Stawem nie jest konieczna, wystarczy ciężarówka - potrafię sobie wyobrazić, co bym tam ujrzał. Zapewne uzbrojonych po zęby najemników, zapewne ogrodzenie z drutu kolczastego i - bez wątpienia - pracujących w niewolniczych warunkach tubylców, pompujących wodę do plastikowych pojemników, naklejających systematycznie etykiety „neverland trips” na kolejne plastikowe butelki. Zapewne też od czasu do czasu zdarzy się któremuś z robotników kontakt ze skażoną światłem Dziwki substancją (idę o zakład, że nie ma tam żadnych norm bezpieczeństwa ani zautomatyzowanej linii produkcyjnej, a woda nalewana jest do butelek ręcznie - musi być za to nadzorca brygady, z przygotowanym na takie okazje pistoletem. Jeśli więc coś takiego się zdarzy - srebrna kula w łeb).

Dzięki ciężarówce utrwalonej na fotografii lepiej zaczynam rozumieć fenomen Rybickiego i jego zażartą walkę o dostęp do Wdowiego Stawu. Nie chodziło więc o ropę (a przynajmniej - nie tylko). Ten ciężki sprzęt, samoloty, broń chemiczna, miotacze ognia - to były inwestycje, to był czas zasiewu, a teraz pora na zbiory.

Ze zrozumiałych względów pan na Gnieździe nie może przyznać się do swojego procederu, nie może otwarcie, z podniesioną przyłbicą, sprzedawać neverland trips, stąd brak jakichkolwiek znaków identyfikacyjnych, brak ochrony, stąd ciężarówka podróżująca boczną drogą.

Dzięki jednej przewróconej ciężarówce nie musiałem jechać nad Wdowi Staw, aby dowiedzieć się tego wszystkiego, wystarczyło połączyć fakty.

Mimo to pojechałem - czy nie na tym polega rola reportera?

Wszystko się zgadzało.

FILMY (2) - SŁAWMY MOŻNEGO ADAMIRA

Szary, kamienny człowiek z odłupaną dłonią podnosi rękę do góry. Rozlega się suchy okrzyk.

- Sławmy imię możnego Adamira!

Podróżując na Południe, coraz to napotykam ślady przeszłości. Są to ruiny po fortyfikacjach, opuszczone miasta, prawie że zatarte malunki na ścianach starych budynków, a nade wszystko - posągi. Posągi są tutaj nad wyraz popularne i stanowią - o ile zdołałem się zorientować - rodzaj słupów granicznych. Każda nowa władza, każdy nowy pan stawia własne; przypomina to zachowanie psa oznaczającego swoje terytorium. Ma to o wiele poważniejsze konsekwencje niż u nas, na Ziemi - statuy nie mają li tylko znaczenia symbolicznego, zwykle wykonywane są przez Rzeźbiarza, adepta magii szkolonego w ożywianiu kamienia i nadawaniu mu rozmaitych funkcji. Mamy więc posągi strażnicze, posągi szpiegowskie, mamy posągi graniczne, posągi drogowaskazy, posągi będące rezerwuarem energii magicznej - na wypadek, gdyby potrzebował jej władca; można wreszcie spotkać rzeźby, których jedynym zadaniem jest sławienie władzy, która je wzniosła i umieściła na postumentach. Stoi więc jakiś mocarz z mieczem pośród ruin dawno zapomnianego miasta, stoi zakurzony, poznaczony ptasim łajnem, porośnięty tutejszymi gatunkami mchu - trwa bez ruchu przez dłuższy czas i już-już jesteśmy gotowi myśleć, że to zwykła rzeźba, kiedy nagle wznosi głowę i krzyczy na przykład:

- Sławmy imię możnego Adamira!

Bóg raczy wiedzieć, kim był możny Adamir, nikt z żyjących o nim nie słyszał, nikt o nim nie pamięta - posąg jednak z regularnością szwajcarskich mechanizmów zegarowych wykonuje swoją pracę, po okrzyku znów zastyga, znów trwa w bezruchu, a potem znów krzyczy.

- Sławmy imię możnego Adamira!

Oczywiście inni możni, ci, którzy później objęli władzę, nie lubią słuchać o jakimś tam możnym Adamirze (zwłaszcza jeśli w drodze po władzę pozbawili go głowy), dlatego, po pierwsze, stawiają własne posągi, aby przekrzyczeć te krzyczące o, będącym już wówczas zupełnie nikim, Adamirze, po drugie zaś - niszczą stare rzeźby. Słyszałem nawet, że wykształciła się w Trzecim Świecie specjalna profesja: burzyciel pomników. To, wbrew pozorom, nie jest łatwa sztuka, posągi są jednym z najtrwalszych śladów, które pozostawia po sobie każda tutejsza władza - wznosi się wszak te posągi przy użyciu magii, co zapewnia im nadzwyczajną trwałość, dlatego burzyciel nie dość, że musi być fachowcem z dziedziny budownictwa, rzeźbiarstwa i materiałoznawstwa, musi znać też przynajmniej podstawy nauk

tajemnych - jest to jednak zajęcie bardzo dobrze płatne i można rzec, elitarne. Na początku, w bazie Królikarni, pokazywano mi zdjęcie jednego z burzycieli - przedstawiało ono nadzwyczaj wysokiego mężczyznę (półolbrzyma), o śmiałym spojrzeniu, obwieszono go grubymi powrozami i amuletami. W tle rysowały się kontury potężnej maszyny - płatanina dźwigni, przekładni, drewnianych ramion i kół zębatych, zwieńczona olbrzymim kamieniem, zwisającym z drewnianego żurawia. Mężczyzna miał twarz dobrze prosperującego przedsiębiorcy: zadbaną, zadowoloną i pewną siebie. Nic dziwnego; sądząc po liczbie posągów, jakie napotykałem, nie brakowało mu pracy, kraina pełna była cudzych pomników, a zatem mnóstwa geszeftów do załatwienia.

Patrząc na te wszystkie posągi, dochodzi się do nieuniknionego wniosku, że historia Trzeciego Świata toczyła się w sposób burzliwy, niespokojny, pełen niespodziewanych zwrotów akcji. Dla przykładu całkiem niedaleko doliny, nad którą góruje Biała Wieża, można napotkać statuy o zupełnie odmiennym stylu. Twarze, jakie z nich spoglądają, też są zupełnie inne - groźne, często wykrzywione grymasem wściekłości, nieforemne - najczęściej wśród nich sylwetek wilkołaków, bywają też postacie przypominające Minotaura. Z resztek murów obronnych zaś czasami spojrzysz straszdyło podobne do gargulców, znanych z katedry Notre Dame. Nie dowiesz się od tych posągów ani tego, która jest godzina, ani którędy do miasta Lond, nie będą też sławiły możnego Adamira. Nie, bardziej przypominają fatalistycznych proroków lub zgorzkniałych publicystów; w ich słowach jest tylko krew, ogień, upadek, zagłada, zaraza, degrengolada, rozpad, słabość, beznadzieja, smutek, śmierć, zniszczenie, rozpacz, pożar, pożoga, gruzy, popioły, dymy, mordy, klęski, koniec. Ich obecność świadczy o tym, że kiedyś dziedzina Dziwki sięgała daleko na północ, a zło panowało prawie nad całym globem. Elah twierdzi, że w ostatnich kilkunastu latach pomniki stawiane za poprzednich rządów Dziwki znacznie się ożywiły.

Na dodatek, mimo że niejeden burzyciel próbował z nimi swych sił, wszystkie próby, pojedynki: istota żywa - kamień w tym konkretnym przypadku - zakończyły się zwycięstwem kamienia.

Ale sprawa nie jest jednoznaczna - podróżując daleko na Południe, spotykam statuy świadczące o tym, że królestwo Matki też sięgało bardzo, bardzo daleko. Były zatem okresy, w których przeważała jedna siła, i były takie, kiedy przeważała druga; wychylenie wahadła następowało to w tę, to w drugą stronę. Jednak zawsze wracało ono do pozycji równowagi. Dlaczego więc teraz miałyby być inaczej? Może fakt, że siły zła dochodzą do głosu, jest jeszcze jednym obrotem tego samego cyklu? Dlaczego krąg miałby zostać przerwany? Podzieliłem się kiedyś swoimi wątpliwościami z Elahem (miał skrajnie fatalistyczne nastawienie, żywił

głębokie przekonanie, że koniec świata zbliża się szybkim, marszowym krokiem).

- Wcześniej Dziwka nie miała męża. Wyście go przywieźli. Czarownika.

Był zatem Elah terraitą, stwierdziłem ze zdumieniem.

Co wiem o terraitach? Cóż, podstawy. To grupa elfów - odłam? sekta? szkoła? Nie wiem, jak ich nazwać, idący w ślad za Woramem, elfim prorokiem (stąd ich druga nazwa - woramici) wyznają osobliwe przekonanie. Otóż sądzą, że to ludzie pochodzący z Ziemi sprowadzili do Trzeciego Świata Czarownika. Wcześniej - po ostatnim zwycięstwie nad Dziwką, wieki temu. Czarownik został wygnany z Trzeciego Świata, znalazł się poza granicami tej rzeczywistości, przyczał się gdzieś w cieniu, pomiędzy światami. A my, ludzie, przybywając tutaj, sprowadziliśmy go z powrotem.

Jest to oczywiście przekonanie naiwne, lecz w pewien sposób atrakcyjne: kto odpowiada za to, że przegrywamy? Nie my, oni! Kto odpowiada za to, że nasze społeczeństwo jest źle zorganizowane? Nie my, oni! A za czyją przyczyną spada przyrost naturalny elfów? Rzecz jasna nie za naszą - znów winni są oni, przybysze.

Nie jest to rozumowanie prowadzące do rozwiązania problemów, części tubylców jednak to wystarcza, usprawiedliwia bowiem (przynajmniej w oczach wyznawców tego poglądu) dojmujące poczucie niemożności, beziły, destrukcyjne dla każdej psychiki, i uwalnia od odpowiedzialności za los tej Legendy. Największy paradoks tkwi jednak w tym, że mimo swych przekonań woramici współpracują z Królikarnią (z całych sił wspierającą Białą Wieżę), stają do walki z nami ramię w ramię, choć cały czas obwiniają nas o to, że sprowadziliśmy na ich świat zgubę.

Wprawdzie nie wiadomo, czy Czarownik „już tu jest” (jak piszą niektórzy), czy przybył jako jeden z pierwszych odkrywców Trzeciego Świata, czy może dopiero jest w drodze, zmierza w jednym z ostatnich transportów Królikarni, ale to bynajmniej nie likwiduje w przekonaniu woramitów naszej, ludzkiej winy.

Nie zrozumie się tego, nie wyjaśniając sposobu, w jakim myśli się tutaj o Czarowniku. A myśli się następująco - Czarownik włada czasem, a zatem nie jest ważne, kiedy się tutaj znajdzie, może na przykład przybyć jutro i cofnąć się o dziesięć lat lub, odwrotnie, przybyć pięćdziesiąt lat wcześniej i przeskoczyć kilka następnych dekad, przeczekując gros pobytu Ziemi, by wyłonić się z odmętów czasu, gdy nadejdzie właściwa chwila. A zatem liczy się sam fakt przybycia, otwarcia bram do innych rzeczywistości. Skoro to już się dokonało, nic innego nie jest ważne, a zatem obojętnie od postawy - wrogiej czy przyjaznej - nie usunie to skutków, jakie już nastąpiły. Lepiej więc współpracować, ramię w ramię z żołnierzami Królikarni walczyć ze złem.

Jak na świat pełen irracjonalnych wier i przekonań, pełen przesądów i magii, zadziwiająco przytomna konkluzja.

FOTOGRAFIA 7 - POLANA

Z pozoru to krajobraz, prawie że widokówka (z zaświatów) - przed sobą mam polanę, porośniętą wysoką trawą, drzewa są duże, rozłożyste i stare, nie rosną gęsto, nie tworzą zwartej ściany (tak jak to było na Północy). Na widokówce można też dostrzec, że więcej jest drzew owocowych, mniej roślin podobnych do naszych sosen czy świerków. To właśnie po roślinności poznajemy, że dotarliśmy naprawdę daleko na Południe.

Po roślinności i po opuszczonych domach.

Tych domów na fotografii nie widać, są ukryte w trawie, niewysokie, półokrągłe. Trzynasty z Miotu próbuje mi wytłumaczyć, jaki to lud mógł mieszkać w takich warunkach (mieszkańcy musieli być niżsi od goblina, a ten miał najwyżej metr dwadzieścia) - wreszcie znajduje jakiś szkielet i pokazuje mi go triumfalnie, niczym antropolog, który znalazł brakujące ogniwo ewolucji, krzyżąc i czekając na nagrodę (gdyby opisywać jego reakcje przez porównania i stereotypy, należałoby go zestawić z Sienkiewiczowskim Kalim). Z oglądu szkieletu wnioskuje, że tutejsi mieszkańcy to był lud podobny do Tolkienowskich hobbitów. Rozglądam się po osiedlu; w trawach kryje się kilkaset domostw (a w każdym miejsce dla kilkunastu osób). Ciśnie się więc pytanie: gdzie oni się podziali, dokąd poszli, gdzie się ukryli?

Powód tej wyprowadzki jest oczywisty, dlatego nie musimy stawiać kolejnego pytania: „dlaczego” - w późnopołudniowych godzinach widać nawet ów powód nad horyzontem; to krwawa, jadowita luna, na szczęście widoczna przez bardzo krótki czas, choć Elah i tak nakazuje się wtedy skryć w cieniu, uciekać od trującego światła, smarować skórę specjalnie na tę okoliczność przygotowaną maścią.

Widoki, na jakie natrafiamy od tygodnia, to same opuszczone wsie i miasta - czasami odwrót odbywał się w sposób uporządkowany, czasami gwałtowny i chaotyczny, jak gdyby gdzieś na horyzoncie dostrzeżono hufce wroga.

To największy problem - opisać „hufce wroga”. Często bowiem to wcale nie są hufce. Oczywiście, Antymiaasto (lub raczej poszczególni watażkowie władającymi swoimi południowymi państewkami, bo Południe nie stanowi jednolitego politycznego organizmu) ma swoją armię, swoich generałów, szeregowców, artylerię, swoje smoki bojowe i swoich magów

- lecz ta armia toczy walki daleko stąd, dobry tysiąc kilometrów na południe; tam zlokalizowany jest pierwszy pierścień obronny, tam są strefy okupacyjne, bazy, wielkie siły Wojska Polskiego, wspomagane tubylcami. Walczą w piekących promieniach Dziwki, odpierając siły zła jeszcze na terenie wroga. Lecz tutaj, na Pograniczu, nie ma żadnych zorganizowanych dywizji, nie ma sztandarów, armii, generałów.

Nie ma więc „hufców”, choć są wrogowie. Przede wszystkim wszelkiej maści kreatury, bestie i potwory, kiedyś wytępione, teraz odżywające ze względu na bliskość Dziwki; nie ma dnia, byśmy nie ujrzeli to jakiegoś paskudnego jaszczura, to wilkołaka, to wielkiego pająka, to gadającego ogromnego sępa - na razie stworzenia te nas nie atakują, boją się, wyczuwają elfa. odstraszonego je swą aurą. Oprócz nich co jakiś czas trafi się grupa orków (chwile te są szczególnie przykre dla Elaha, orki to bowiem mutacja, w jaką wyrodziły się te elfy, które przeszły na stronę Dziwki), ale i one zostawiają nas w spokoju. Słyszałem też o chmarach szarańczy, o stadach wron, o myślących czarnych obłokach niosących z sobą gryzący dym. Nie to jednak stanowi największe niebezpieczeństwo mieszkańców Pogranicza. Chcąc rozpoznać największe zagrożenie, muszą oni bowiem spojrzeć w lustro.

Zdarzało się w tych stronach wcale często, że miasto w spokoju szło spać, by obudzić się w środku krwawej rewolucji, podczas której każdy walczył z każdym. Dlaczego walczył? Nie wiadomo, najpewniej - dlatego że został zaatakowany. Ale przez kogo został zaatakowany, kto pierwszy uniósł ostrze? - odpowiedzi na takie pytania najczęściej nie można znaleźć, nie można dociec przyczyny, tego pierwszego uniesionego ostrza. Atmosfera w takich miastach przypomina rozgrzany na patelni tłuszcz, starczy kropla wody, a tłuszcz zaczyna skwierczeć, strzelać, parzyć.

Przed wybuchem nikt nie zauważa powolnego pogarszania się nastrojów, degeneracji wzajemnych relacji - tu ktoś komuś wyrządzi małą przykrość, tu znów ktoś kogoś oszuka na małą kwotę; to sytuacje z pozoru bez znaczenia i choć wcześniej (gdy do tych terenów docierało tylko światło Matki) nic takiego się nie działo - nie wzbudzają podejrzliwości. Lecz Dziwka stopniowo podgrzewa atmosferę, narasta masa krytyczna, oszustwa stają się bardziej bezczelne, złośliwości bardziej dosadne, każdy o każdym mówi źle za plecami, każdy każdemu zazdrości, aż wreszcie pojawia się iskra, nagły, oślepiający wybuch wściekłości - i w masakrze ginie pół miasta. Oczywiście mieszkańcy Pogranicza, ci którym jeszcze się taka historia nie przytrafiła, wiedzą o zagrożeniu, żyją z nim przez jakiś czas, aż w końcu, jeśli nie rzucą się sobie do gardeł - wyjeżdżają.

Sama nazwa „Pogranicze” kryje w sobie pewien paradoks - mierząc rzecz terminologią ziemską, do oficjalnej granicy jest jeszcze kilkaset kilometrów. Chodzi tu raczej o zasięg obu

gwiazd, o obszar, gdzie krzyżują się wpływy obu stron, stąd właśnie - Pogranicze.

Kiedyś, mówi Trzynasty z Miotu, Pogranicze było o wiele dalej na południe, tutaj rozciągały się żyzne i wesołe ziemie, a ich przynależności do domeny Matki nikt nie ośmieliłby się kwestionować.

Lecz teraz jest tutaj Pogranicze.

Pogranicze w ogniu.

FOTOGRAFIA 8 - PUSTKOWIE

Na kolejnej fotografii niewiele widać - ot, skaliste, suche pustkowie (nadal jesteśmy na Pograniczu). Dalej są jakieś rachityczne drzewa, zeschnięte pnie, przewalone przez drogę, ani śladu człowieka, elfa, gнома. Gdzieś w górze kilka czarnych kropek (gdyby zrobić owym kropkom zdjęcie przy użyciu porządnego obiektywu, w dużym zbliżeniu, zapewne okazałoby się, że to sępy), lecz fotografia leżąca przede mną nie odpowiada na to pytanie. Zdjęcie nie obejmuje również pomnika-drogowskazu, który minęliśmy kilka minut wcześniej (nie tak dawno drogowskaz ten był bardzo potrzebny, szedł tą drogą wielki handel, a pomnik wciąż i wciąż wskazywał zapytanym drogę „na Lond”, „na Białą Wieżę”, „na Lond”, „na Białą Wieżę”).

Słowem - jest to obraz, jakich wiele, niewyróżniający się niczym szczególnym, bez wielkiego trudu dałoby się podobną fotografię zrobić u nas, na Ziemi. Wprawdzie pierwszy plan jest nieco zamglony i rozmazany, niemniej ze spokojem można to wziąć za nieumiejętność osoby obsługującej aparat albo za jakąś wadę sprzętu.

Ja jednak pamiętam tę fotografię, pamiętam dokładnie okoliczności, w jakich została zrobiona, pamiętam też rozczarowanie, kiedy pojąłem, że najciekawsze nie uwieczniło się na zdjęciu. Sprawdziłem wtedy nagranie z kamery - też nic, lekka szarawa mgiełka - ot co. Widocznie żaden ziemski obiektyw nie był przygotowany na takie widoki.

Wyciągam więc z kieszeni cyfrowy dyktafon, włączam: on nie zawiódł.

Z NAGRAŃ (1) - LOND

- Lond!

- Lond!
- Lond!
- Lond!

Myliłby się ten, kto sądziłby, że nagrywałem pomnik wskazujący drogę. Jeśli się dobrze wsłuchać w nagranie, spostrzeżemy, że za każdym razem głos jest inny, raz należy do kobiety, raz do starca, raz do dziecka, raz usłyszymy skrzek gnoma, raz - charkot elfa. Ale zawsze - Lond.

Głosy te odpowiadają na pytanie - skąd jesteście. Ja, Trzynasty z Miotu i Elah pytamy o to wszystkich przechodzących, jednego po drugim, a oni odwracają na nas swoje puste oczodoły, swoje popalone twarze i odpowiadają:

- Lond!

Czasami myślę, że dobrze, że aparat fotograficzny tego nie uchwycił. Inaczej jest bowiem konfrontować się z opisem - choćby i makabrycznym, a inaczej z obrazem, obraz trafia do nas niejako bezpośrednio, bez ułomnego interfejsu wyobraźni. Czytelnik zatem nie zobaczy ciągnącego się na kilometry pochodu trupów (to duchy - wyjaśnił mi Elah), nie zobaczy, że większość z nich ma wypalone oczy, spalone włosy, skórę, na twarzy na tułowi czy dłoniach. Są też nieszczęśnicy maszerujący bez jakiegokolwiek kłopotliwego balastu ciała - osmalone szkielety (ci musieli być najbliżej epicentrum wybuchu), są inni, niemający kończyn, zdarzy się też jakaś postać bez głowy - albo odwrotnie - sama głowa, niesiona przez innego trupa. Przesuwa się przed naszymi oczyma pochód egalitarny, demokratyczny i pozbawiony jakichkolwiek uprzedzeń rasowych - elf idzie obok krasnoluda, hobbit kroczy przed człowiekiem, biedak idzie za bogatym, dziecko za starcem, mądry i głupi idą obok siebie. Niektórzy z nich mają na sobie jakieś resztki odzienia (najczęściej nadpalone), lecz resztki te niczego nie zasłaniają. Elah wyjaśnia mi, że każdy duch wygląda tak, jak w chwili śmierci.

Boże!

Tymczasem w słuchawkach podłączonych do mojego dyktafonu znów rozlega się:

- Lond! Lond! Lond!

Wyłączam nagranie. Trudno tego słuchać, choć oczywiście znam dalszy ciąg (wyłączam właśnie dlatego, że go znam), bo wreszcie udaje nam się zaczepić jednego z przechodniów (musiał ujrzeć widoczną w zaświatach aurę elfa) - i ten osobnik (człowiek? elf? - nie potrafię stwierdzić, jest potwornie zmasakrowany), wyjaśnia nam, co się stało.

W skrócie przebieg wydarzeń można opisać w sposób następujący: Lond został skażony światłem Dziwki i wichrami wijącymi znad Płaskowyżu. Przez jakiś czas Biała Wieża i Królikarnia próbowały stawić czoło zagrożeniu (sami mieszkańcy Londu nie byli już do tego

zdolni, administracja znalazła się w rozsypce, stosunki społeczne w ruinie). Jednak wysiłki te spełzły na niczym - i wówczas, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, korpus interwencyjny opuścił miasto, odchodząc na kilkadziesiąt kilometrów i blokując wszystkie drogi, którymi można by z Londu uciec. Dowództwo uznało, że nie jest w stanie pomóc.

A potem na miasto spadł ogień.

Nasz rozmówca nie wie, co to było, nie zna bowiem pojęcia „bomba atomowa” (ja podejrzewam właśnie taką możliwość, choć równie dobrze mógł to być dzinn sprowadzony z innej Legendy). Mówi prosto: „spadł ogień”. Nikt nie przeżył, wszystkim wypaliło oczy. Dlatego, wyjaśnił pielgrzym, zanim się odwrócił i na powrót dołączył do szarego, ponurego korowodu, dlatego musimy wciąż iść, iść i szukać wyjścia z tego świata. Nie potrafimy go znaleźć.

Trup złapał mnie za rękę (sądzę, że chciał złapać Elaha, lecz staliśmy blisko siebie) i krzyknął prosto w moją twarz:

- Może ty? Tak, ty wiesz jak wyjść z tego świata! Wiesz! Wiesz!

Cały czas mam ich obraz przed oczyma. Matki niosące dzieci, starcy, kulawi, zdrowi i młodzi - pochód trupów, kilkadziesiąt tysięcy trupów. Nie wiem, czy to bliskość Dziwki, czy wpływ Pogranicza, być może, choć bardziej przekonuje mnie przypuszczenie, że to po prostu widok żalosego korowodu każe na nowo zastanowić się nad systemem wartości, który tutaj obowiązuje.

Na Pograniczu zacierają się różnice - bo jak wskazać, w czym lepsi są władcy Białej Wieży od włodarzy Antymiasta lub od bezładnie wałęsających się watach Odmienionych, jakie zapuszczają się na te tereny? Wzrok, tak upajająco ostry jeszcze niedawno, jeszcze kilkaset kilometrów temu, teraz, zachodzi mgłą wątpliwości.

Kilkadziesiąt tysięcy trupów.

Matki. Dzieci. Starcy.

W jednej chwili!

Ile zła trzeba wyrządzić, żeby ocalić dobro?

ZE ZBIORÓW (3) - MUCHA

Wyciągam ją spomiędzy kartek książki (dokądkolwiek bym wędrował, książka jest ze mną, mam taki zwyczaj, czas poświęcony klasyce nigdy nie jest stracony - tym razem jest to „Faust” Goethego).

Oglądam zasuszonego, spłaszczonego pomiędzy kartkami owada niby jakiś chwast z zielnika. Tak naprawdę nie jest to mucha - ta nazwa przychodzi mi po prostu na myśl, mieszkańcowi Ziemi, jest to pierwsze skojarzenie ze względu na kolor (czarny) i kształt. Od muchy jest jednak sporo większa, skrzydła mają inny krój i są ostrzejsze, prawie że metalowe - można nimi przeciąć sobie skórę na palcu.

Gdy na nią natrafiliśmy, Trzynasty z Miotu stwierdził, że ten gatunek nazywa się tutaj „córąmi Dziwki”. W chmarze, wyjaśnił Elah, pokazując mi truchło owada, położone na białej kartce (a najczęściej można spotkać je w chmarach), te owady są śmiertelnie niebezpiecznie. Elf w milczeniu zgryzał ziarenka kawy, trącił ciało owada srebrną, długą szpilą, rozejrzał się po okolicy (znaleźliśmy się wtedy w skalistym parowie, w którym rosło trochę roślin, cień i gdzieś gdzieś jakieś źródło).

Okazuje się nagle, że jedna mucha - i to nieżywa - stanowi dla nas większe zagrożenie niż cały rój.

Elah z kamienną twarzą wyjaśnił, że to pułapka - zrobilibyśmy jeszcze kilka kroków, przeszlibyśmy obok owada niezauważenie - i katastrofa. Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, człowiek wychowany na Ziemi wzrasta w nieufności do otaczającego go świata, wszystko podaje w wątpliwość, wszystko kwestionuje - a już najbardziej słowa innego człowieka. Tymczasem tutaj, w Trzecim Świecie, jeśli się coś powiedziało - powiedziało się serio, nie ma miejsca na żarty. Więc kiedy Elah powtarzał, że byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie i że ta niby-mucha to pułapka, wiedziałem, że nie drwi.

Cały czas mam tę scenę przed oczyma.

Magia, mruczy elf, czując najwyraźniej potrzebę wyjaśnienia kilku oczywistości ignorantowi, to nie wasze pistolety, magia jest subtelna - czasem zaklęcie realizuje się przez pokomplikowany układ wielu pozornie niezwiązanych z sobą elementów.

- Widzisz? - pyta mnie, machając ręką w stronę rozpiętej przy skale misternej pajęczyny.
- Widzisz? - krzyczy, wskazując czarną, przełamaną na pół gałązkę. - Widzisz? - tym razem podchodzi do kupki zeschniętych liści. - Widzisz?

Nic nie widziałem.

Tymczasem (pojąłem to znacznie później) w parowie rozpięta była sieć zaklęcia,

prawdziwe domino, uruchamiające moce, których my na Ziemi nie widzimy, nie czujemy i nie potrafimy używać. Jeden fałszywy krok...

Elah to jednak (mimo swojego nałogu) tropiciel najwyższej klasy - i dlatego ze spokojem trąca owada srebrną iglicą. Zaklęcie zostało rozbrojone, można ruszać dalej. A mucha? - pytam wtedy, elf zaś kiwa głową z uznaniem, nagradzając mnie za to, że trafnie zaczynam czytać przepisy rządzące Trzecim Światem. Weź, mówi, może się jeszcze przydać. Może kiedyś my na kogoś zastawimy pułapkę.

Trzynasty z Miotu utrzymuje, że pułapka to dzieło dzikich - krążą tutaj o nich legendy. Ponoć żyją na Pograniczu, żyli tu od zawsze i żyć będą, choćby świat się walił. Mówi się, że sympatyzują z Dziwką, z Antymiastem, lecz trudno powiedzieć, by w sposób zdecydowany opowiadali się po którejś ze stron - dlatego Biała Wieża toleruje ich istnienie.

Brnąc przez Pogranicze przez kilka dni, podróżujemy w cieniu tych opowieści - wciąż mam wrażenie, że ktoś nas śledzi (a to poruszy się krzak, a to widzenie obwodowe wychwyci jakiś cień, a to rozlegnie się stukot spadających kamieni).

Być może chodzi im o to, co niesiemy ze sobą (mnóstwo przedmiotów z Ziemi - a zatem, mierząc to tutejszą skalą wartości - mamy przy sobie niewyobrażalne bogactwo). A może przyczyną jest woda - wody mamy akurat sporo, zbiorniki zostały odpowiednio przygotowane jeszcze w Białej Wieży, dostosowane za pomocą inkantacji, mieszczą kilka tysięcy litrów - w krainie wiecznej suszy, wiecznego niedoboru wody jesteśmy więc prawdziwymi krezusami, napaść na nas może każdy, niekoniecznie poplecznik Dziwki, starczy, że taka osoba będzie akurat dostatecznie spragniona (a tutaj o to nietrudno).

Osobnym problemem tych przestrzeni są studnie. Kiedyś - nie tak dawno, przed nawrotem Wszetecznicy, gdy szedł tędy intensywny handel, gdy na sztucznie nawadnianych polach uprawiano bawełnę i kilka ziół mających właściwości magiczne, władcy Białej Wieży ogłosili wielki program kopania studni. Nie było to zadanie łatwe, tutejsza gleba jest oporna i niechętna, dlatego planów nigdy w całości nie zrealizowano, mimo wszystko jednak powstało wiele punktów czerpania wody. Jaki był więc pierwszy pomysł stronników Dziwki? Zatruc studnie! To dzięki studniom ta kraina żyje, to dzięki nim utrzymuje ściśle związki z Białą Wieżą, studnia stanowi najwrażliwsze miejsce tutejszych społeczności, centrum ich małego wszechświata. Temperatura jest tu bowiem tak wysoka, że prędzej czy później wszyscy spotkają się przy kołowrocie.

Ale jak zatruc? Tak, by wszyscy poumierali? Nie, sładzy zła są źli, lecz w żadnym razie

nie są nieracjonalni, ba, są racjonalni do bólu, przeraźliwie praktyczni.

Po co ich zabijać, myślą więc śludzy zła, emisariusze Antymiaasta? Czy nie można zamienić ich w naszych stronników? Ależ to niezwykle proste, trzeba po prostu wypełnić studnie wodą z sadzawek retencyjnych; wtedy właśnie na scenę tych zmagania wkraczają plastikowe baniaki, dar narodów Ziemi dla Trzeciego Świata.

Wkrótce południowo-wschodnia część Pogranicza odrywa się od Białej Wieży i dryfuje prosto w stronę Południa.

Zapytałem kiedyś Elaha - czy jest coś, co mogłoby powstrzymać zło, coś, czego zło się boi. Zamyślił się.

- Jest - powiedział wreszcie, po długim milczeniu. - To bohaterstwo, czynnik, którego nie potrafią zmierzyć, przeliczyć, zrozumieć. Dlatego walczą z tym w sposób szczególnie okrutny.

- Czyli jak? - spytałem.

- Zobacysz - zachrypiał tylko i zionął przeżutą kawą.

Nie minął tydzień, jak zobaczyłem.

FOTOGRAFIA 9 - KLATKA

W Trzecim Świecie, gdzie spojrzysz, natkniesz się na kwestie ostateczne.

Bohaterstwo jest dobrym przykładem - my, na Ziemi, znamy niewielu bohaterów (taka postawa wymaga bowiem, byśmy robili coś wbrew sobie; występowali do walki wtedy, gdy wygodniej stać z boku, podnosili głos, gdy rozsądniej siedzieć cicho, odmawiali - choć rozsądniej byłoby przyjąć korzyść i żyć spokojnie). Innymi słowy - chcąc być bohaterami, my, mieszkańcy Ziemi, wciąż musimy się ze sobą zmagać - a wynik tych zmagania nigdy nie jest pewny.

Tutaj bohaterem człowiek się staje. Tak po prostu.

Proces jest analogiczny jak w wypadku formowania drużyny - ot, z nagła następuje przypływ mocy czy natchnienia i wczorajszy pomocnik w karczmie zrywa się do walki, unosząc wysoko podbródek dzisiejszego herosa.

Zwykle szukają samotności, opętani przekonaniem, że sami, w pojedynkę są w stanie odwrócić losy wojny. Gdyby ktoś taki narodził się na Ziemi, z miejsca przypięto by mu łatkę

oszołoma lub sklasyfikowano jako nową jednostkę chorobową. Ale w Trzecim Świecie bohaterowie cieszą się dużym szacunkiem - ze względu na niebywałe umiejętności (cudownie odmienieni stają się wspaniałymi szermierzami, łucznikami, jeźdźcami), wreszcie uzyskują pewne zdolności magiczne. W każdym wypadku jest inaczej - jeden potrafi porazić cię płomieniem, mimo że dłonie ma puste, inny z odległości kilku metrów sięgnie po jakiś przedmiot (np. miecz) siłą woli, jeszcze inny nabywa nagle daru uzdrawiania. Wszystkich ich piekielnie trudno zabić.

Zło jednak nie próżnuje, nie śpi, krąży wokół bohaterów, zastawia pułapki. Na jedną z nich trafiamy przypadkiem, na cichej, suchej polance - zdałoby się oazie spokoju. Jak na tę okolicę sporo tutaj roślinności, lecz jest ona dziwna, poskręcana, chorobliwie wygięta - jedne kłacza łączą się z innymi, tworząc gęstą płataninę. Widzę, że elf zaczyna się denerwować, bo często pluje kawą, kręci młynka palcami, dotyka wiszącego na szyi szlifowanego kamienia. Idziemy dalej tylko dlatego, że moment wcześniej usłyszeliśmy głośny, pełen bólu krzyk - głos niewątpliwie należący do człowieka.

Nieprzyjazna roślinność prowadzi nas wąską, skręcającą co chwila ścieżką w głąb polany, pośrodku niej znajdujemy bohatera.

Wygląda imponująco.

Węzły mięśni upodabniają go do Conana, opalone ciało lśni w promieniach słońca, czarne włosy luźno opadają na ramiona. To potężny chłop, mierzy ponad dwa metry, co dodatkowo go wyróżnia (tutejsza ludność jest niespecjalnie wysoka). Powiadają, że charakter odbija się w rysach twarzy - jeśli tak jest rzeczywiście, to mamy przed sobą osobnika o stalowej woli i niezłomnej osobowości, czego dowodem regularność fizjonomii, znamionująca zdecydowanie wąska linia ust, stalowe, spokojne oczy i wystające kości policzkowe. Z całej tej postaci bije charyzma i mimowolnie czuję chęć, by do niego podbiec, by się przyłączyć - za kogoś takiego można umierać!

A jednak to nie sam bezimienny bohater budzi nasze największe zdziwienie, lecz położenie, w jakim się znalazł: gdy go spotykamy, jest zamknięty w kolczastej klatce splecionej z ostrych, poznaczonych cierniami badyli, dość obszernej i na tyle luźnej, że można przecisnąć przez nie grube ramię bohatera. Klatka ta wisi w powietrzu dobre trzy, cztery metry nad ziemią, pod nią zaś wije się gąszcz krzewów, tak samo ostrych jak te, z których splecione jest więzienie mężczyzny. Aby dopełnić obrazu, trzeba jeszcze koniecznie wspomnieć o mieczu - miecz jest tutaj nieodzownym elementem. Przedmiot ten również lewituje, jest prawie na wyciągnięcie ręki bohatera i jest on bez wątpienia czarodziejski, starczy spojrzeć na zdobiące ostrze inskrypcje, na rękojęść pozłacaną, inkrustowaną smoczym zębem, na błysk

nieziemskiego metalu, z jakiego go wykuto. Bohater też to wie, też to widzi, jest pochłonięty myślą, że musi ów miecz zdobyć, co jakiś czas sięga więc po niego - a wtedy pręty klatki zaciskają się i dotkliwie ranią mu ramię (prawa ręka bohatera jest już cała we krwi). Na tym nie koniec - każdy taki ruch po miecz powoduje, że gęstwa pnączy pod bohaterem wzrasta, jeszcze kilka prób i ostre badyle sięgną klatki. Bohater to wie, widać, że co jakiś czas spogląda z niepokojem w dół, dostrzegł już zbliżającą się zagładę. Ale próbuje znowu. I znowu!

Wyrywam się elfowi, podbiegam do wielkich, klujących krzaków z maczetą, zaczynam ciąć, chcę uwolnić znajdującego się w matni nieszczęśnika - bezskutecznie. Kłacza nie ustępują, maczeta nie może ich przerąbać, ostrze odbija się od łądyg bez żadnej widocznej szkody. Elah powoli odciąga mnie do tyłu, kiedy już zmęczony bezowocnymi wysiłkami, pojmuję, że nie jestem w stanie pomóc. Bohater tymczasem wygląda na całkowicie nieświadomego naszej obecności. Po raz kolejny sięga po miecz.

- Trzy, cztery tygodnie - odpowiada Elah, gdy pytam, jak długo to może potrwać. Mój przewodnik wyjaśnia, że bohaterowie są niebywale żywotni, potrafią przetrwać bez jedzenia i picia znacznie dłużej niż zwykli śmiertelnicy, a ten został schwytany w pułapkę stosunkowo niedawno. Wszystko zależy od niego, pułapka skonstruowana jest w ten sposób, że o ile uwięziony porzuci swoje powołanie, wyrzeknie się bohaterstwa i walki ze złem - cały kolczasty las zniknie, zniknie i klatka, znikną nawet rany. On zresztą o tym doskonale wie. A mimo to będzie próbował do końca. Tacy jak on nigdy nie rezygnują.

Tak, nie rezygnują. Ale i oni kiedyś tracą siły. Nawet w Trzecim Świecie.

SZKIC NR 2 - KAPLICA

Nigdy nie należałem do utalentowanych rysowników - rysuję raczej po to, by utrwalić coś w pamięci, by zachować jakiś obraz, wtedy gdy fotografia wydaje się z jakichś względów niestosowna (zdjęcia teraz pozbawione są jakiegokolwiek znaczenia, robi się ich na tysiące, nikt ich później nawet nie przejrzy). Więc rysunek. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, od razu gdy zza horyzontu ukazał się nam budynek - i to mimo że nigdy nie grzeszyłem religijnością, wiara mnie odpychała, a Kościół katolicki wydawał się instytucją zepsutą i nieszczerą.

A tymczasem - w tym świecie, pod tym niebem - krzyż!

Robiło to kolosalne wrażenie. Zatrzymałem samochód około kilometra od kapliczki,

samotnej pośród skalistego pustkowia, siadłem na kamieniu i zacząłem szkicować. Z uwagą - aby oddać skromną urodę budynku, podkreślić smukłą linię kościelnej dzwonnicy, aby utrwalić chyba jedyny niezwiązany z przemocą ślad ludzkiej ekspansji w Trzeci Świecie, tę reminiscencję ziemskiej architektury, choćby w miniaturze. Z żalem - kiedy szkicowałem kilka krzyży wystających z piachu tuż przy kaplicy i kiedy nanosiłem kreski pęknięć na ścianach, odpadający tynk, zniszczone w kilku miejscach ogrodzenie i samotną kozę beznadziejnie wypatrującą trawy.

Szkic, choć ponury, udał się nadzwyczajnie. Opuszczona kaplica, opuszczona koza, opuszczone groby - w samym środku Trzeciego Świata, w przedpieklu. Ledwie kilkadziesiąt kilometrów od Mostu!

Po czym - właśnie kiedy kończę rysunek, kiedy ciągnę po papierze ostatnie czarne linie ołówkiem i na kartce mam już obraz niewysokiego kościółka mogącego pomieścić może z pięćdziesiąt osób - okazuje się, że kaplica wcale nie jest opuszczona. Leniwie porusza się dzwon, a z budynku wychodzi wysoki, brodaty mężczyzna w czarnej sutannie, w otoczeniu trzech niskich istot okrytych ciemnymi płaszczami. Staje, zasłania oczy dłonią (światło Matki, choć już słabe, mimo wszystko razi w oczy), macha zapraszająco dłonią. Jedziemy.

Mężczyzna w sutannie to Jan Karol Saw, proboszcz tutejszej parafii. Kiedyś, mówi - jego głos zmęczony, gardło suche - było ich, wiernych, ze dwie setki. Jeszcze dziesięć lat temu. Może dwanaście. Ale potem...

Nie musi opowiadać dalej, tę historię już słyszałem, ta sama opowieść rozgrywa się w niezliczonych wariantach - wzmożone promieniowanie Dziwki, osłabienie Matki, hordy potworów i maszkar, płonące domy, ucieczka. Na pytanie, czemu sam proboszcz jeszcze tu jest, czemu nie odszedł z innymi - ze swymi wiernymi, z żołnierzami Królikarni, Jan Karol Saw wskazuje na krzyż, na budynek. Budowałem to, wzdycha ciężko, przez siedem lat. Na chwałę Pana. Jakże mógłbym teraz odejść, nie broniąc tego miejsca przed złem? Poza tym - są jeszcze one.

„One” to trzy kobiety mieszkające w przykościelnej plebanii, niewielkiej szopce, całkiem zasłoniętej budynkiem kaplicy, jeśli spoglądało się od strony drogi, którą nadjechaliśmy. „One” to jedyny trwały sukces ewangelizacyjny Jana Karola Sawa na tej ziemi.

Myślę, że to jest prawdziwa przyczyna tego, że kapłan nie wyjechał jeszcze na Północ, albo i wrócił do Polski.

Dwie są tutejsze - to piachołaki, narodzone z wichru, piasku pustyni i oparów magicznych. Bóg raczy wiedzieć, jak z takiej mieszanki mogła powstać inteligencja i organizm, który na dodatek przybrał kształt zwykłej, całkiem ładnej kobiety. Przypuszczam, że

bezkształtna chmura po prostu obrała pierwszy napotkany wzorzec - trzecią mieszkankę plebanii. Polkę.

Jej historia mogłaby posłużyć za temat do osobnej książki, książki, której nigdy nie napiszę. Najpierw utalentowana siatkarka - lecz kontuzja bezwzględnie łamie jej karierę. Potem luksusowa prostytutka w Warszawie, przez wiele lat dorabiająca się opinii jednej z najlepszych na rynku - bywali u niej biznesmeni z pierwszych stron gazet, aktorzy i piosenkarze pojawiający się dwa razy dziennie w plotkarskich serwisach internetowych, sportowcy, posłowie i wysocy rangą funkcjonariusze tajnych służb. Komu naraziła się piękna „Lena” (taki przybrała sobie pseudonim)? Nie wiedziała, dość że nagle grunt zaczął się jej palić pod nogami. (Najpierw dosłownie - mieszkanie się spaliło, potem koleżanka miała ciężki wypadek samochodowy, ktoś podłożył kłatwę w salonie kosmetycznym, z którego usług korzystała, i choć skończyło się tylko na skamieniałym przedramieniu właścicielki salonu (chwyciła nierozważnie kopertę z kłatwą), a samo przedramię dość szybko udało się przywrócić do zdrowia, Lena zrozumiała, że Warszawa, i generalnie Ziemia, staje się coraz mniej przyjaznym miejscem. W ciągu kilku dni zlikwidowała swoje oszczędności (miała ich sporo), wsiadła w jeden z pociągów z kolonistami - ten wyruszający do najmniej dostępnej z Legend, do Trzeciego Świata - i postanowiła zostać obszarnikiem. Pieniądze, jakie zarobiła, starczyły na ponadtyśhektarową posesję. Przez pierwsze lata powodziło jej się świetnie, eksport na Ziemię szedł pełną parą, folwark (tak nazwała swoją posiadłość) rozrósł się i potężniał, a Lena pozwoliła sobie nawet na luksus myślenia, że szczęście się do niej uśmiechnęło, i znalazła wreszcie własne miejsce. Może nie na Ziemi, ale i tak nieźle. Traf chciał, że farma położona była daleko na południe, raptem sto pięćdziesiąt kilometrów od Mostu, gdzie niebawem zaczęły docierać ze wzmożoną siłą promienie Panny Rozpustnej, która nie oszczędziła swej, bądź co bądź, uczennicy.

Kolejna utrata wszystkiego oznaczała następną zmianę w życiu dziewczyny. Pełna goryczy stanęła na czele takich jak ona, formując oddział bezwzględnych mścicieli, dziesiątkujących Południowców skuteczniej niż wojska Białej Wieży. Znow - tak jak w poprzednich rolach - zdobyła sławę, znow początkowo wszystko jej się udawało, niemniej w ostatecznym rozrachunku sukcesy niewiele pomogły. Po roku działalności pełnej krwawych ekscesów oddziałek został okrążony przez orki i wybity prawie do cna. Sama Lena wprawdzie uciekła, lecz uciekła bezbronna, pokiereszowana, bezsilna, a na dodatek zbłądziła na przygranicznych pustkowiach. Umierającą z pragnienia znalazł Jan Karol Saw, chwytający się wszelkich możliwości, aby nieść dobrą nowinę światu, który tej nowiny nie chciał słuchać, nie potrzebował, miał bowiem swoją - choć znacznie gorszą. W wypadku Leny - co należało do

zaskakujących wyjątków - wysiłki księdza zostały nagrodzone, podobnie jak w wypadku dwóch jej wiernych kopii z piachu i pyłu pustyni.

Tutaj ewangelizacja idzie ciężko, gorzej niż w Zachodniej Europie, wyjaśnia proboszcz. Raz, że system moralny proponowany przez Pismo jest w tych prymitywnych społecznościach trudno przekładalny. Nadstaw drugi policzek? Nie walcz o swoje? Nie zabijaj? - głosząc takie hasła, człowiek naraża się na śmieszność. Najgorzej zaś wytłumaczyć to, że powinniśmy kochać nieprzyjaciół swoich. Bo jak ich tutaj kochać? Jesteś spod Matki - nie zrozumiesz tych z Południa. Przychodzisz z Południa - nienawidzisz tych służących Matce. Jak jedni drugim mają wybaczyć? Czasami sam mam z tym problemy - ksiądz wzdycha ciężko, pokazuje mi przez okno kilkaset zwęglonych kikutów, niedawno jeszcze rósł tam sad, mógł wyżywić sporo istot. ale ktoś go podpalił, nie wiadomo kto, zapewne jakiś Południowiec. Albo okna kościoła - wie pan, jak długo pracowano nad witrażami? A teraz, proszę, wybite.

Tutaj nawet nie można prosić Pana o cud, który pomógłby przekonać niedowiarków. Bo jaki cud można zrobić w tym świecie? Przecież tutaj co druga osoba posługuje się magią, a wskrzeszenia, krzaki gorejące to żaden rarytas!

No właśnie, jaki cud można by tu zrobić?

Wybudować kościół?

Coraz trudniej mi bezkrytycznie spoglądać na to, co robią w tej Legendzie moi rodacy, ale do tego człowieka czuję sympatię i choć podpisywałem rozmaite kwity, mówiące o tym, że wszystko, co wiem, muszę zachować dla siebie, łamię te obietnice i przekonuję, proszę, żądam - by wyjechał. Ale Jan Karol Saw patrzy tylko na mnie swymi dobrotliwymi oczyma, niezepsutymi w żaden sposób przez wiatr z Południa, kładzie dłoń na mojej dłoni i zerkając na Lenę, stojącą w cieniu kościoła, mówi:

- Uważaj na siebie, tam, dalej. W Trzecim Świecie można duszę zyskać, ale można ją i stracić.

FOTOGRAFIA 10 - SKALNIKI

Spoglądając na to zdjęcie z oddali, zobaczymy nakładające się na siebie plamy kolorów, przywodzące na myśl dzieło jakiegoś mistrza impresjonizmu. Mistrz jednak musiał najwidoczniej być w ponurym nastroju: najwięcej jest bowiem czarnego, kolor ten zdecydowanie dominuje na fotografii, w nim też kryje się odpowiedź, klucz do rozszyfrowania

historii, której swoistym epilogiem jest zrobione przeze mnie zdjęcie.

Kiedy przyjrzeć mu się bliżej, oko zaczyna wychwytywać drobne, acz istotne szczegóły, czarne kształty coraz więcej nam mówią, przekształcają się w obrazy, jakie zdarzało nam się widywać już wcześniej. Aż wreszcie dochodzimy do wniosku, że te ciemne kształty to budynki. Budynki dziwne, przypominające nieco termitiery lub puebla obrastające zbocza urwistych skał. Skojarzenie będzie zresztą słuszne, w ten sposób budują skalniki - kolejna rasa zamieszkująca ten świat. Biologicznie, jak przypuszczam, są one w jakiś sposób spokrewnione właśnie z termitami czy raczej stanowią kolejny etap ewolucji, którego na Ziemi owady nigdy nie osiągnęły: tu stały się istotami inteligentnymi, stworzyły cywilizację. Trzymają się na uboczu, mówi Trzynasty z Miotu, otrząsając się przy tym z wyraźnym obrzydzeniem, gadają niezrozumiale (porozumiewanie się polega na jednoczesnym wydawaniu dźwięków i wydzielaniu gazów).

Służą Dziwce, mówi jeszcze i to przesądza sprawę, stygmatyzuje skalniki w sposób wykluczający jakiegokolwiek dla nich współczucie z powodu tego, co ich spotkało, tragedii, jaka im się przydarzyła, a którą zaczynamy odkrywać, przypatrując się fotografii.

Substancja, jakiej używają do spajania swoich budowli (produkowana przez nie same) jest łatwopalna - stąd, gdy zbliżaliśmy się do zniszczonego osiedla, podejrzewaliśmy, że to być może nagle, przypadkowe zaproszenie ognia stało się przyczyną nieszczęścia, jakie się tu wydarzyło.

Dziwne głowy, napotkane przy budowlach, na wpół owadzie, pokryte chitynową naroślą, wyprowadzają nas z błędu. Obiektyw ich nie wychwytał, zdjęcie zrobiłem z dużej odległości, lecz głów tych było bardzo wiele; zresztą nie tylko głów: korpusy, chwytne odnóża, odwłoki - wszystkie te szczątki zdążył już pokryć płowy kurz przyniesiony z suchego płaskowyżu.

A jednak, jak stwierdził mój przewodnik, masakra wydarzyła się stosunkowo niedawno.

Gdy przymknę oczy, nadal mam tę scenę w pamięci: elf, zawsze nieufny, przez dłuższy czas spaceruje dookoła spalonych budynków, rozsypuje swój magiczny piach, odczytuje ślady, znów rozsypuje piach, kolejne ślady odsłaniają się przed jego wzrokiem - i tak prawie pół godziny. Wreszcie mówi: „Jeden człowiek”.

Wojownik.

Spoglądam na strzeliste, sięgające dwustu metrów w górę budowle, na tysiące leżących przede mną głów i początkowo sądzę, że Elah się pomylił, przejęzyczył. Proszę, by powtórzył. I jeszcze raz.

Elf uparcie twierdzi, że sprawcą masakry była jedna osoba. Na dowód prowadzi mnie pomiędzy osmalone ściany i pokazuje wyryty żelazem w murze znak. Identyczny z tym, jaki

widziałem na napierśnikach zamkniętego w klatce bohatera.

Nie trzeba zbyt dużej wyobraźni, by odtworzyć bieg wypadków; potoczyły się one mniej więcej w sposób następujący.

Najpierw na horyzoncie pojawia się czarna kropka, mały ruchomy punkt. Mimo to skalniki zachowują spokój, osiedle jest duże, jakieś kilkanaście tysięcy istnień, cóż może znaczyć punkt na horyzoncie? Zaledwie jedna osoba?

Prawda, czas jest niespokojny, nieprzyjazny, lecz tutaj, na Pograniczu, do strachu przywykli raczej ci, co noszą na piersi godło Białej Wieży; ludy składające ofiary Dziwce kwitną, rozrastają się, dominują. Straże więc nie wszczynają alarmu, owszem, od czasu do czasu zerkają na drogę, spoglądają w lunety, próbują ustalić, kto się zbliża, lecz wykonują wiele innych czynności. Nie czuć strachu.

W pewnej chwili obserwator musi dojść do wniosku, że czarna kropka zbliża się wyjątkowo szybko, że to nie może być zwykły piechur. Luneta zaś pozwala stwierdzić, że przybysz jest wyjątkowo muskularny i uzbrojony. To jest moment, w którym zostają wydane rozkazy, aby przybyszowi naprzeciw wyruszyła jednostka złożona z kilkunastu dobrze wyposażonych skalników; taka liczba, przypuszczają, powinna przecież wystarczyć. Mija kolejna godzina, a nic szczególnego się nie wydarza. Patrol oczekuje przybysza dobry kilometr od osiedla, aż wreszcie dochodzi do spotkania.

Spotkanie to trwa krótko, ledwie chwilę, podczas której giną wszyscy członkowie patrolu, a dowódca straży, po tym jak obejrzał pokaz możliwości przybysza, wpada w panikę i dmie na alarm.

Wojownik jest szybki, niewiarygodnie silny i sprawny. Z jego dłoni co jakiś czas strzelają płomienie, ogarniające kolejne budynki. Wybucho pożar, wybucho panika, skalniki tratują się nawzajem, próbują uciekać, lecz tam czeka na nich zbawca Północy.

Bohater.

Po skończonej robocie pozostaje tylko skreślić na murze znak. Niech inni wiedzą.

Niech się boją.

Dostałem więc dowód, że opowieści o nadludzkich możliwościach bohaterów są prawdziwe - trzeba być nie byle jakim mocarzem, by w pojedynkę zamordować tyle istot. Oczywiście, jeśli chodzi o liczby bezwzględne, nasz wybraniec nie może stawać w szranki z fabrykantami śmierci w rodzaju rosyjskich komunistów czy hitlerowcami, ale i Hitler, i Stalin mieli do dyspozycji cały aparat władzy, całe państwo, on zaś - jedynie potężne ramiona i miecz.

Zapytałem Elaha, jak to możliwe. Jasne, rozumiem, stronnicy Dziwki. Ale tu była cała społeczność; jak ktoś, kto jest powołany do czynienia dobra (a to jest przecież istotą tutejszego bohaterstwa!), może wymordować całe miasto. Elf odparł (co, nawiasem mówiąc, nie zaskoczyło mnie szczególnie), że to przez Dziwkę. Że bohaterowie przez dłuższy czas pozostający na Pograniczu przesiąkają czerwonym światłem, następuje pewna deformacja, wynaturzenie i przerysowanie tych cech, które (pierwotnie) miały być pozytywne. Nawet zaklęcia, wyryte na klindze się zmieniają.

Cóż, możliwe.

Ale w głowie kołacze mi się cały czas pytanie: a co, jeśli to nie jest żadna anomalia?

Jeśli tak właśnie wygląda prawdziwa natura tutejszych bohaterów?

Jeśli tak wygląda tutejsze dobro?

Z NOTATEK (10) - ARCHITEKTURA ZBRODNI

Stoimy.

Już trzecią godzinę czasu miejscowego. Pot leje się ze mnie strumieniami (jest przeraźliwie gorąco), jeszcze trochę, a na niebie pojawi się Dziwka, co znaczy, że powinniśmy bezwzględnie znaleźć cień, przeczekać, ukryć się. Mimo to stoimy, prawie że bez ruchu (elf zakreślił koło o średnicy dwóch kroków - możemy się poruszać jedynie w tej przestrzeni).

Kolejna pułapka.

Ja jej oczywiście nie widzę - dostrzegam tylko suche pustkowie, tu krzak, tam kamień, gdzieś w tle stary domek z zawalonym dachem, wszystko to przecięte szarą wstęgą drogi. Lecz bystre oczy Elaha widzą znacznie więcej: z gałązek, z kresek na piachu, z rosnącego przy poboczu kaktusa, ze skrzyżowanych kości jakiegoś zwierzęcia, które padło najpewniej z pragnienia, rekonstruuje elf skomplikowaną architekturę zbrodni.

- I tak zbyt późno - powiedział, kiedy wyraziłem uznanie dla jego spostrzegawczości. Otóż okazuje się, że stosunkowo łatwo mogliśmy pułapkę ominąć - lecz jechaliśmy zbyt szybko, zmysły, rozregulowane przez kawowy nałóg (przybierający na sile, im bardziej zapuszczaliśmy się na południe) nie działały już tak sprawnie, dlatego wpakowaliśmy się w sam środek zasadzki.

Zapytałem, czy nie prościej by było, gdyby nas zaatakowali, zabili i obrabowali - jest nas

trójka, watahy zbójców liczą po kilkudziesięciu członków. Odpowiedział Trzynasty z Miotu:

- Zaatakować w otwartej walce elfa? Musielibyśmy pojechać o wiele dalej na południe, tutaj się nie odważą.

Nie mogłem tego zrozumieć - dlaczego nie? Wygląd Elaha nie budził specjalnego respektu - szczupły, trochę dziewczęcy, choć relatywnie wysoki. Rzeczywiście, zaprawiony w trudach, mięśnie miał stalowe, lecz brakowało mu muskulatury trolli czy wilkołaków (w wypadku tych ostatnich przemiana z człowieka powoduje gwałtowny rozrost masy mięśniowej). Owszem, byliśmy lepiej wyposażeni, mieliśmy broń, każdy by odgadł, że wyekwipowała nas Królikarnia, ale można to przecież zrównoważyć przewagą liczebną - wszystkich napastników, o ile stanęłoby ich, powiedzmy, kilkudziesięciu, nie sposób zastrzelić. Trzynasty z Miotu był jednak najwyraźniej obyty z takimi wątpliwościami (miał wiele kontaktów z przybyszami z Ziemi), bo poklepał mnie poufale i powiedział:

- Bo ty nie widzisz jego poświaty. Gdybyś tylko mógł...

Brak wrażliwości na „poświatę” czy też „aure” (jak określali to badacze piszący o Trzecim Świecie) miałem za ułomność, którą obwiniałem o to, że nie w pełni mogłem zrozumieć tę Legendę, jej logikę, jej wewnętrzne prawa. Traktowałem to jako swego rodzaju ślepotę (Trzynasty z Miotu po prostu wie, że Elah to elf, bo widzi jego aure, widzą ją również sługi zła, razi ich oczy jak silna latarnia, nie mogą stanąć z nim twarzą w twarz).

Dlatego właśnie zakłęcia-pułapki w praktyce okazywały się znacznie wygodniejsze; zastawiający je nie narażał się na osobistą konfrontację z elfem, czekał zapewne kilka kilometrów dalej (przy jakimś przyjaznym, chłodnym źródleku) i co pewien czas sprawdzał, kogo upolował (zakłęcie działa z pewnym opóźnieniem, ofiary nie giną natychmiast - wyjaśnił Elah, spokojnie rozgryzając ziarnko kawy).

Więc - co zrobić?

Czekać.

Dobrze, ale na co?

- Za kilka godzin przyjdzie wichura - powiedział przewodnik z taką pewnością, że zaufałem mu od razu, jak gdyby był co najmniej jakimś instytutem meteorologicznym. - Zniszczy pułapkę.

Pod koniec drugiej godziny, kiedy plecy miałem już całkiem mokre od potu, zacząłem wątpić w meteorologiczne kwalifikacje elfa. On sam stał niewzruszony, gryzł ziarenka kawy, pluł resztkami, brał kolejne - i tak bez końca.

Przypominam sobie to wszystko, kiedy spoglądam na mały kamyk (bawiłem się nim na tamtym postoju, a potem wsadziłem do kieszeni na pamiątkę).

Bo i kamienie mają w Trzecim Świecie wielką doniosłość.

ZE ZBIORÓW (4) - KAMYK

- Jesteś pewny, że nie bawisz się czymś życiem?

Po raz kolejny spoglądam na elfa z zaskoczeniem.

Co spowodowało, że otrząsnął się z letargu, na chwilę przestał nawet żuć kawę i spogląda na mnie z wyrzutem? Przecież podrzucam kamyk, pierwszy z brzegu, mały, płowy, bez jakichkolwiek cech szczególnych. Podaję mu kawałek skały, on przez chwilę przygląda się okazowi, mruczy pod nosem jakieś zaklęcia, wreszcie oddaje mi go i mówi:

- Nie, jednak nie, chociaż zawsze zostaje jakiś cień wątpliwości.

Po tej wypowiedzi przez chwilę milczy, po czym zaczyna opowiadać. O kamieniach.

Z NAGRAŃ (2) - O SZTUCE PRZECZEKANIA BURZY

Zmianę widać na każdym kroku - Biała Wieża tym razem przegra (to już przesądzone, co do tego nie ma kwestii). To czuć w powietrzu, śpiewa o tym woda, mówi tak niebo. Biała Wieża przegra - ale jeśli nam się poszczęści, będzie tak, jak kiedyś.

Odrodzi się na nowo.

Część sług Matki - jak ja - przyjmuje tę prawdę ze spokojem, robimy swoje, nieważne, gdzie spotka nas zło - umrzemy godnie. Inni (jak ten nieszczęśnik, widziany przez nas na rozstajach) chwytają za broń, ruszają do samotnej, beznadziejnej walki, mimo że sprawa jest przegrana. Ale są też tacy, którzy chcą przeczekać, przetrwać czas, kiedy na całym globie rozpanoszy się zło, dotrwać chwili, gdy Biała Wieża powróci. Mieszkańcy naszego świata mają nieograniczoną zdolność czekania.

Kiedy przychodzi im czekać, zmieniają się w kamienie.

Jest taki czar, powszechnie znany i nietrudny, potrafi go wykonać byle wioskowy magik - transformujesz się w kawałek skały. I czekasz. Czekasz na to, że cię ktoś odczaruje, choć bywa, że zaklęcie ustawia się od razu na określony czas (jest to jednak ryzykowne, bo co się stanie, jeśli przemiana nastąpi, gdy ktoś wrzuci kamień - ciebie - do wody albo gdy wmuruje cię w zamkową basztę)? Ale jeśli będziesz czekał na odczarowanie - to również niebezpieczne, skąd

bowiem ktoś ma wiedzieć, czy trzyma w ręku zwykły kamień, czy właśnie położył dłoń na czyimś życiu? Można to rozpoznać, prawda, ale trzeba mieć po temu pewne kwalifikacje, pewne moce - czy ktoś ponadprzeciętnie utalentowany poświęci życie, by brać w dłoń każdy napotkany okruch skały, badać go wnikliwie, długo, z pietyzmem, odczarowywać lub odkładać na miejsce? To naiwna wiara. Mimo to wielu decyduje się na takie rozwiązanie.

To przez to nieznośne poczucie zagrożenia, przez strach. Wtedy tracisz głowę, tracisz zimną krew, przestajesz trzeźwo myśleć o świecie.

Przez strach tracisz siebie.

ZE SKÓRY - BLIZNA

Pozostała mi również po tym, kiedy czekaliśmy, aż wiatr zniszczy pułapkę. Niezbyt długa, lecz uciążliwa, co jakiś czas jeszcze piecze - ilekroć na nią spoglądam, staje mi przed oczyma wielki, purpurowy owad i przechodzą mnie dreszcze.

Nadlatuje cicho, nie zauważamy go w pierwszej chwili - Elah pochłonięty jest rozgryzaniem kawy, na jego twarzy znów ten nieobecny, nieprzytomny wyraz niemal narkotycznej ekstazy. Zastanawiam się, czy ten nałóg w jakiś sposób nie wpływa na elfią aurę - czy ona aby nie słabnie, nie blednie, przestaje odstraszać sługi zła tak, jakby należało.

Trzynasty z Miotu wlaźł gdzieś do samochodu pod plandekę, słyszę, że śpi. Do burzy pozostała jeszcze ponad godzina, a wtedy owad siada mi na dłoni.

Nie krzyczę.

Stworzenie wygląda nieprzyjemnie, krwistoczerwony odwłok i głowa, i jeszcze szczypce czy też szczęki - na ziemi taki okaz można by porównać z wielkością małego ptaka. Spogląda na mnie, a ja zaczynam się zastanawiać, czy za tymi oczyma (wieloma - czułem się, jakbym się nagle znalazł przed sporym audytorium) drzemie inteligencja. Czuję, że jego ostrze (żądło) wbija się w dłoń, tnie głęboko, widzę krew, boli jak diabli...

Wtedy dociera do mnie, że nie mogę krzyczeć, nie mogę się poruszyć - trwam tylko, sparaliżowany. Żądło tymczasem idzie dalej, głębiej, rani bardziej dotkliwie. Obok Elah z przymkniętymi oczyma, pogrążony w letargu, goblin w samochodzie, - a ja nie mogę ich wezwać na pomoc, kiedy stwór w barwach tak czerwonych, że nie powstydziałaby się ich sama

Dziwka, żeruje na mojej dłoni.

Naraz czuję przypływ wściekłości - czysta emocjonalna reakcja uwalnia mnie od nagłego bezwładu, strącam szybkim ruchem dłoni owada (który się chyba tego nie spodziewał), a następnie powoli, metodycznie rozdeptuję go, walę kamieniem, miażdżę pancerz (twardszy od pancerzy ziemskich insektów). Przed oczyma mam czerwoną mgłę, złość na chwilę wyłącza myślenie - już jestem bezpieczny, dziwny przeciwnik został pokonany, ale ja dalej uderzam kamieniem, dalej niszczę szczątki: metodycznie, skrupulatnie, zawzięcie, jak gdybym rozdrabniał pieprz w mózdzierzu, spoglądam z przyjemnością, jak owad obraca się w pył. Głowa, tak, została jeszcze część głowy, trzeba ją zmiażdżyć, anihilować. Skrzydło - rozerwijmy więc skrzydło, zburzmy jego strukturę, wyrwijmy. Żądło - o, żądło, ten instrument śmierci musi zostać złamany.

Czuję na ramieniu chłodną dłoń Elaha, słyszę, że mówi coś do Trzynastego z Miotu, nie wiem dokładnie co, chyba brzmi to jak: „czerwona zaraza”, ale może tylko mi się tak wydaje. Spostrzegam, że trzęsą mi się ręce, a dłonie mam całe zakrwawione. Elah powoli, spokojnie ociera łzy kapiące mi z oczu na piach.

Tracę przytomność.

Budzę się, leżąc w samochodzie. Samochód podskakuje na wybojach, silnik ryczy, a w plandekę biją podmuchy wiatru zmieszanego z deszczem. To ta burza Elaha.

W końcu przyszła.

SZKIC NR 3 - KOLUMNY

Kolejna kartka pokryta jest podłużnymi figurami geometrycznymi; gdyby moja dłoń w trakcie rysowania była pewniejsza, można by nazwać je długimi prostokątami, taki właśnie miałem zamiar, trzymajmy się więc tej terminologii. Prostokąty (na szkicu trochę mimo wszystko pokraczne) pokryte są licznymi symbolami przedstawiającymi zwierzęta (sowa, wilk, wąż w rozmaitych konfiguracjach), połączonymi siecią skomplikowanych figur geometrycznych, o trudno odczytywalnym znaczeniu - wiem tyle, że to skomplikowane formuły magiczne, neutralizujące wszelki wpływ zewnętrzny, odpychający inną magię, tę sączącą się z nieba. Tak, na tej kartce podjąłem próbę uwiecznienia Kolumn Magów.

Co przypomina mi o wąwozach.

Droga na Most wiedzie przez wąwozy wiecznie pogrążone w cieniu; sprawiają one wrażenie wyrzeźbionych celowo, lecz trudno powiedzieć, kto mógłby wykonać tak tytaniczną pracę. Musiałby to być jakiś gigant, jakiś mocarz - kaniony (jest ich kilka, wszystkie spotykają się przy Moście) sięgają kilkaset metrów w głąb skały, wiją się, przyprawiając o zawroty głowy. Potężne masy kamienia chronią przejeżdżających zarówno przed światłem Matki, jak i Dziwki, odcinając znajdujących się w cieniu od zgubnego wpływu obu gwiazd. W tych stronach krąży nawet takie powiedzenie: „Tylko w kanionach jesteś sobą”.

Coś w tym jest, faktycznie, człowiek czuje się inaczej, gdy tylko znajdzie się w cieniu skalnych urwisk, kiedy tylko przejdzie się obok pokrytych magicznymi symbolami kolumn; nie potrafię tego uczucia nazwać czy opisać, lecz wiem, że to nie złudzenie. Zmiany dostrzegam też w zachowaniu moich towarzyszy.

Elah, odkąd tylko znaleźliśmy się w cieniu, drastycznie zmniejszył spożycie kawy!

Jechać tamtędy należy bardzo wolno; podróżuje się bowiem w półmroku, co jakiś czas rozświetlanym przez łuczywa płonące dziwnym, zielonkawym płomieniem. Nigdy nie dowiedziałem się, kto o nie dba, kto utrzymuje całą trasę, nigdy nie spotkałem kogoś, kto wymieniałby spalone pochodnie na nowe, nie dostrzegłem nikogo, kto by zapalał pochodnie zapasowe - może nikogo takiego nie było? A mimo to - pochodnie wciąż płoną, a oświetlaną przez nie drogą wciąż ktoś zmierza, to w jedną, to w drugą stronę.

Za którymś zakrętem, gdy góry na moment nieco się rozchylają, widzę przyczepiony do skalnej półki budynek - przypomina hubę, pasożytniczą narośl na zdrowej tkance. Idę o zakład, że trzyma się tylko dzięki zaklęciom, lecz nie jest to ani moc Dziwki, ani Matki.

Elah zagaduje jednego z podróżnych, co to takiego, tamten zadziera głowę, patrzy, zastanawia się, nie może dojrzeć.

Erem Prawdziwy, mówi wreszcie.

Erem Prawdziwy! A więc tak wygląda! Miejsce odosobnione, schronienie tych, co nie chcą uczestniczyć w odwiecznym konflikcie pomiędzy Południem a Północą, „wolni” - jak sami siebie nazywają (rzekomo dlatego, że są wolni od konieczności targających duszą przeciętnego mieszkańca Trzeciego Świata, a chroni ich skała, chroni ich wieczny cień, głębokość kanionu).

Chronią ich kolumny.

Rzeźbione w skale, strzeliste, z wyrytymi na nich zaklęciami, znaczą szlak, jedna za drugą, co sto pięćdziesiąt kroków. Towarzyszą nam w podróży, są z nami już od wielu kilometrów, odkąd droga wbiła się w łańcuch górski, umykając do zbawczego cienia. Elah nie

potrafi wyjaśnić, skąd się kolumny wzięły - nawet on! (choć przecież jego rasa jest bardzo stara, u elfów pamięć o przeszłości trwa dłużej, jest lepiej pielęgnowana niż w wypadku ludów żyjących krótko, takich jak ludzie czy gobliny). Wie tylko, że kolumny są elementem zabezpieczającym drogę przed wpływem gwiazd, zaklęcia z dalekiej przeszłości (potrafi odszyfrować jedynie ich fragmenty) znoszą resztki wpływu i Dziwki, i Matki, tworząc bodaj jedyną w tym świecie strefę neutralności, wytlumiając agresję i modyfikując charakter tych, którzy znajdują się pod ich wpływem. Na tych kilkunastu kilometrach zamierają jakiekolwiek walki, spory, waśnie - synowie Północy mijają się z dziećmi Południa, czasami idą obok siebie, ramię w ramię, rozmawiają, ba, zdarza się nawet, że pomagają sobie nawzajem.

Raz czy dwa przebiegła mi przez głowę myśl - a może, wzorem tych w Eremie, tutaj zostać? Ta nagła jasność umysłu, spokój, a jednocześnie dystans do konfliktu, toczącego się poza wąwozem, były tak kuszące...

Zdaję sobie jednak sprawę, że jest to stan nienaturalny, że zawieszenie broni nie może trwać wszędzie i nie może trwać wiecznie, że natura Trzeciego Świata jest zupełnie inna, wpisany jest w nią konflikt, dobro i zło, biel i czerwień - zawsze będą dążyły do konfrontacji, póki jedna ze stron nie zwycięży.

Tak rozmyślając, docieram do miejsca, gdzie ściany wąwozu, u góry wciąż wąskie, u dołu rozjeżdżają się nagle na boki jak nogi kochanki, tworząc olbrzymią przestrzeń, rozświetloną setkami ogników. Z dala słychać szum rzeki, dzielącej łańcuch górski na pół, widać rzeźbione kunsztownie filary podtrzymujące olbrzymią powierzchnię Mostu i słychać odgłosy Targu.

Oto mam przed sobą kolejny cud tej Legendy: Targ na Moście.

Z NOTATEK (11) - TARG NA MOŚCIE

1. Łuska czerwonego węża (powiadają, że ukąsił Dziwkę, co spowodowało ów tragiczny dla Trzeciego Świata podział) - 4 złote denary.
2. Butelka eliksiru o niewiadomym przeznaczeniu - 2,5 złotego denara.
3. Medalion z podobizną czarownika - 7 złotych denarów (medalion ten mam zresztą cały czas przy sobie, powodowany dziwną zachcianką nabyłem go bez zastanowienia).
4. Pióro sępa niezawodne przy konstruowaniu czerwonych figurek (jest to tutejszy odpowiednik laleczek voodoo, robiony na bazie czerwonej gliny, wydobywanej - jak powiadają - w okolicy Antymiasta) - 9 złotych denarów.

5. Sproszkowany bluszcz więzienny (podejrzewam, że właśnie tego użyto, by złapać bohatera, spotkanego przez nas jakiś czas wcześniej) - 3 złote denary.
6. Mapa przedstawiająca okolicę wraz z aktualną sytuacją pogodową - 4 złote denary...

Przełądam właśnie zapiski z Mostu. Most to miejsce szczególne, położone w głębokim kanionie, gdzie bezpośrednio nie dociera ani światło Matki, ani czerwień Dziwki. Kanion jest szeroki, tnie łańcuch górski praktycznie na pół, i stanowi naturalną granicę pomiędzy Pograniczem a Południem. Za nim jest domena Dziwki, imperium zła.

Nie ma zbyt wielu dróg łączących obie półkule - Most jest najłatwiejszą. A dzięki temu, że panuje tutaj owa słynna na cały Trzeci Świat strefa i bez Dziwki, i bez Matki, trwa tu nieustanny handel, obie półkule wymieniają, co mają najlepszego, dyskutują, targują się, zasiadają przy wspólnych stołach.

Na przykład, żeby zagrać w Maga.

Z KART - W MAGA!

W trakcie wędrówki zgromadziłem pokaźny zestaw przedmiotów - pamiątek, przedmiotów-skojarzeń, każda rzecz przywołuje na myśl konkretną sytuację, każda jest kluczem do konkretnego wspomnienia. Ostatnio coraz częściej sięgam do małego, skórzanego pudełka nabytego na Moście. Rozkładałem jego zawartość, spoglądałem na kolorowe rysunki. Choć zabrudzone, poznaczone przez czas, a niektóre wyraźnie zblakłe, wciąż są dla mnie tajemnicą. Palcem wodzę po plastikowych powierzchniach i myślę, że Trzeci Świat pod pewnymi względami przypomina Indie lub dziewiętnastowieczne Stany Zjednoczone - podziały społeczne są sztywne i trwałe, interakcje między poszczególnymi grupami często wykluczone, nie ma mowy o spoufalaniu się ze sobą, bo to oznacza skazę jednej lub drugiej strony (zupełnie jak dotknięcie pariasa), elf z goblinem nie siądą do jednego stołu (Elał i ze mną jadał niechętnie, a że w ogóle jadał - to najpewniej dlatego, że miałem zapas kawy, której mu nie żałowałem). A przecież zdarzają się sytuacje powodujące, że o podziałach się zapomina. Jedną z nich jest gra w Maga.

Karcianka.

Jest to odprysk wczesnej kolonizacji, z czasów, gdy Trzeci Świat postrzegano jako rynek

zbytu dla ziemskich firm. Wprawdzie szybko zrozumiano, że to nie ten przypadek, inne Legendy okazały się o wiele bardziej dochodowe, a tutaj, z niską populacją i kiepską siłą nabywczą społeczeństwa żaden ziemski producent nie robi kokosów, kilku jednak, nim rozpowszechniła się ta oczywista z perspektywy wędrowni przez wyludnione Pogranicze prawda, próbowało. Trzecioświatowcom została po nich gra w Maga.

Pomysł był prosty - korzystając z wolnych mocy fabryk zlokalizowanych w tej Legendzie, ktoś postanowił wyprodukować specjalną, lokalizowaną pod Trzeci Świat serię kart, ktoś inny obmyślił reguły gry, inny jeszcze stworzył - opierając się na lokalnych podaniach, opowieściach, zasłyszanych informacjach - projekty poszczególnych kart, a na końcu tej maszyny znajdowała się jeszcze Bardzo Ważna Osoba, Zatwierdzająca Budżet i Składająca Podpis Pod Zleceniem.

I poszło. Wyprodukowano kilkadziesiąt tysięcy talii i początkowo wyglądało to na najbardziej spektakularną klępkę handlową i cywilizacyjną kolonizacji Trzeciego Świata. Towar szedł opornie, „konsumenci” (to pojęcie kiepsko się sprawdza w wypadku społeczeństwa, w którym dziewięćdziesiąt procent populacji ma problemy z tym, żeby wyżywić rodzinę i ogrzać dom) nie wykazali większego zainteresowania, plastikowe karty poszły więc za bezcen, a linie produkcyjne pospiesznie wygaszono. Czytałem nawet, przygotowując się do podróży, że jeden z pomysłodawców, product menedżer, wolał już na stałe osiedlić się w Trzecim Świecie, niż stanąć oko w oko z rozjuszonymi akcjonariuszami.

Niemniej karty udało się sprzedać. Znalazły się we wtórnym obrocie, przechodziły z rąk do rąk, w coraz większej liczbie karczem, na targach, rynkach, na rozstajach, pod świętymi dębami, podczas turniejów rycerskich, słowem - wszędzie tam, gdzie spotykali się mieszkańcy tej Legendy, zaczęły pojawiać się plastikowe podobizny czarodziejów - zadziwiająco trwałe i mało podatne na uszkodzenia. Gra (a w zasadzie gry - bo reguły mutowały w zależności od regionu, od grających oraz od liczby kart) zyskała niewiarygodną popularność, tak wielką, że potrafiła przełamywać międzyrasowe i międzyklasowe animozje, i to do tego stopnia, że elfy nie wahały się zaprosić do gry zwierzołaka, jeśli tylko brakowało im trzeciego do partii. A rzekomo w Maga grywano nawet z Południowcami!

Gdy trafiłem do Trzeciego Świata, kilkadziesiąt tutejszych lat po product menedżerze, copywriterze, designerze i Bardzo Ważnej Osobie, Która Złożyła Podpis Pod Zleceniem, pozycja gry była już dobrze ugruntowana, wgryzła się ona w świadomość tutejszych, w ich kulturę i sposób życia. Dlatego też - od samego przyjazdu - polowałem na talię kart (stała się ona rarytasem, nowych przecież nie produkowano). Czułem po prostu, że muszę ją mieć.

Spełnienie tej zachcianki nie należało do zadań prostych. Owszem, zdarzały się talie na

targu w Białej Wieży, ale ceny - nawet dla mnie - były nazbyt wygórowane. Częściej trafiały się pojedyncze karty lub zestawy po cztery, sześć kart (tutejsi potrafili grać, nawet mając tylko kilka kartoników!), rzadko kto mógł pochwalić się pełnym zestawem (talia w oryginale liczyła siedemdziesiąt siedem kart), ale nawet te niewielkie pliki kosztowały dużo, a przede wszystkim prawie nikt nie chciał się ich pozbywać. Bo co robić w Trzecim Świecie? Życie toczy się w innym tempie, w innym rytmie, tubylcy nie są wystawieni na kakofonię bodźców, dla nich przyjazd kogoś do ich miejscowości raz na tydzień może urosnąć do rangi wydarzenia - w takich warunkach gra w Maga jest nieoceniona. Oto, co Ziemia ma do zaoferowania legendom: rozrywkę, sposób na zabijanie czasu.

Tak, w tym naprawdę jesteśmy nieźli.

Swoją talię znalazłem dopiero na Moście. Oryginalne pudełko musiało się zniszczyć, dlatego karty upchnięto w zgrabną kieszonkę zrobioną z opalizującej skóry dziwkozwierza. Zapłaciłem dużo - kilkanaście litrów benzyny (dwa baniaki), woreczek soli, woreczek kawy (na ten widok Elah wyraźnie pobladł), latarkę, sto tutejszych denarów i jeszcze koszulę bawełnianą (w Trzecim Świecie nie znają bawełny, każdy jej skrawek importowany z Ziemi uchodzi za rarytas). Handlarz (Południowiec, poznałem po karnacji i drapieżnych rysach twarzy) przybił transakcję - i od tamtej chwili karty należały do mnie. Pamiętam, jak na postoju tego samego dnia zasiadłem do mojej zdobyczy, pamiętam, jak przeliczyłem plastikowe kartoniki - siedemdziesiąt osiem.

Siedemdziesiąt osiem? Zaraz, przecież talia jest o sztukę mniej liczna...

Zacząłem sprawdzać jeszcze raz, rozkładając karty, jedną po drugiej, na stole. Ich stan był różny, wiele z nich upstrzonych czerwonymi i żółtymi plamami, na kilku widniały brązowe zacieki, kilka innych było trochę osmalonych. Ze wszystkich spoglądały na mnie płaskie twarze trzecioświatowych magów i czarodziejek. Siedemdziesiąta szósta. Siedemdziesiąta siódma.

Kart bez wątpienia było siedemdziesiąt osiem. Odwróciłem ostatnią. Różniła się od pozostałych - czarno-biała, z przewagą czerni zalewającą większość kartonika.

Jakaś rozszerzona, limitowana edycja? Joker? Czarny Piotruś? Żart designera?

Z siedemdziesiątej ósmej plastikowej karty patrzyła na mnie twarz Czarownika.

Z PAMIĘCI - SPOJRZENIA

Nie wszystko daje się utrwalić - już dawno temu doszedłem do tej smutnej dla reportera prawdy. I nie chodzi tu o powszechne w Legendach zjawiska magiczne, cuda, zapierające dech w piersiach fenomeny. Owszem, niektórych nie widać na zdjęciach, nie można ich nagrać na dyktafon, sfilmować kamerą, dłoń jest za mato sprawna, by wiarygodnie je naszkicować, język zaś - zbyt ubogi, by wiarygodnie owe fenomeny opisać.

Większość jednak, wbrew pozorom, można usidlić za pomocą tego, czym dysponujemy na Ziemi.

Nie sposób za to zanotować emocji, odczuć, wrażeń. Można oczywiście napisać „byłem zły” lub „byłem podekscytowany”, lecz wszystko to są jedynie przybliżenia, kalekie i niepełne. Bo co to znaczy: „byłem zły”? Jak bardzo zły? Jest tysiąc rodzajów złości i niezadowolenia, których nie sposób skwantyfikować, cóż dopiero - sfotografować czy nagrać. Natrafiam na podobne trudności co jakiś czas, zawsze mnie bardzo ta niemożność deprymuje. Zdarza się to zwykle w sytuacjach silnych napięć, pełnych nerwów, i gęstej, dusznej atmosfery zagrożenia.

Tak było na przykład w wypadku spojrzeń strażników strzegących południowego wejścia na Most.

Chcąc bowiem przedostać się na drugą stronę (obojętne, czy idziemy z Północy na Południe, czy z Południa na Północ), trzeba przejść skomplikowaną procedurę. Przede wszystkim - na Moście i w jego bezpośrednim sąsiedztwie obowiązuje święta zasada neutralności, musimy więc oddać całą broń i dużą część zaopatrzenia na przechowanie przewoźnikom (przybysze z Ziemi nazywają ich Charonami). Charonowie ładują to na wielkie wozy, później - na prom, który co chwila niknie w warczącej kipieli, podskakuje, wynurza się, znów znika - a po dotarciu na przeciwległy brzeg ładunek przekazywany jest czekającej tam ekipie ponownie na wóz, aż do ostatniej z komór celnych po drugiej stronie.

Ale to nie wszystko. Następnie czekają podróżnika spotkania ze strażnikami. Pierwsza linia to strażnicy kamienni, statuy poruszane siłą magii. Dalej już natrafiamy na żywych - ekipy są mieszane, składają się zawsze z przedstawicieli obu stron, i są trzy - na obu skrajach Mostu i pośrodku. W ostatnich latach do tych ekip dokooptowano po jednym przedstawicielu Królikarni. Członkowie tych drużyn nazywani są trollami - pobierają myto, cło i dokonują drobiazgowej kontroli, skrupulatnie sprawdzają wszelkie dokumenty, jeśli nie ma się żadnych - z jeszcze większą natarczywością domagają się dodatkowych opłat, już tylko dla nich, nie dla skarbu królewskiego i lokalnego władcy.

Jednak ekipy trolli to również nie koniec. Są jeszcze heroldowie - oczekują podróżnych

po przejściu każdej z trzech komór celnych. Ich obowiązkiem jest przypomnieć, co czeka po drugiej stronie, ostrzec przed niebezpieczeństwem, zaznaczyć, że jeśli idziesz tam, na drugi brzeg - czynisz to na własną odpowiedzialność. Rozmowy z heroldami mrożą krew w żyłach, ich monologi pełne są okropieństw i czarnych wizji.

Porzućcie wszelką nadzieję, ci, którzy tam wchodzą.

Ostatni zaś są strażnicy - obowiązuje zasada, że po północnej stronie straż składa się z Południowców, po południowej zaś - z mieszkańców królestw Północy i z Ziemian.

Ci właśnie strażnicy spoglądają na mnie dziwnie, kiedy rażno krocę przez Most. Celują we mnie lufami, mają ponure miny, powtarzają „zawróćcie” - zupełnie jak gdyby byli wartownikami, a za ich plecami rozciągało się piekło.

Piekło faktycznie widzę, przeszedłszy jeszcze kilka kroków.

Z NAGRAŃ (3) - TRZECI ŚWIAT_NAGRANIE_9.AUD

Nie idźcie tam, nie idźcie!

Nie idźcie tam, nie idźcie!

Nie idźcie tam, nie idźcie!

Kolejne moje nagranie jest bardzo monotonne i ilekroć go słucham, mam ochotę je skasować. Nie, bynajmniej nie dlatego, że niewiele wnosi do mojego rozumienia Trzeciego Świata; przeciwnie, wnosi bardzo wiele, odsłania prawdy, które w rzeczy samej nie są może zbyt głębokie, lecz przebywając pod rozleniwiającą kulą Matki, traci się je z pola widzenia.

Powodem sprawiającym, że myślę o pozbyciu się nagrania, są wspomnienia, jakie ono przywołuje. Koszmary, jakie na dźwięk tego zdania zalewają moją wyobraźnię.

Bo choć to tylko jedna fraza, wyrzeszczana zostaje na tysiąc różnych sposobów, stanowiąc dźwiękowe studium bólu i cierpienia. Kiedy słucham zarejestrowanych przez siebie krzyków, tej ponurej melodii, granej przez zdarte do cna gardła, przez zapyłone płuca, przez krwawiące struny głosowe, nie mogę nie myśleć o tych, co krzyczą.

Nie idźcie tam, nie idźcie!

To skazańcy, powiedział mi Elah, ciągnąc mnie za ramię, kiedy stałem, oniemiały, przed ostatnią linią ostrzeżeń, jaką zbudowała Północ dla tych, co wybierają się w drogę do krain Rozpustnicy. To zdrajcy, służący Dziwce; zatruwali nasze studnie wodą z sadzawek retencyjnych, gwałcili nasze kobiety, pili krew naszych niemowląt, knuli spiski, szpiegowali,

sprowadzali złe czary i nieurodzaj. Teraz muszą odkupić swoje winy, ostrzegając podróżnych. Dostali za swoje.

Dostali, bezsprzecznie.

Choć minęło sporo czasu, odkąd przeszedłem przez Most, wciąż ich widzę - nadal przecież tam są, nadal krzyczą, nikt ich nie uwolnił. Nawet śmierć.

Nie sposób przejść obok nich obojętnie. Ponieważ dzieje się to w okolicach Mostu, w kanionie, wszystko skrywa cień rzucany przez skaliste ściany - stąd wpierw widzi się tylko okrągłe, wyczyszczone do gołego drewna drągi; to one są na wysokości oczu. Drągi te tworzą alejkę, stojąc przy ścieżce, która wiedzie na Południe: do krainy czerwonego światła, potężnych czarów, deformacji, Antymiaasta, słowem - do dziedziny, gdzie króluje zło. Lecz aby się tam dostać, trzeba przejść pod drewnianymi palami. Trzeba wysłuchać krzyków.

Spojrzenie podnosi się wtedy odruchowo; tej reakcji, tej pierwotnej ciekawości nie sposób powstrzymać. Nie sposób też powstrzymać kolejnej, choć tutaj da się rozpoznać większą różnorodność: ci ze słabszymi żołądkami czasami wymiotują, inni odwracają głowę, w każdym - bez wyjątku - spojrzeniu widać obrzydzenie i zgrozę.

Ale nikt nie oprze się o któryś ze sterczących ze skał drągów, choć niejeden, owszem, zasłabnie, niejednego zemdle. Nikt nie chce bowiem dotknąć tego, co spływa z pali - krew, odchody, resztki pokarmu i limfę potrafię rozpoznać, choć są i substancje mi nieznane, pochodzenia ewidentnie tutejszego. Wypowiedzieć musiałby się jakiś anatom, który zdążył już zgłębić tajniki budowy ciała elfa, wilkołaka czy goblina; zresztą nie jest to ważne.

Z pali spogląda na podróżnika cała mozaika etniczna Trzeciego Świata.

Nie idźcie tam, nie idźcie!

Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że oni nie umierają ani nawet się nie starzeją. Jak to możliwe, że wciąż mają siłę krzyczeć? Elah tłumaczył, że to kara, że to magia, że to klątwa. Tak, klątwa na pewno, co do tego nie mam wątpliwości. Że to działała potęga Północy - ostatni taki znak na Południu, dalej, o, to już naprawdę rządzą inne czary, inna magia, inna gwiazda. Elf powiedział to z wyraźną dumą, jak gdyby męka skazańców przynosiła mu satysfakcję, a fakt, że moc, której służy, potrafiła działać coś takiego, że umiała sięgnąć tak daleko, stanowiła dowód, iż nie wszystko jeszcze stracone. Trudno było mi podzielić te odczucia.

Ile by można działać dobra na Północy, zamiast trwonić moc (przecież jej zasoby nie są nieograniczone) na takie okrucieństwa? Ile dzieci można by za to wykarmić? Ile wznieść budowli, dających schronienie uchodźcom z Pogranicza? Ile wykuć cudownych tarcz, będących osłoną przed ciosami Południowców - kiedy ci wreszcie przyjdą, tak jak

przepowiadano?

Wciąż ich widzę - wiecznie żywych, trzecioświatową, zwielokrotnioną do kilkuset pali karykaturę Prometeusza.

Wciąż ich słyszę.

Nie idźcie tam, nie idźcie!

Część czwarta

POŁUDNIE

Opowiadane wciąż na nowo przez stulecia (jeśli nie tysiąclecia) baśnie wy subtelniały się, zyskując zdolność przekazywania zarówno znaczeń jawnych, jak ukrytych, jednoczesnego przemawiania do wszystkich warstw osobowości ludzkiej, przekazywania swych treści w taki sposób, że dostępne są w równej mierze nieuczonemu umysłowi dziecka, jak wysoko rozwiniętej umysłowości dorosłego. Przyjęto w nich psychoanalityczny model osobowości ludzkiej, kierując doniosłe przekazy do świadomej, przedświadomej i nieświadomej sfery psychiki, niezależnie od tego, na jakim poziomie każda z tych sfer w danym momencie funkcjonuje u konkretnego słuchacza. Opowieści te dotyczą uniwersalnych problemów człowieka, zwłaszcza tych, które zajmują umysł dziecka, przemawiają do jego zaczynającego się kształtować ego (do jego ja w nim) i pobudzają jego rozwój, łagodząc zarazem przedświadome i nieświadome napięcia. W miarę rozwoju fabuły zostają uwyraźnione i ucieleśnione presje id (presje tego w nas); jednocześnie opowieść ukazuje, jak zezwolić na zadośćuczynienie tym spośród nich, które zgodne są z wymaganiami ego (ja w nas) i superego (nad-ja w nas).

„Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni”, Bruno Bettelheim

SZKIC NR 4 - TWARZ

Wyciągam kolejny rysunek z dna walizki. Kartka jest pomięta, wygląda, jak gdyby dopadła ją któraś z południowych kreatur, a ktoś w ostatnim momencie wyrwał na pół pogrzyziony papier z pyska.

Mniej więcej odpowiada to zresztą temu, co się z tym szkicem działo, z tą różnicą, że odcisku zębów, jaki zdobi ów kawałek papieru, nie pozostawił żaden potwór Południa, lecz jeden z materonów - Psów Matki - pół człowiek, pół pies, przedstawiciel rasy wyhodowanej przez magów z Północy specjalnie do walki ze złem. Rzucił się na mnie i gdyby nie Elah, który ruchem godnym ekshibicjonisty odsłonił płaszcz, ukazując blask swej aury (to odrzuciło stwora), pewnie utraciłbym rysunek bezpowrotnie.

Ze zdziwieniem pojąłem wówczas, że przy tym ruchu i ja dostrzegłem białą poświatę. Widziałem aurę! Gdyby był na to czas, zapewne bym się ucieszył, ale Trzynasty z Miotu już ciągnął mnie za rękę w obręb ochronnego kręgu, podczas gdy Elah rozprawiał się z Psem Matki, najwyraźniej zdziaczałym za sprawą długiej obecności pod promieniami Panny Rozpustnej. Stworzenie musiało błąkać się gdzieś na Pograniczu - zbyt przywiązane do białego światła, by zanurzyć się w czerwone, z drugiej jednak strony zbyt zepsute, by mogło na powrót służyć swej starej pani. Słyszałem o takich przypadkach już wcześniej, i jeśli wierzyć tym opowieściom, fakt, że spotkaliśmy tylko jednego osobnika należał do szczęśliwych zbiegów okoliczności - zwykle bowiem formują one stada dochodzące do kilkunastu sztuk.

Takiej liczbie materonów nie mógłby dać rady nawet Elah.

Nie wspominałem ani słowa o samym rysunku. W zasadzie uznałem już po całym zajściu, że atak bestii był mi na rękę, nie musiałem bowiem pokazywać mojego szkicu - a tego zdecydowanie wolałem uniknąć. Szkic (schowałem go skrzętnie, kiedy pozostali przyglądali się martwemu materonowi) stanowił zapis tego, co zobaczyłem poprzedniej nocy we śnie. To mój pierwszy nocleg na Południu i - choć sam się sobie dziwiłem, bo nigdy nie należałem do przesądnych - przywiązywałem do tego, co mi się przyśni, sporą wagę.

Chwyciłem za ołówek i papier od razu, kiedy tylko oprzytomniałem ze snu. Początkowo rysowałem jak w transie, bez udziału świadomości. Aż nagle z plątaniny czarnych kresek, łuków, krzywych i owali wyłonił się kształt, z każdym ruchem ołówka nabierający sensu i wyrazu.

Ze szkicu spoglądała na mnie biało-czarna stara twarz.

Przyjrzałem się malunkowi uważnie, dochodząc do wniosku, że widniejącego na nim osobnika wyposażyłem w pewne swoje cechy - to zresztą naturalne w wypadku rysowników niebędących profesjonalistami - korzystają z elementów dobrze znanych. Mimo wszystko nie stworzyłem autoportretu, w żadnym razie nie! Twarzy na papierze zdecydowanie bliżej było do tej ujrzanej we śnie.

Szkic przedstawiał - oczywiście - oblicze Czarownika. Zastanawiałem się, czy każdy wędrowiec, trafiający z domeny Matki tutaj, na Południe, jest w ten sam sposób witany - koszmarami, w których pojawia się Ten, Którego Nie Dojrzysz. Tak musi być, zdecydowałem po dłuższym namyśle, wpływ Dziwki staje się zbyt silny, maści, podawane mi przez Elaha co rano, nie chronią tak dobrze - stąd ta przerażająca wizja.

Lecz spytać moich towarzyszy podróży, czy mieli podobne majaki? Nie.

Bąłem się.

REKA

Jedną z pamiątek z tej podróży, którą już zawsze będę miał ze sobą, jest moja lewa dłoń - siedmiopalczysta, z nienaturalnie odkształconymi opuszkami. Prawdę mówiąc - ta deformacja bywa pożyteczna, palce stały się mocniejsze i bardziej sprawne, choć trochę czasu zajęło mi przyzwyczajenie się do zwiększonego stanu posiadania - początkowo ogarnęło mnie przerażenie i nie wiedziałem, jak mam posługiwać się lewą dłonią, wciąż myliłem palce.

To zdarzyło się niedługo potem, kiedy przekroczyliśmy most. Od dwóch dni brnęliśmy przez suche pustkowia pokryte czerwonym piachem. Gdzieś z ziemi wyrastała samotna skała, od czasu do czasu (rzadko) mijaliśmy opuszczone kamienne domy, drzew i zwierząt widywaliśmy jak na lekarstwo. Jechaliśmy z przerwami, bo należało przeczekać godziny, kiedy to aktywność Dziwki osiągała apogeum (Elah lubił powtarzać, że w takim świetle nawet on zmieniłby się po kilku godzinach w monstrum) - zawczasu więc rozstawialiśmy namiot, ze specjalnej tkaniny (produkowanej z roślin hodowanych w górach, na stokach okalających Białą Wieżę). Tkanina absorbowała groźne dla zdrowia promieniowanie, a my cierpliwie czekaliśmy, aż Dziwka nieco zblednie i zejdzie niżej nad horyzont - by móc ruszyć znowu. Jechaliśmy do późnego wieczora, ale wtedy, kiedy robiło się całkiem ciemno, musieliśmy stanąć - dalszą jazdę drogą pełną wybojów i dziur uznaliśmy za zbyt niebezpieczną, a silne

światła samochodu mogły ściągnąć na nas zagrożenie.

Kiedy drugiego dnia po przekroczeniu granicy siedzieliśmy skryci pod namiotem, dla lepszej ochrony rozstawionym w cieniu niewysokiej samotnej skały, niebo nagle pociemniało. Ucieszyłem się, sądząc, że będziemy mogli kontynuować naszą podróż, chciałem wyjść z namiotu, lecz Elah chwycił mnie za ramię i pokręcił przecząco głową. Wysłał tylko Trzynastego z Miotu, by okrył samochód zaklętym, pokrytym runami brezentem, sam zaś zajął się kreśleniem znaków na piachu dookoła naszego przenośnego domostwa.

- Burza - wymamrotał, kiedy po kilkunastu minutach wrócił do namiotu, wyraźnie zmęczony i przestraszony.

Wzruszyłem ramionami. Burze to nie coś, czego bym się bał, owszem, może i nie są miłe, w tych rejonach mogą być zapewne bardzo gwałtowne, ale żeby robić takie zamieszanie...

Wkrótce przekonałem się, że jeszcze niewiele wiem o Trzecim Świecie. Tutejsze burze różnią się od ziemskich.

Zwłaszcza - burze magiczne.

Mechanizm ich powstawania jest stosunkowo prosty, łatwy dla zrozumienia dla osoby z Ziemi - i wynika z faktu, że nad Trzecim Światem aktywne są dwie gwiazdy. Zarówno Matka, jak i Dziwka nagrzewają duże masy powietrza, dodatkowo wszelkiego rodzaju pyły, piach, kurz wiszący w powietrzu, para wodna, pyłki roślin - wszystko to podlega intensywnemu naświetleniu. Z czasem tworzą się wielkie obłoki gazu, naładowanego jednym lub drugim rodzajem magii - powstają, można rzec, fronty magiczne, a kiedy dochodzi do ich spotkania, gdy są szczególnie silnie naładowane - formuje się front burzowy.

Już pierwsze wyładowanie przekonało mnie, że moje wyobrażenia o burzy muszą zostać odstawione do lamusa. Wprawdzie huknęło, i to całkiem głośno, lecz hukowi temu nie towarzyszyła błyskawica. Zamiast tego z czerwonego piachu wstał olbrzym - mężczyzna wysoki na sto metrów - przeszedł kilka kroków i rozsypał się w czerwoną chmurę. Chwilę później całe pustkowie rozbłysło milionem jednakowej wielkości ogników - języki ognia wisiały na wysokości mniej więcej dwóch metrów nad ziemią, można było włożyć w nie rękę, choć wcale nie parzyły. Stary, zrujnowany domek (minęliśmy go jakiś czas wcześniej), powstał z pyłu i kurzu i przeszedł na dwóch niby-strusich łapach jakieś dwieście kroków, odsuwając się od drogi - pomrukiwał przy tym z wyraźnym ukontentowaniem. A był to dopiero początek związanych z burzą fenomenów.

Zobaczyliśmy mrozące krew w żyłach obrazy Białej Wieży, już nie białej, lecz czarnej od dymu i sadzy - po zasnutych ciemnymi kłębami ulicach szaleli wojownicy odziani w czarne zbroje, krew spływała po bruku, widziałem też, jak na kocich łbach rażno podskakuje głowa

pułkownika Zawadzkiego, ścięta równiutko, z chirurgiczną precyzją, tuż przy nasadzie czaszki.

Zobaczyliśmy, jak legiony orków - widziane z góry przypominały czarne, poruszające się prostokąty - zostają pochłonięte w nagłym rozbłysku białego światła, nadchodzącego z Północy.

Zobaczyliśmy, jak woda w rzekach na Północy barwi się nagle na czerwono, jak mieszkańcy północnych krain nachylają się nad zakrwawionymi studniami, a w ich spojrzeniach widać przerażenie i rozpacz.

Zobaczyliśmy upadek miasta na Południu, rozpadające się w proch statuy przedstawiające Dziwkę, rozsypujące się ołtarze, gasnące paleniska świątyń mające symbolizować płomień Panny Rozpustnej.

Zobaczyliśmy, jak gasną obie gwiazdy, a nad Trzecim Światem zapada złowroga ciemność.

Na koniec zaś zobaczyliśmy, jak z pyłu, kurzu, piachu i skał, nagle wzbijających się w powietrze - zupełnie jak gdyby ktoś, jednym ruchem przełącznika, odwrócił wektor siły grawitacji - kształtuje się olbrzymia sroga twarz. Nikt nie musiał mi tłumaczyć, kto to był.

Czarownik.

Twarz zawisała w powietrzu, przesłaniając horyzont. Spojrzała na nas i poruszyła ustami. W takich chwilach traci się pewność siebie, trudno zaufać zmysłom i pamięci, dlatego nie jestem pewien tego, co usłyszałem. W każdym razie zdawało mi się, że wielkie, piaskowo kamienne usta wykrzywają się w słabym uśmiechu i poruszając się, wypowiadają kilka słów.

- Idź. Idź! Dalej! Już niedługo...

Nagle szare widziadło zniknęło, rozsypało się, rozwiął je wiatr - i już, po burzy.

- Wizje - wyjaśnił zdawkowo Elah. - Różne przyszłości. Burza je pokazuje.

Nie śmiałem zapytać, która wizja wydawała się bardziej prawdopodobna i co znaczyło pojawienie się twarzy Czarownika na niebie. Powtarzałem sobie, że to wszystko musiały być zwidy, majaki, bo przecież równina pozostała niezmienną - wyjąwszy mały domek, odsunięty teraz od drogi. Niebo zrobiło się jasne, powietrze przejrzyste. Wszedłem poza zakreślony przez Elaha krąg, mimo uszu puszczając ostrzegawczy okrzyk.

Powietrze rozciął czerwony błysk, tak szybki, że nie miałem najmniejszych szans, by zareagować. Gdyby trafił mnie zwykły, ziemski piorun - już pewnie bym nie żył. Błyskawica nie rozcięła mnie jednak na pół, nie spaliła, nie czułem nawet zwykłego mrowienia, jakie odczuwa się, dotykając baterii językiem. Uniosłem wzrok, zdziwiony tym, że Elah biegnie do mnie zdjęty grozą.

- Dotknięcie Dziwki! Dotknięcie Dziwki! - darł się wniebogłosy.

O co mu chodziło?

Zrozumiałem, gdy spojrzałem na swoją lewą dłoń, tę, w którą uderzyło światło błyskawicy. Nie było na niej żadnych oparzeń czy blizn, w zasadzie wyglądała całkiem normalnie, skóra zdrowa, opalona na brąz, nie zjeżyły mi się nawet włoski.

Poza jednym szczegółem wszystko było w porządku.

Poza jednym szczegółem.

Moja lewa dłoń miała siedem palców.

SZKIC NR 5 - PLAN MIASTA

Kolejna kartka, rozłożona przeze mnie na stole, duża i pokryta wieloma stwarzającymi wrażenie chaosu figurami geometrycznymi, gdzie co jakiś czas zieją czarne plamy, to mapa. Plan miasta.

Pierwszego z miast Południa, do którego dotarliśmy.

Już w pierwszej chwili, od razu, rzuca się w oczy ów brak uporządkowania, chaos. Gdyby pokusić się o zrobienie szkicu Białej Wieży z lotu ptaka, mielibyśmy regularny układ ulic: wszystkie krzyżują się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, wszystkie łączą się z innymi ulicami, wszystkie mają nazwy. Punkt centralny stanowiłby oczywiście dwór (zamknięty w prostokącie), a całość wpasowano by w zgrabny i równy pierścień murów miejskich.

W mieście, którego przybliżony układ rozrysowałem sobie na kartce, jest zupełnie inaczej. Przede wszystkim - nie ma murów.

Jak to nie ma? - spyta ktoś, kto przyjechał z Północy. Nie ma murów? To tylko świadczy o tych, co mieszkają na Południu! Źle świadczy! Cóż za lekkomyślność! Bezmyślność. Ryzykanctwo! No, ale czego oczekiwać po Południowcach...

Rzecz jednak w tym, że napotkane przez nas miasto zbyt kipi życiem, by dało się wtłoczyć w ciasny pierścień. Wszędzie powstają nowe budynki, nowe osiedla. Oczywiście są to budynki i osiedla biedne, jak wszystko tutaj stawiane chaotycznie, na chwilę, na przeczekanie. Buduje się je gdzie się da i z czego się da; materiały groszowe, wiązania słabe, niczego przed rozpoczęciem budowy nie obliczono, niczego nie zaprojektowano - dlatego konstrukcje te są nietrwałe, tanie i kiepskie. Gdzieś przecież musi podziąć się populacja, rosnąca jak na drożdżach - choć to nie Antymiaasto ani żadna inna z wielkich metropolii Południa, liczy kilkakrotnie więcej mieszkańców niż Biała Wieża.

Urbanistyczny chaos spowodowany jest również tym, że w mieście nie funkcjonuje żadna centralna władza kontrolująca proces budowlany. Dlatego metropolia rozlewa się po pobliskich terenach jak kleks atramentu po kartce; idąc tam, gdzie opór najmniejszy, obejmuje w swe posiadanie coraz to nowe połacie okolicy. Spłonął kawał otaczającego miasto buszu? Wybudujmy tam domy. Wysechł pobliski strumień? Osiedlmy się i tam!

Miasto to jest prawdziwym pomnikiem południowego ducha i mentalności.

Moją uwagę przykuwa szkic wykonany na marginesie, zepchnięty na bok przez ekspandujące osiedla, ledwie się mieszczący na wąskim, szarym pasku papieru.

Szkic przedstawia kobietę.

Nie potrafię wymówić jej prawdziwego imienia, ale też ona miała tego doskonałą świadomość, spotykała już przybyszów z Ziemi. Ba, rozumiała tak dużo, że przedstawiła mi się imieniem, jakie przybrała specjalnie na potrzeby kontaktów z takimi jak ja.

Karla.

Karłę poznałem tuż po tym, kiedy zatrzymaliśmy się w zajeździe, położonym blisko centrum; tam gdzie linie na mojej prowizorycznej mapie gęstniały, przecinały się z wielką intensywnością, gdzie dużo było czarnych kwadratów (budynki) i smukłych wież (koszary straży).

Pamiętam, że kiedy wjechaliśmy do miasta, uderzyło mnie jedno - nikt nas nie kontroluje, nikt nie sprawdza, nie zatrzymuje na posterunkach, nie bada? Zapytany o to Elah tylko wzruszył ramionami. „Południe”, wycedził przez zęby lekceważąco, co miało wyjaśnić wszystko: powszechną dezorganizację, chaos, brak myśli strategicznej, a w konsekwencji, co stanowiło dla elfa oczywistą konkluzję - podrzędność Południowców, ich niższość, gorszość.

Ile sensów zawierało się w jednym tylko słowie!

Jechaliśmy szybko, ja cieszyłem się, że nasz samochód podczas podróży ucierpiał nieco tu i ówdzie, bo nie różnił się wiele od innych przemieszczających się chaotycznie po ulicach gratów, z których wszystkie miały polskie rejestracje (zdobycz wojenna!). Trzynasty z Miotu trzymał się lewej strony ulicy, zajeżdżając drogę innym, byle tylko skryć się w cieniu, bo właśnie nastawała godzina Dziwki, czas, gdy światło Panny Rozpustnej stawało się najmocniejsze, najbardziej dokuczliwe i niebezpieczne. Na jezdni zresztą nie panowały żadne zrozumiałe przeze mnie reguły, jeśli by mi przyszło definiować jakąś wiodącą zasadę rządzącą ruchem drogowym, wskazałbym na rację silniejszego. Tłum płynął poboczami, wlewał się na ulice, przeszkadzając w jeździe, było piekielnie gorąco i mimo że rozpiąłem koszulę, ciężko się oddychało.

Wtedy właśnie zobaczyliśmy Karłę.

Stała w cieniu daszku, na drewnianym tarasie zajazdu, ale mógłbym przysiąc, że było od niej światło. Smukła, czarnowłosa, zamyślona. Ubrana była w lekką koszulę z tutejszej tkaniny i wojskowe spodnie, najprawdopodobniej (jak prawie wszystko tutaj, co pochodziło z Ziemi) zdobyczne. Spodnie sprawiały wrażenie zbyt obszernych, ale podwinęła je tak zmyślnie, tak zgrabnie, że zamiast szpecić, podkreślały jej atrakcyjność, ukazując opalone nogi. Trzynasty z Miotu momentalnie zwolnił, skręcił w stronę budynku, a ja nie mogłem, nie miałem siły protestować. Nawet Elah zaniemówił, wpatrując się w dziewczynę i plując kawą.

- Wiła - wydyszał wreszcie. - Albo sukub.

Ja jednak i Trzynasty z Miotu już się wtedy rozpakowywaliśmy, już uzgadnialiśmy z właścicielem zajazdu - jednookim mutantem (pół twarzy zarośnięte gęstym futrem, drugie pół pokryte bliznami; wyglądało to na skutki uboczne jakiegoś zaklęcia) cenę za nocleg, już oglądaliśmy pokoje. I Karłę podążającą za nami lekkim krokiem, zupełnie tak, jak gdyby płynęła w powietrzu, Karłę kołyszącą biodrami, oblizującą ponętne wargi.

- Nie harpia - wycharczał mutant, mający najwidoczniej problemy z mówieniem.

Karla - niewolnica, własność karczmarza, przynależała do zajazdu. Kiedy mutant przybył do miasta, dziewczyna już tutaj była, przybysz zakupił więc lokal z całym inwentarzem, wśród którego ona stanowiła najcenniejszy okaz. Nigdy się nie dowiedziałem, ile miała lat i dlaczego właściwie wciąż siedzi w tej nieszczególnej przecież spelunie. Przez pewien czas mieliśmy nawet wątpliwości, czy jest żywą istotą (Elah wysnuł teorię, że Karla to zaklęcie - iluzja będąca dodatkowym wyposażeniem zajazdu, mającym ściągać do niego gości, co, przyznaję, w naszym przypadku poskutkowało wyśmieniem). Nie wychodziła poza obręb budynku, gdy szliśmy obejrzyć miasto - mutant nie pozwalał jej iść z nami. Czy był zazdrośny? Czy bał się, że dziewczyna ucieknie? A może rzeczywiście była czarem, wrosłym w fundamenty, przenikającym drewniane ściany, ukrytym w dymie z kadzideł, dziwnym, nieprzypominającym żadnego ze znanych mi zapachów?

Relacje między oberżystą (który, jak się później okazało, służył kiedyś w straży Białej Wieży, ale po zetknięciu się z chmurą z Południa i następującej w konsekwencji tego spotkania Przemianie został wygnany) a dziewczyną były dziwne - właścicielskie właśnie. On nosił się jak władca (kazał tytułować się baronem z Tredeach), dziewczynę traktował zaś jak istotę niższego gatunku, przedmiot, bił, rozkazywał, poniewierał, ale i zazdrośnie strzegł przed innymi. Ona - w stosunku do innych zadziorna, pokazująca charakter, otwarta, w obliczu swojego pana i władcy stawała się potulna, przesadnie uległa, wycofana - całowała jego zmutowaną połowę twarzy (ze złośliwą satysfakcją skonstatowałem, że nie zdjęło to ciężącego na baronie uroku), ocierała ściereczką ślinę, ciekącą z wiecznie półotwartych, brzydko

wykrzywionych przez paraliż poinkantacyjny ust. Był czas, gdy znikala nam z oczu - nie wiem, gdzie się wtedy podziewala, czy dbala o innego rodzaju satysfakcje swojego wlasciciela, odpoczywala, a moze po prostu rozwiewala sie w niebycie, gdy brakowalo obserwatora?

Długo dyskutowalem na jej temat z Elahem, wyjasniajacy mi, ze Poludniowcy sa mistrzami magii seksualnej, zmyslowej, zywiolowej. Zreszta, mowil elf, teraz ich czary w ogole sa potezniejsze od naszych. Ale, dodawal, pozadanie to wlasnie domena Dziwki, zobacz, jak oni sie mnoza, spojrz w zaułki, w bramy, zajrzyj do okien, posluchaj, jak pracuja łozka - pozadanie widać i slychac na kazdym kroku. Tak dziala blask Dziwki. Normy spoleczne, etyka seksualna - to wszystko na Poludniu jest zupełnie czym innym niz na Pólnocy. Weźmy, tłumaczył, płatną miłość. W Bialej Wieży można za to zostac ukamienowanym, odetną ci rękę, wyłupią oczy, obetną genitalia. Tutaj - jest to zawód normalny, przeciez wlasnie tego chce Dziwka! Nic nie poradzisz, taki kraj.

Taki kraj, trudno zaprzeczyć.

Trudno kontrolowac pozadanie.

Jeszcze tego samego dnia sciagnalem obrączkę i poszedlem do pokoju Karli.

Z okna jej pokoju roztaczal sie piekny widok na miasto.

Znowu spogladam na plan nakreślony ołówkiem na papierze do pakowania. Pamietam, jak ten plan powstawal - zajmowalem wtedy miejsce w oknie pokoju Karli, lezacej troche dalej, w cieniu (z jakichs powodow, ktorych nie chciala zdradzic, unikala swiatla), spogladam na miasto, na rysujacy sie przede mna gaszcz, probujac znalezc jakies prawidlowosci, uchwycic punkty orientacyjne, dokonac podzialow, posegregowac dzielnice, pokatalogowac je, ponazywac - jezeli nie maja nazw. Magia w tych okolicach byla naprawde intensywna, dawalo sie ja doslownie odczuc w powietrzu, co powodowalo moja ciagla frustracje. Bo jak narysowac dobry plan, gdy jedne ulice znikaja, a zamiast nich w ciagu jednej nocy pojawiaja sie inne? Jak oznaczyc wieze straży, gdy (celowo ukryta przed oczyma postronnych) rozplywa sie ona w mgle nieoznaczoności i chociaz wiem, ze gdzieś tam jest, nie wiem dokladnie gdzie? A jednak za kazdym razem, gdy Karla konczyla pokaz swych nadzwyczajnych umiejtnosci i opadala z miękkim westchnieniem na łozko, ja, po krótkim odpoczynku, szedlem do okna i szkicowalem plan miasta.

Teraz widze, ze bylo to bardzo ziemskie podejscie, zamiast potraktowac miasto jako jeden wielki organizm, oparty o zaklęcie fundacyjne, probowalem metropolie za wszelka cene rozczlonkowac, ogladac oddzielnie, pod szkiełkiem, co w Trzecim Świecie zupełnie sie nie

sprawdza.

Paradoksalnie, jak małą wartość mają moje szkice, uświadomiła mi nie obserwacja zmiennej topografii miasta, ale moi rodacy.

Ci z Królikarni.

Zaczął się dziewiątego dnia naszego pobytu w mieście (przeciągałem tę wizytę, choć Elah, rejestrując moje coraz częstsze odwiedziny w pokoju nad nami, lamentował, ostrzegał przed zgubnym wpływem tych kontaktów i błagał, byśmy ruszali dalej). Pamiętam dobrze ten moment, bo w Trzecim Świecie przedświt jest chwilą szczególnej urody: nie było już ciemno, ale też niezupełnie widno, tylko lekki, prawie niewidoczny blask Matki z Północy, podczas gdy Panna Rozpustna jeszcze nie weszła (jak gdyby chciała odpocząć po wyczerpującej, pełnej doznań, westchnień i uniesień nocy). Miasto spało, zmęczone, ale zaspokojone, oddychano pełną piersią, korzystając z tego, że jeszcze nie zrobiło się gorąco. To czas, gdy wszyscy otwierają okna, wzdychają z ulgą, nabierają sił.

My też otworzyliśmy okno, zachłannie łapiąc charakterystyczne dla poranków świeże powiewy. Dlatego, choć wybuch nastąpił w drugim końcu miasta, usłyszeliśmy go doskonale.

Na miasto spadły pierwsze bomby.

Spokojny przedświt wypełnił się rykiem silników, świstem rakiet, terkotaniem karabinów i grzmotami wybuchów. Z Północy nadlatywały eskadry Sił Powietrznych Rzeczypospolitej Polskiej, z zachodu słyszałem groźny pomruk przypominający zbliżanie się kolumn pancernych.

Zbiegłem zaraz na dół, baron z Tredeach stał przy barze, patrzył szeroko otwartymi oczyma na ulicę, na którą wylęgali zdeorientowani mieszkańcy miasta, w dłoni trzymał nadtłuczony słoik po majonezie (zapewne nabytek z Mostu lub z jednego ze śmietnisk) napełniony tutejszym, mętym, alkoholem. Widząc mnie, sięgnął po drugi słoik (kanciasty, po suszonych pomidorach z Włoch, nieco wyszczerbiony), nalał, podał bez słowa. Przełknąłem, płyn palił, był niesmaczny, lecz wypity przynosił ulgę, więc kiwnąłem na mutantą, by nalał mi kolejną porcję.

Na ulicy tymczasem oprócz gromad dzieci i rozespanych dorosłych zaczęły pokazywać się służące w straży orki.

Czy pisałem już o orkach? Nie, nie pisałem - a temat ciekawy. W świadomości mieszkańców Ziemi utrwalił się następujący obraz: ich powierzchowność, sposób poruszania, mówienia - wszystko niezgrabne, wykoślawione i odkształcone (takie jest bowiem dziedzictwo klasyków gatunku). Prawdą jest, że orki to, upraszczając nieco, elfy, które przeszły na stronę Rozpustnicy. Jednak owo przejście nie spowodowało, że z miejsca stały się potworami, o

odrażających rysach i obrzydliwym oddechu. Dokonując szybkiego porównania z Elahem, trzeba powiedzieć, że orki były znacznie wyższe (co najmniej o czterdzieści centymetrów) od elfów, znacznie bardziej muskularne. Twarze miały mniej przyjemne niż oblicza ich krewnych żyjących pod Matką, lecz różnica nie polegała na jakichś szczególnych brakach, oszpeceniach czy deformacjach, ale na ogólnym wyrazie, jaki się na tych obliczach rysował. Twarze orków były prawdziwie złe. Zacięte. Bezwzględne. Bezlitosne. Najgorsze zaś wydały mi się oczy - zimne jak kawałki lodu. Kiedy jeden z przechodzących spojrział w stronę zajazdu, postąpiłem w tył, prawie że odepchnięty przez jakąś trudną do zdefiniowania siłę - choć przecież ork nie mógł mnie widzieć. Baron z Tredeach splunął brązową śliną na wytarty dywan, przełknął kolejny łyk mętnej cieczy.

- Idzie Północ - powiedział ponuro. - Idą twoi. Lepiej nie wychodźcie teraz na zewnątrz, mogłoby się to dla was źle skończyć.

Jego słowom towarzyszył kolejny wybuch, fontanna ognia i szczątków zabudowań trysnęła w niebo, by zasypać pyłem cały pobliski kwartał. Ten dźwięk towarzyszył mi przez trwające kolejne trzy tygodnie, krwawe oblężenie miasta. Trzy tygodnie, trzy tygodnie ja i moi towarzysze żyliśmy uwięzieni w zajeździe. Za każdym razem, gdy pytaliśmy, czy można wyjść, czy już się uspokoiło, baron z Tredeach przecząco kręcił głową i nic nie mówiąc, nalewał do słoika brudną, brązową ciecz, która po tygodniu zaczęła mi nawet smakować. Szarpałem się z sobą, chciałem śledzić te krwawe zmagania, uczestniczyć w nich, ale wiedziałem, że niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie - któregoś dnia zobaczyłem, jak rozwścieczony tłum rozszarpał kupca z Północy pod pozorem oskarżenia, że jest agentem. A przecież ten kupiec był tak samo przerażony przetaczającą się przez jego objazdowy kram wojną, jak wszyscy inni, tutejsi, ci, co oddają cześć Dziwce.

Oglądałem więc toczącą się wojnę - ja, reporter! - z okien.

Najczęściej były to okna pokoju Karli.

Z takiej perspektywy trudno o całościowy opis konfliktu, jakiego dostarczają wytrawni historycy, wskazując, kiedy bitwa się zaczęła, jak kształtowała się sytuacja w tym punkcie, jak w innym, kto wykazał się bohaterstwem, która reduta padła szybko, a która broniła się długo, jak prezentowały się szanse na zwycięstwo obu stron, jak przedstawiały się ich zasoby, co okazało się elementem decydującym.

Ja zanotowałem tylko szereg obrazów, nieukładających się w zgrabny ciąg przygodowej opowieści, widokówek z wojny. Wojny oglądanej z okna.

Więc najpierwszy obraz to struga czerni: oddziały orków, idących w złowrogich płaszczach, mroczących ulicę. Uciekają przechodnie, powietrze drga, faluje, przesączone jest

czarną magią, sylwetki orków rozplývają się, dwoją, troją, rozlewają na całą przestrzeń pomiędzy domami (stosują iluzje, by zmylić przeciwnika). Idą w absolutnej ciszy - tak kompletnej, że słycać płacz dziecka, w którymś z pobliskich domów. Gdzieś tam w tle widać łunę pożaru i słup dymu, z jeszcze większej odległości dochodzi do nas słaby huk odrzutowców, ale uwaga wszystkich w okolicznych domach skupia się na ciągnącym pochodzie. Matki drżą (jeśli dziecko by teraz wybiegło i stanęło na drodze oddziału, zostałyby stratowane, a w najlepszym razie odkopnięte na bok). Drżą handlarze, wiedząc, że jeśli uwagę któregoś z idących przykuje stragan stojący na poboczu albo miska pełna prażonych owadów czy też dwa tresowane szczury, zarabiające od lat na chleb dla bestryja - będzie się z tym trzeba pożegnać, starczy machnięcie czaroaktywną rękawicą żołnierza, a stragan stanie w płomieniach, szczur zdechnie, a prażone orzechy rozsypią się na wszystkie strony. Taka jest bowiem logika wojny, normalny tryb życia zostaje zawieszony, zmieniają się hierarchie, a światem zaczyna rządzić okrucieństwo.

Najdziwniejsze zaś, że orki są w tym okrucieństwie piękne - zresztą cóż to by było za zło: odrażające, paskudne, powodujące wymioty? Zło nieskuteczne, niegroźne - bo jakże łatwo można by się przed nim bronić, sama nasza konstrukcja, wrodzone poczucie smaku, zapewniałaby ochronę. By zapewnić efektywność - musi być efektowne, pociągające, być może perwersyjne, lecz piękne. Dlatego stoję przy oknie jak zahipnotyzowany, kiedy Karla gładzi mnie dłonią po plecach, i spoglądam na mroczny, zamazany strumień, płynący dnem ulicy, niknący wreszcie w plątanie innych ulic i innych kamienic - lecz ja mimo to przez długi czas nie odchodzę od okna, czekając - może się jeszcze pokażą? Może pojawi się następny oddział?

Nie mogę też się uspokoić, kiedy przypominam sobie widok podłużnych cieni przypominających cygara. Najpierw jedno z takich cygar przepełzło po dachu pobliskiego domu stojącego naprzeciwko zajazdu, potem drugie, trzecie, piąte... Wraz z pojawieniem się szóstego z cygar płaski, piaskowy dach (widziałem go dość dobrze, zajazd był sporo wyższy) eksplodował i zapadł się w dół, pociągając za sobą całą konstrukcję budynku. Na moment widok przesłoniła chmura pyłu zmieszanego z dymem, ale zanim kurz dobrze opadł, mimo że Karla odciągała mnie w tył, już stałem w oknie.

Śmigłowce. Z białym orłem na kadłubach.

I znów, patrząc na te lśniące maszyny zagłady, majestatycznie płynące nad budynkami, co chwila plujące ogniem i dymem w przód, w tył i na boki, ciskające w dół płomienie i śmierć w ilościach hurtowych, doznałem uczucia, że obcuję z czymś perwersyjnie pięknym.

Helikoptery używane do walk w Trzecim Świecie różnią się oczywiście od tych znanych

z Ziemi. I nie chodzi mi nawet o malunki na kadłubie - runy wykreślone olejną farbą, mające odstraszać ifryty, podwieszane z boków pochłaniające zakłęcia stalowe ekrany, kute przez elfich kowali w Białej Wieży, czy smarowane eliksirami śmigła. Maszyny produkowane na potrzeby walk w Trzecim Świecie są przede wszystkim mocniejsze, większe, mają potężniejszy pancerz i lepsze uzbrojenie - tutaj nie liczy się szybkość (tylko jedna strona ma śmigłowce, Południe technologicznie jest straszliwie zapóźnione, braki te nadrabia magią i liczebnością swoich oddziałów), tutaj wartością jest odporność - o panowanie w powietrzu śmigłowce walczą bowiem ze smokami, gryfami, chmarami owadów, wampirami...

Tego popołudnia helikoptery panowały jednak na niebie nad miastem niepodzielnie, nie było kogoś, kto by im stawiał czoło. Załogi ze spokojem wypatrywały celów, prawie że flegmatycznie kierowały lufy w to czy inne miejsce, naciskały spusty, a tam, gdzie spojrzało czarne oko działa, wykwiwały ognie.

Zobaczyłem wtedy, jak przecnicę dalej, przed długim budynkiem naznaczonym strzelistymi kominami jakiś mężczyzna zwołuje dzieci - była ich spora gromada, ludzie, krasnoludy, zwierzołaki, gnomy czarne, gdzie spojrzeć, dookoła budynku dzieci. Te budynki, zrozumiałem od razu, to kuźnie; w nich produkowano uzbrojenie oddziałów Dziwki, tam powstawały pancerze odbijające kule wystrzelone z ziemskich karabinów, tam konstruowano czaroaktywne rękawice, tam produkowano groty do orkowych strzał potrafiących przebić pancerz bewupa. Szybko pojąłem, że to właśnie obiekt, którego szukają śmigłowce!

Biegający przy budynku i krzyczący na dzieci mężczyzna, jeden z kowali, rozpoznałem jego profesję po nienaturalnie grubych ramionach i niewielkiej głowie (kowali poddawano mutacjom farmakomagicznym), zamykał tymczasem dziecięcy pierścień. Gdziekolwiek śmigłowce uderzą, będą musiały przebić się przez żywą niewinną zaporę. Pokręciłem głową - wiedziałem, nie zrobią tego, zawahają się, nie nacisną spustów.

Ale walka toczyła się w Trzecim Świecie i po raz kolejny przyszło mi się przekonać, że ziemskie wzorce myślenia nie mają tu zastosowania.

Karla pociągnęła mnie w dół, na łóżko, ale zbyt późno, by uchronić przed widokiem pocisków masakrujących drobne niewinne ciała.

Lecz to nie koniec moich wspomnień związanych z naszymi śmigłowcami. Brnąc dalej w zapiski, natrafiam na obraz nocnego nieba nad miastem. Ciemność co chwila ustępowała miejsca błyskom i ogniom. Błyski - to właśnie helikoptery, których załogi odpalały kolejne ładunki wybuchowe. Ognie zaś - to smoki.

Nadleciało ich kilka, z Południa, po mieście rozeszła się plotka, że przysłał je sam Czarownik. Na jedną kreaturę przypadało po dziesięć maszyn - i tylko dlatego walki trwały

przez całą noc, pomimo że kawaleria powietrzna, ta duma polskiej armii, ponosiła dotkliwe straty, i raz po raz helikopter walił się na miasto, ciągnąc za sobą ogon ognia. Smoki okazywały się zadziwiająco odporne i na pociski wypluwane przez karabiny maszynowe, i na rakiety powietrze-powietrze, a nawet na uderzenia falą infradźwięków. Kilka bestii oczywiście padło (na jedną zrzucano metalową sieć, i ta spętała kreaturze skrzydła, inną udało się załatwić impulsem z paralizatora), ale im bliżej był ranek, tym bardziej prawdopodobna stawała się porażka polskiego lotnictwa. Naraz jednak wszystkie maszyny walczące nad miastem rozpierchły się jak ptaki przed drapieżnikiem, zniknęły, i na niebie przez moment pozostawały tylko smoki, majestatyczne, olbrzymie, ziejące ogniem, kładły na miasto swój złowrogi cień, triumfowały, wykrzykując w ich dziwnym języku obelgi pod adresem moich rodaków. A potem noc na moment się cofnęła, niebo rozblęzło bielą, huknęło tak, że szyby wyleciały z okien. Kiedy rzeczywistość wróciła na swoje miejsce, na niebie zrobiło się pusto. Smoków - ani śladu.

Do dzisiaj nie wiem, co się wtedy zdarzyło - zrzucano taktyczny ładunek jądrowy? Odpalono nieznaną wcześniej bombę? A może to jakiś lokalny cud techniki militarnej? Dość powiedzieć, że zesmażone szczątki smoków znajdowano w całym mieście, walały się na ulicach, kawałki skóry, pojedyncze łuski. Jeśli ktoś miał szczęście, natrafiał na większy splachetek, o który zaraz wybuchwały walki: w biedniejszych częściach miasta zaczął się już szerzyć głód, smocze mięso, niechby i skażone, uważano za smakowity kąsek.

Słyszałem, że wielu mieszkańców po zjedzeniu tego pokarmu zmarło w boleściach.

Kolejnym wspomnieniem były dynamiczne zmiany, jakie zachodziły na trwającym pod powiekami planie miasta - systematycznie nanosiłem nań poprawki. Tam, gdzie kiedyś znajdowało się wielkie targowisko, teraz ziała czarna, wypalona pustka. Zniknął gdzieś park, gdyby się tam poszło, znalazłoby się jedynie czarne, pomarszczone kikuty. Pewne obszary metropolii zarosły, zagęściły się - słyszałem historie o tym, że wojska Królikarni, walcząc w mieście, nagle odkrywały, że droga odwrotu została zablokowana, wylot uliczki zniknął, zamiast niego zrozpaczeni żołnierze dotykali grubych, solidnych ścian budynku. Miasto się broniło, miasto zmieniało, miasto czuło, że w jego obrębie znalazło się ciało obce, które należy wydaląć. I miasto działało - myląc tropy, zmieniając topografię, więzząc obce wojska w ślepych uliczkach, odcinając dopływ wody, zamykając wąskie przejścia między domami. W taki

sposób życie straciło około czterech tysięcy młodych polskich chłopaków jadących do Trzeciego Świata jak na ciekawe wakacje.

Najlepiej jednak zapamiętałem strzałę. Nie sposób o tym opowiedzieć, nie sięgając do kolejnej pamiątki, którą mam ze sobą.

ZE ZBIORÓW (5) - WOALKA

Pamiątka ta to leciutka woalka - z delikatnego materiału, zwiewna, choć wiele zasłaniająca. Wpleciono w nią wiele nici zrobionych z włókien roślin zbieranych pod Dziwką, stąd zakłęcia, jakie ma w sobie, są bardzo silne, i mimo że analizując samą strukturę tkaniny, doszlibyśmy do wniosku, iż powinna ona pokazywać bardzo wiele, woalka doskonale spełnia swą rolę, zasłaniając to, co ma zostać zasłonięte, a odsłaniając fragmenty twarzy wzbudzające pożądanie.

Ta woalka pełni też inną rolę - jest rodzajem magicznego afrodyzjaku, wzmacniacza doznań, akceleratora pożądania.

Woalka, tak.

Należała do Karli. Była najcenniejszym przedmiotem, jaki stanowił własność dziewczyny. Prawdę mówiąc - jedynym cennym przedmiotem.

Karla wkładała ją, ilekroć przyjmowała klienta. Elah wyjaśniał, że gdyby nie zasłona, zobaczylibyśmy prawdziwą twarz nałożnicy. Twarz, która wcale by się nam nie spodobała.

Gdy dochodzi do zbliżenia, mówił głosem beznamiętnym, przypominającym monolog nieco znudzonego wykładowcy, femina traci kontrolę nad własną cielesnością. To, co widzisz, to maska. Piękna, przyznaję, ale na mnie nie działa - ja widzę również jej prawdziwe oblicze córki Panny Rozpustnej.

Na pytanie, jak to możliwe, wruszał tylko ramionami. Był elfem - czyż to nie oczywiste?

Femina, tak; tak właśnie brzmiała kolejna teoria mojego przewodnika, nieustającego w dociekaniach i wysiłkach prowadzących do odkrycia tożsamości Karli. Myślę, że w taki sposób wyrażała się elfia fascynacja dziewczyną, na to, by podążyć moim śladem, czuł się zbyt prawy, zbyt szlachetny, zbyt „matczyny”.

Dla mnie, dla Trzynastego z Miotu i dla wielu innych odwiedzających Karlę to, do jakiej

rasy należała, nie miało jednak najmniejszego znaczenia, a woalka tylko dodawała dziewczynie uroku.

Znalazłem ów kawałek materiału, już nieaktywny, zwykły, choć miły w dotyku, porzucony na progu pokoju Karli wieczorem, tego dnia, kiedy siły Królikarni wkroczyły do naszej dzielnicy.

Widziałem ich z okna, kiedy pojawili się w oddali, wychodząc zza zakrętu. Szli zdecydowanym krokiem, z okien kilku domów posypały się strzały, tu i ówdzie coś wybuchło, gdzieś w zaułku rozległ się suchy trzask wyładowania ezoterycznego, ktoś nawet został ugodzony, upadł, ale większość pocisków wymierzonych w specjalnie szkolony w walkach miejskich oddział odbiła się od tarcz i zakłęk. Snajperzy nadzwyczaj sprawnie uciszyli tych, którzy chcieli protestować, po czym część żołnierzy rozpierzchła się po okolicznych budynkach.

Kogoś szukali.

Karla z miejsca pobladła, zwłaszcza dostrzegając białe kaptury Łowczych, wypchnęła mnie od siebie, na moment unosząc woalkę, całując na pożegnanie.

Idź, szepnęła, powiedz swoim.

Kiedy wróciłem do pokoju, Elah czekał w pogotowiu, trzymał w dłoni jakieś fiołki, już wyjaśniał, że musimy się ukryć, przeczekać, że ci z Królikarni w najlepszym razie wezmą nas za kolaborantów lub szpiegów, w najgorszym zaś za przemienionych przez Dziwkę. Dlatego, klarował, szykując pospiesznie migotliwy płyn, trzeba się ukryć przed ich detektorami, zniknąć, zapaść w letarg, w niebyt, rozpląnąć się w magii. Nim zdołałem zaprotestować, w moich ustach znalazła się przyjemna w smaku, migotliwa ciecz, serum wytłumiające aurę, eliksir niewidzialności, balsam nieistnienia. Pogrążając się w półsen, choć wciąż świadomy - bezwładny, szorując plecami po ścianie, zjechałem na podłogę i zastygłem.

A potem były tylko strzały i krzyki, krzyki i strzały.

Strzały i krzyki.

Krzyki i strzały.

Wybuchy.

Strzały i krzyki.

Najpierw doszły nas z końca ulicy, przytłumione odległością, ciężkimi ścianami, eliksirem - jeszcze niewyraźne. Zbliżały się szybko, bardzo szybko; wraz z penetrowaniem kolejnych domów wrzaski stawały się coraz to głośniejsze, strzały pobrzmiwały coraz bardziej złowrogo. Po jakimś czasie (minuta? godzina? kwadrans? - eliksir mieszał mi w głowie), potrafiłem dokładnie powiedzieć, ile wystrzałów padło w danej serii, a nawet

mógłbym się pokusić o rozpoznanie rodzaju broni, z której strzelano. Wiedziałem też, że to byli fachowcy, strzelali wtedy, kiedy pojawiała się taka konieczność, nie marnowali amunicji (co często zdarza się młodym żołnierzom upajającym się swoją świeżo zdobytą potęgą). Zabójcy.

Krzyki i strzały zbliżały się niepokojąco szybko. Wkrótce dotarły również do naszego zajazdu. Sparalizowany, przytulony do ściany w ciemnym pokoju, wpatrzony w sufit, zapamiętałem tylko dźwięki.

Pukanie do drzwi - głośne, zdecydowane, nieznoszące sprzeciwu. Ciężkie kroki barona de Tredeach. Krzyki i polskie przekleństwa. Strzały. Brzęk tłuczonego szkła. Kolejne strzały. Tupot na schodach. Chwila ciszy. Uderzenie w drzwi (najpewniej kopniak), jęk zawiasów, strzały, „jebany skurwiel”, wykrzyczany na całe gardło, spokojne „To nie on!”, skrzyp desek na korytarzu, kroki, kolejne kopnięcie, kolejny jęk zawiasów, kolejne „tok, tok” - dwa wystrzały. Ta sekwencja dźwięków - kroki, kopnięcie, wystrzał, przekleństwo i „to nie on” powtarzała się wielokrotnie, i zbliżała się coraz bardziej. Po kolejnym powtórzeniu zrozumiałem - teraz nasza kolej.

Więc były kroki, było kopnięcie w drzwi, jęk zawiasów...

- Pusto, kurwa.

I jeszcze drugi głos.

- De Tredeach, gadaj, gdzie on jest. Za co ci, skurwielu, płacimy? Zapomniałeś, kurwa, pod jakim warunkiem pozwoliliśmy ci spierdolić z Północy?

Bezladne tłumaczenia oberżysty, z których można zrozumieć tylko tyle, że nie wie, o co przybyszom chodzi, odgłos uderzenia otwartą dłonią w twarz, jęk.

- Czarownik! Dostaliśmy wiadomość. Jest w mieście. Wnętrznosci pokazują, że to ta dzielnica. Ten zajazd! Ktoś tu jeszcze mieszka?

Mutant odpowiada coś, czego nie udaje mi się usłyszeć, lecz po oddalających się krokach poznaję, że odchodzą. Oddycham z ulgą, ale wtedy dobiega mnie odgłos kroków i skrzypienie schodów.

Znam ten dźwięk, nauczyłem się go na pamięć.

Tak skrzypią schody na kolejne piętro.

Karla.

Chcę krzyczeć.

I znów słyszę dobrze już znaną sekwencję - kroki, kopnięcie, dźwięk zawiasów - ale po niej następuje zmiana. Najpierw jest ryk, zwierzęcy ryk, niepodobny wcale do głosu elfa czy człowieka. Pełne bólu krzyki, seria przekleństw po polsku, płaczliwe „mamo, mamo”, odgłosy szamotaniny i wreszcie zadowolony głos jednego z żołnierzy:

- No, ładne cacko...

A potem rozlega się rytmiczny, regularny dźwięk, który utrwalił się w mojej pamięci w ciągu kilku ostatnich tygodni aż nazbyt dobrze - dźwięk skrzypiącego łóżka Karli, rezonującego w rytmie pracujących ud. Skrzypienie zaczyna się powoli, ale szybko przyspiesza. by po kilku minutach urwać się zupełnie. I znowu. Skrzypieniu towarzyszą westchnienia kolejnych żołnierzy - wiem, że każdy z nich opada obok dziewczyny, wyczerpany i zaspokojony, a na jego miejscu zaraz pojawia się nowy. Słyszę, że Karla próbuje protestować, próbuje walczyć, ale nie przynosi jej to niczego dobrego. Jedno uderzenie, drugie, i dziewczyna uspokaja się, czekając na kolejną zmianę. Słucham tego, wpatrując się w sufit, będący jednocześnie podłogą pokoju Karli - gdybym mógł, pobiegłbym na górę, gdybym mógł, zacisnąłbym z wściekłości zęby, wrzeszczał na całe gardło, zaciskał pięści do krwi. Gdybym... lecz z moich ust, otwartych jak u narkomana, płynie struga śliny, mięśnie nie chcą mnie słuchać, obraz przed oczyma co jakiś czas się rozjeżdża.

Pozostaje mi tylko bezsilnie wpatrywać się w sufit.

Jedenastu.

Naliczyłem jedenaście powtórzeń.

Jedenastokrotnie przekląłem w duchu Wojsko Polskie, Królikarnię, Warszawę, Poznań, Białą Wieżę, Matkę i wszystko, co przychodzi z Północy lub nosi na sobie znak białego orła. Jedenaście razy moje myśli wypełniła czysta, nieskrępowana wściekłość i pragnienie, by wyrzucić na tych, którzy zaatakowali miasto, pomstę. Moją głowę zalały makabryczne obrazy, przerażające wizje wszechogarniającej hekatombi, ulice spływające krwią, tłumy rozszarpujące żołnierzy Królikarni.

A potem, nade mną, tak niedaleko, ledwie jedno piętro, rozległo się krótkie „tok, tok”. Straciłem przytomność.

Nie ma Karli.

Odzyskawszy przytomność, a wraz z nią władzę w nogach, od razu pobiegłem piętro wyżej. Od dobrych kilku godzin tajniacy z Królikarni byli już tylko wspomnieniem, zapewne dokonywali kolejnych mordów gdzieś w mieście, ale mnie to zupełnie nie obchodziło. Biegłem jak szalony, choć byłem pewien, co zobaczę. Przecież ja to już widziałem, wtedy, kiedy toczyłem pianę z ust.

Przedwidoki - to ponoć normalne po zażyciu specyfiku, jaki wlał mi w gardło Elah.

Nie ma Karli.

Martwa nie przypominała dziewczyny, którą znałem - wyglądała trochę jak harpia, paznokcie zamieniły się w ostre szpony, gdziekolwiek walały się kępy piór, a zęby, błyskające

spomiędzy rozchylnych sinich ust, miała ostre jak u drapieżnika.

Elah wiedział, co mówi - w chwili śmierci przestała kontrolować swoją prawdziwą naturę, teraz dopiero widziałem ją taką, jaka była naprawdę.

Walczyła.

Podłogę jej pokoju znaczyła krew. Dużo krwi. Porozrzucone sprzęty wskazywały na to, że tania nie chciała sprzedać skóry. Harpie - jak się później dowiedziałem - mają specyficznie rozwinięte poczucie godności, mimo że bardzo często mieszańce takie jak Karla (czyli feminy, krzyżówki człowieka z harpią) pracują jako prostytutki; gdy komuś odmawiają, traktują taką odmowę śmiertelnie poważnie i za tak pojmowane poczucie godności potrafią zginąć.

Nie ma Karli.

Wychodząc z jej pokoju po raz ostatni, nachyliłem się przy progu i podniosłem z podłogi zakrwawioną woalkę.

Nie wiem, co działo się ze mną przez następną dobę. Karla była przecież prostytutką, zwykłą nałożnicą, miała tysiące mężczyzn, a ja traktowałem tę znajomość jedynie w kategoriach zapewnienia sobie rozrywki, przyjemności.

Elah powiedział mi później, że przez cały dzień stałem na dachu zajazdu, wygrazając miastu i światu moją siedmiopalcząstą dłońią.

Walki zakończyły się kilka dni później.

Wojska Północy - połączone oddziały Królikarni i Białej Wieży przeważały, ja dorysowywałem kolejne czarne plamy na planie miasta, siły obrońców wyczerpywały się szybko.

Miasto upadało, musiało upaść.

- Nadchodzi horror - mrucał jednak baron de Tredeach, skulony, stłamszony, schowany za kontuarem, popijający brudnobrązową ciecz. Spotkanie z oddziałami specjalnymi i demaskacja jego podwójnej gry (choćby przed nami) miały niszczycielski wpływ na jego psychikę - gospodarz zajazdu rozpadał się z każdym dniem. O ile wcześniej zmiany spowodowane magią zatrzymały się w połowie jego ciała, to spotkanie z tajniakami musiało oznaczać jakiś przełom, jakąś zmianę, upadek wewnętrznych tam. Druga, ludzka połowa natury barona ustępowała miejsca zwierzęcej, naga do niedawna skóra zaczęła porastać kępki sierści, mówił coraz mniej składnie, chaotycznie, jak gdyby każda myśl sprawiała mu trud. Nie

potrafił też wyjaśnić, co miał na myśli, mówiąc „nadchodzi horror” - pytania zdawały się do niego w ogóle nie docierać. Wciąż tylko to swoje „nadchodzi horror”. I jeszcze: „To Czarownik przywołał. Czarownik”.

Mamrotał tak od kilku dni, spoglądał na nas przestraszony, nie docierało do niego to, co działo się za oknami: strzelaniny, pożoga, jęki, eksplozje, głód. Królikarnia stawała się coraz mocniejsza, Królikarnia opanowywała coraz większe połacie metropolii, Królikarnia triumfowała, a moje złorzeczenia wykrzyczane na dachu po śmierci Karli zdawały się nie mieć żadnego efektu.

Aż przyszedł horror.

Horror.

HORROR.

Horrory, zgodnie z kanonami znanymi na Ziemi, dzieją się w nocy, w opuszczonych domostwach, pośród lasów lub samotnych grobów. Jak opisać horror, wydarzający się w mieście, w środku dnia? Jak opisać horror, w którym nie prześladowa nas duch zamieszkujący nawiedzone domostwo? Jak opisać horror, w którym nie ma żadnej nadprzyrodzonej interwencji, przejścia do innego świata? Nasza kultura nie daje nam tutaj odpowiedzi, przyzwyczajając do wytartych schematów, fraz, scenerii, podsuwających fałszywe tropy i złudne skojarzenia.

Trzeba więc sięgnąć po inne metafory.

Horror w Trzecim Świecie przypominał mi karnawał w Rio - z tą tylko różnicą, że był to karnawał bezwzględnej przemocy, ludzi odurzała nie miłość i używki, lecz krew, przemoc i wściekłość. Horror w Trzecim Świecie to zbiorowe szaleństwo, to starcie każdego z każdym, to niekontrolowany wybuch agresji. Horror to dzieci rzucające się z gołymi rękami na zdeorientowanych żołnierzy Królikarni, horror to dojmująca potrzeba przelewu krwi - silniejsza niż instynkt samozachowawczy, niż głód, ból i jakiegokolwiek uzależnienie. Horror to wkładanie palców do oczu, przegryzanie tętnic szyjnych. Horror to skoki z dachów budynków na idących ulicą najeźdźców. Horror to bratobójcze walki - bo kiedy nie ma przeciwnika z Północy, to i tak z kimś trzeba walczyć, kogoś zabić, rozszarpać, zdeptać, zobaczyć krew, posmakować. Horror to oszalałe zwierzęta całymi watahami atakujące wszystko, co spotkają na swej drodze. Horror to rynsztoki pełne posoki. Horror to ożywione trupy, podnoszące się z ziemi zaraz po śmierci, znów atakujące, znów zabijane, znów zmartwychwstałe, i znów rozszarpywane przez innych.

Horror wreszcie to popadający w obłęd, jeden po drugim, żołnierze Królikarni; strzelający do siebie nawzajem, detonujący granaty we własnych dłoniach, wbijający noże w

plecy swoim kolegom z oddziału, odpalający ładunki w stronę własnych helikopterów. Horror to wybuchające w powietrzu myśliwce, to wóz pancerny rozjeżdżający oddział piechoty. Horror to artyleria strzelająca w stronę swoich.

Horror to śmierć połowy ludności miasta i wszystkich, co do jednego, oblegających miasto.

Ocaleliśmy. Ełah, jak zawsze w porę, zaryglował drzwi od pokoju, wzmocnił je jakimś zaklęciem i jakimś malunkiem, a na dodatek podał nam wszystkim owo paraliżujące serum. Kiedy odzyskaliśmy władzę w nogach, po trzydziestu kilku godzinach, było już po wszystkim. Ulice puste, wyludnione, wszędzie natykałeś się na zwłoki. Kiedy schodziłem na parter zajazdu, uderzyła mnie głucha, trupia cisza - tak jak gdybyśmy pozostali jedynymi żywymi mieszkańcami zajazdu. Kilka kroków - i zobaczyliśmy barona de Tredeach: leżał martwy, wczepiony szponiasto palcami w gardło również martwego kupca z Północy mieszkającego dwa pokoje od naszego.

Ostatnie już spojrzenie na rozłożony przede mną plan miasta przypomina mi też o uldze. Uldze, jaką czułem, opuszczając spustoszone, pachnące suchym dymem ruiny. I grób Karli, który został gdzieś tam, pośród tej ruiny.

Ach, jak ja wtedy marzyłem, by móc - tak jak ów mityczny Czarownik - przemieszczać się w czasie.

FOTOGRAFIA 11 - WIEŻOWCE

Skoro jesteśmy już przy trzecioświatowych miastach, pora wziąć do ręki kolejną fotografię. Na pierwszy rzut oka mogłaby zostać zrobiona w wielu miejscach na Ziemi, w wielu ziemskich metropoliach. Przedstawia bowiem - a przynajmniej tak wydaje się z daleka - typowe miasto zachodniej cywilizacji. Mamy zatem na zdjęciu bloki i wieżowce, mamy wiadukty, wieże ciśnień, ekrany wytłumiające hałas, wyasfaltowane jezdnie, linie energetyczne, mamy anteny i kominy.

Dopiero przypatrzwszy się obrazkowi bliżej, zobaczylibyśmy, że te wszystkie budowle

różnią się od tego, co można zobaczyć dajmy na to w Polsce. Jeszcze lepiej byśmy się o tym przekonali, gdyby udało nam się rozkruszyć kawałek ściany jednego z wieżowców, sprawdzając, z czego został zbudowany; zauważymy na przykład, że nie ma tu prawdziwego betonu, żelaznych konstrukcji, tym betonem zalewanych, nie znajdziemy również cegieł czy innego rodzaju budulca, znanego nam, przybyszym ze Smutnego Świata (tak nazywają naszą rzeczywistość ci, którym mówię, że Ziemia nie jest światem przesyconym magią). Surowiec, użyty do postawienia miasta uwiecznionego przeze mnie na zdjęciu, jest w tych okolicach bardzo tani i powszechni.

Wszystkie te konstrukcje, które tak imponująco się przedstawiają, zrobiono z rzeczno-
błota i mułu.

Jak to się trzyma, ktoś zapyta?

Ano, trzyma się na Słowo. Pod Matką, na Północy, powstanie takich budowli nie byłoby możliwe, tamtejsza magia jest zbyt słaba, lecz w świetle Dziwki okazuje się to jak najbardziej realne, czary rzucane przez tutejszych czarnoksiężników są bardziej trwałe, dzięki czemu nie ma obaw, że te wszystkie wieżowce, mosty i wiadukty rozpadną się w proch, z którego powstały.

Do wyjaśnienia pozostaje jednak, skąd miasto żywcem wyjęte z jakiegoś postindustrialnego świata, wyglądające na pamiętające epokę rewolucji przemysłowej, czas eksplozji demograficznej i erę motoryzacji, znalazło się tutaj, w Trzecim Świecie, pośrodku piaszczystego pustkowia? Dokąd prowadzą szerokopasmowe drogi, wychodzące z miasta, jeśli nie ma dokąd jechać? Kto miał pracować w tych wszystkich biurowcach, skoro tutejszy świat, a zwłaszcza jego południowa część, doskonale obywa się bez jakiegokolwiek biurokracji? Kto miał stać przy taśmie montażowej w tutejszych fabrykach, skoro niczego się tutaj nie montuje? Dlaczego z dachów najwyższych budynków sterczą konstrukcje, przypominające anteny sieci komórkowych, skoro w tym świecie nie działają telefony? Po co komu dworzec, jeśli miast na Południu nie łączy żadna sieć kolei żelaznej?

Wytłumaczenia, jak zwykle, należy poszukiwać w głowach.

Terraborough - bo tak nazywa się miasto uwiecznione na zdjęciu - wzniesiono kilkadziesiąt lat temu, zanim jeszcze aktywność Dziwki wzmogła się na tyle, by przeważać szalę globalnych zmagania na korzyść Południa. W tamtym czasie (sądzę, że władarze Białej Wieży i generałowie Królikarni muszą wspominać ów czas z prawdziwym rozrzewnieniem i nostalgią), Północ, wspomagana ziemską technologią, święciła liczne triumfy, wygrywając z Południem na każdym możliwym froncie. Po stronie władców państweczek oświetlanych przez Rozpustnicę zrodziło się więc pytanie: co zrobić, aby podjąć rękawicę?

Diagnoza jednego z nich, właściciela Terraborough, z pozoru wydała się słuszna: skoro najeźdźcy są tak potężni, należy się do nich upodobnić, naśladować wzorce, a że w tym wypadku najeźdźcami byli przybysze z Ziemi, należy upodobnić się właśnie do nich.

Gorzej z realizacją.

Oczyrna wyobraźnia widzę wielkiego Gorotha (to upiór, jeden z licznych sług Dziwki, władający królestwem, w którego sercu właśnie powstaje Terraborough). Widzę, jak sprowadza ziemskich architektów i urbanistów (uprowadzonych z Białej Wieży), widzę, jak przygląda się fotografiom ziemskich miast, jak z uznaniem, mającym pokryć całkowity brak zrozumienia, kiwa wielką rogatą głową. Widzę go również, jak przechadza się po placu budowy - tam rozbłysk i seria inkantacji, tu znów grupa niewolników ciągnie wielką drewnianą przyczepę z błotem, mającą posłużyć za budulec do wzniesienia stupełtrowego wieżowca - kwatery Gorotha. Ziemscy deweloperzy powiedzieliby „Goroth Tower”.

Goroth, srogi władca, przypatruje się swoim, trzykroć mniejszym od niego poddanym, spod kaptura, czasami tylko go zdejmie, by pokazać nieludzki, wykrzywiony w grymasie dziwnej satysfakcji pysk. To jakiegoś opieszalego robotnika skarci uderzeniem potężnej, uzbrojonej w pazury dłoni (rzadko kto przeżyje takie uderzenie), to pochwali któregoś z czarnoksiężników wznoszących właśnie wielką halę magazynową, w której nic nie będzie magazynowane, najczęściej jednak milczy, wystarczy, że spaceruje ulicami, z wolna upodabniającymi się do ziemskich.

Taka budowa, rzecz jasna, kosztuje - nawet na Południu pieniądź odgrywa istotną rolę, a zatem Goroth musi coraz to głębiej sięgać do kieszeni, opróżniać kolejne skarbce, kolejne kufry, swoje i swoich podwładnych. Królestwo Gorotha pogrąża się więc w biedzie, dyszy ostatkami sił, lecz obłąkany władca nie dostrzega tego, zamiast poluzować, odpuścić, spowalniając prace konstrukcyjne, jeszcze bardziej przykręca śrubę: systematycznie grabi ludność, całe tysiące poddanych wymienia na żywą gotówkę (Goroth powoduje krótkotrwałą zawieruchę na tutejszym ustabilizowanym od wieków rynku niewolników, na którym ceny zaczynają spadać na łeb, na szyję), innych znowu zastrasza, zmuszając, aby pracowali za darmo, ponad siły. Efekt takiego postępowania jest tragiczny: część ludności królestwa wymiera, część emigruje, dochodzi nawet do tego, że poddani Gorotha biją się o to, by sprzedano ich do któregoś z sąsiednich państw jako niewolników, uchodzi to w tamtych czasach za rodzaj wyróżnienia, daje pewną szansę przeżycia. Podejrzewam, że gdyby dokonać bilansu trupów, budowa Terraborough pochłonęła ich więcej niż niejedna ofensywa Królikarni.

Finał tej historii jest równie tragiczny, jak jej bieg - Goroth zostaje sam, z pustym państwem, bez podwładnych, z ziemskim miastem pełnym wieżowców, lecz bez Ziemian,

mogących tchnąć w nie życie. W efekcie upiór popada w całkiem ludzki obłąd, osuwa się w ciemność, znika. W ościennych państwach powiada się wprawdzie, że jeszcze do tej pory zamieszkuje Goroht Tower - największy i najpiękniejszy z drapaczy chmur w swoim bezludnym, dziwacznym cmentarzysku - ja jednak, będąc tam, nikogo nie spotkałem.

Tylko gniazdo sępów, uwite na dachu jednego z wieżowców.

Spacer tymi ulicami robił naprawdę niesamowite wrażenie - trzeba by tutaj wyobrazić sobie Warszawę, Paryż czy Manhattan zupełnie puste, ani żywego ducha, jak z powieści katastroficznej. Ta myśl wyda nam się tak absurdalna, że zaraz pomyślimy o taniej fantastyce - a w Trzecim Świecie takie miasto istnieje naprawdę!

Co uprzytamnia mi, że Trzeci Świat, a bardziej konkretnie - Południe, to kraina nieograniczonych możliwości.

Niestety, najczęściej możliwości zmarnotrawionych.

SZKIC NR 6 - PUŁAPKA

Przyglądając się następnemu w kolejności szkicowi (podczas tej podróży wykonałem ich wyjątkowo wiele), dochodzę do wniosku, że właśnie w takich rysunkach zakląłem tajemnicę tego świata, choć nie potrafię jej do końca opisać.

No, bo cóż mam na kartce?

Plan sytuacyjny, nic wielkiego. Nieprzeliczone rysunki tego typu można byłoby znaleźć i w ziemskich książkach. Ten konkretny przedstawia widziane z lotu ptaka: okrągły kamień, czaszkę młodziutkiego, smoczego pisklaka, dwie gałęzie położone jedna na drugą, obrys kałuży - mokrej, czerwonej plamy (to krew jagnięcia). Nieco dalej tkwią dwa słupy, pokryte szeregami nieczytelnych znaków i jeszcze kolejny głaz, również oznaczony jakimś symbolem (Południowcy, o ironio, wykorzystują do wypisywania inkantacji sprowadzane z Ziemi farby w sprayu). Opisywane punkty zlokalizowane są dookoła drogi przechodzącej przez środek szkicu. I to, w zasadzie, wszystko!

Mieszkaniec Ziemi powie: nic szczególnego. Nawet jeśli od jednego punktu do drugiego przeciągniemy linie, które ułożą się w symbol, jakim na tych terenach oznacza się pajęczynę, dla Ziemianina nadal nie będzie to miało istotnego znaczenia.

Tymczasem pajęczyna to pułapka. To zakłęcie paraliżujące wszystkie członki, zniewala, zamienia nas w łup, w żer, zdolny jedynie do tego, by cierpliwie czekać na drapieżnika, który

ową pułapkę rozsunął.

Wjechaliśmy w nią na pełnym gazie, zupełnie nie dostrzegłszy, w co się pakujemy.

Pierwsza godzina upłynęła nam na czekaniu. Elah klął pod nosem, bo kończył się czas spokoju i aktywność Panny Swawolnej narastała z każdą chwilą, ja jednak miałem bardziej przyziemne zmartwienia: bałem się mianowicie, czy przeżyjemy spotkanie z budowniczym pułapki.

Pamiętam tamte chwile po wjeździe w pajęczynę tak, jak gdyby zdarzyły się ledwie wczoraj, ba, jakby dzieliły mnie od nich minuty, nie miesiące.

Najpierw to dziwne wrażenie, że świat, czas, życie spowalniają. Potem pojawia się strach; to wtedy, kiedy widzimy, że zastygliśmy w miejscu. Wreszcie, wraz z telepatycznym przekazem Elaha (mówić nie mógł, zakłęcie sparaliżowało wszelkie ruchy), pojawia się zrozumienie.

Pułapka.

Bez wyjścia.

Czekamy więc.

O dziwo, nie czuję żadnych niewygód związanych z tym, że pozostaję w dziwnej pozycji (gdy wjechaliśmy w pajęczynę, właśnie podnosiłem się na fotelu i tak już zastygłem - nogi zgięte w kolanach, tyłek z dziesięć centymetrów nad siedzeniem, głowa lekko przekrzywiona) - mimo wszystko nie przeszkadza mi to, mam wrażenie, że ktoś zaaplikował mi znieczulenie, prosto w kręgosłup.

Całkiem humanitarny sposób łapania ofiar.

Czekamy.

Dziwka zaczyna palić porządnie, i modłę się tylko o to, by filtry, którymi posmarowaliśmy skórę, wytrzymały. Czy zaraz moja siedmiopalczysta dłoń zmieni się jeszcze bardziej? A może dłoń druga, ta normalna, dołączy do pierwszej, również ulegając jakiejś deformacji? Czym się stanę, kiedy czar wreszcie ustanie?

Czekamy.

Wciąż ten sam cholerny widok, nie można nawet odwrócić głowy czy zamknąć oczu - muszę obserwować usiany kolczokrzakami i dziwodrzewami rudy bezkres przed sobą. Wciąż i wciąż ten sam monotony widok.

Pierdolony widok.

Jebany widok.

Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.

Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.

Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.

Niech wreszcie przyjdą ci, którzy zastawili tę pułapkę, i niech mnie zabiją, zjedzą, zgwałcą. Cokolwiek.

Przeklęty widok.

Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.
Kamień, zakole szosy, dziwodrzewy, kolczokrzaki.

Mija kilka godzin. Dziwię się, że wciąż żyję.

Kiedy więc po kilku następnych godzinach słyszę jakieś słowa, kiedy uświadamiam sobie, że słowa te wypowiedziano po polsku, chce mi się śmiać. Podskoczyłbym z radości - gdybym mógł. Uśmiech jednak szybko zamiera mi na ustach, gdy właścicielka słyszanego głosu przesłania mi kamień, zakole szosy, dziwodrzewy i kolczokrzaki.

Nadal mówi po polsku, lecz nagle przestaje mnie to cieszyć.

Mam przed sobą coś w rodzaju centaury - pod warunkiem że zamiast konia - jako zwierzęcą połówkę tej istoty podstawimy pająka. Czy może raczej pajęczycę, klekoczącą odnóżami, drapiącą piach, wydzielającą kwaśny, chemiczny odór, która odwraca się do mnie, nie przestając mówić po polsku (przy czym co drugim wypowiedzianym słowem jest „kurwa”). Spoglądam na smukłe, dziewczęce ciało, cudownie opalone, na foremne piersi, ani za duże, ani za małe (kobieta jest całkowicie naga), na kasztanowe włosy, związane w zadziorny koński ogon i dochodzę do wniosku, że w Polsce mogłaby uchodzić za prawdziwą piękność, za modelkę.

Gdyby rzecz jasna pokazywali jej zdjęcia sięgające do pasa, nie dalej. Albo gdyby zamiast paskudnego, ogromnego odwłoka, połyskującego chityną i miejscami obrośniętego dziwnym futrem, miała zgrabne, odziane w seksowne buty nogi.

Kiedy zaczyna mi się przyglądać i mówi „Co się gapisz, chuju”, podejrzenie, które żywię od paru minut, przeradza się w pewność. Uświadamiam sobie, że faktycznie mam przed sobą Polkę, rodowitą, gdzieś ze wschodu, może spod Lublina lub Chełma, tego akcentu nie można nauczyć się gdzie indziej, z nim trzeba przyjść na świat. Uprzytomniam sobie również, że to, iż jesteśmy jednej krwi, z jednego narodu, nie ma teraz najmniejszego znaczenia, a dziwna istota akurat moją narodowością najmniej będzie się przejmowała.

Mimo paskudnego położenia, w jakim się znalazłem, narzucają się oczywiste w takim momencie pytania: w jaki sposób stała się tym, kim się stała? Jaki to czar ją w ten sposób przekształcił? Jaki czarnoksiężnik? Czym zasłużyła sobie na taki los?

Jak się już wkrótce okaże, moja ciekawość zostanie zaspokojona.

- Dobrowolnie przyjąłem jej ukłucie - powie mi później, kiedy jej przybocznicy (wiele małych pajaków, niewykazujących - Bogu dziękować - żadnych ludzkich cech) zanoszą mnie, Elaha i Trzynastego z Miotu do ciemnego, wilgotnego gniazda. - Nie wpadłem w zasadzkę, tak jak ty.

Po czym, pojawiwszy, kim jestem (okazuje się, że czytała niektóre wczesne moje reportaże, zanim wyruszyła do Trzeciego Świata!), rozpoczyna opowieść. Mówi mi, kim była; z jej słów wyziera młody, bardzo oddany swemu powołaniu naukowiec, przybywający do Trzeciego Świata, aby badać tutejszą faunę. Badania - początkowo obiecujące - przynoszą stopniowo coraz większą frustrację, kiedy okazuje się, że żelazne reguły znane z Ziemi tu nie działają lub, w najlepszym razie, pełne są wyjątków. Spotyka więc Renata Parzycka (tak się nazywała kiedyś, zanim nastąpiła przemiana) stworzenia, które - wzięwszy pod uwagę prawa fizyki - nie powinny latać (a latają!), istoty niemające wystarczająco rozwiniętych mózgow (a myślące),

przygląda się smokom, nie mogąc pojąć, w jaki sposób te bestie są zdolne do ziania ogniem, bada gadające szczupaki, dochodząc do oczywistej konkluzji, że ryby te pozbawione są całkowicie aparatu mowy. Ku przerażeniu dziewczyny jej własne obserwacje dowodzą, że teoria ewolucji została tutaj zawieszona: nowe gatunki istot żywych pojawiają się przy pierwszej lepszej burzy magicznej!

Wciąż broni się przed wyjaśnieniem, jakie samo, z przeraźliwą natarczywością po pewnym czasie się narzuca: owo brzydkie słowo „magia”. Dla naukowca racjonalisty pobyt w Trzecim Świecie musi wyglądać jak droga krzyżowa. Nie każdy taką trasę przetrwa. Biolog Parzycka w pewnej chwili nie daje rady - zaczyna się załamywać.

Do ostatecznego załamania się dochodzi, kiedy Renata jest na Południu, prowadząc tam obserwację bardzo nietypowego gatunku wielkich, inteligentnych pajaków - są to już lata, kiedy aktywność Dziwki wzmagą się, i nie sposób ochronić się przed tym wpływem. Wtedy jednak przybysze z Ziemi nie są w pełni świadomi niebezpieczeństwa, dostrzeżone zostanie ono znacznie później, dla Renaty Parzyckiej - stanowczo zbyt późno. Jest już wtedy „Szelobą” jak sama o sobie mówi po dokonaniu przemiany, jest niekwestionowaną królową pajaków, i zapewne - idę o zakład - jest również miss pajęczyny.

Lecz nie uprzedzajmy faktów.

Początkowo badania idą bardzo sprawnie, powstaje kilka tomów notatek, cały zespół (bo pani biolog towarzyszy zespół pomocników i kilku innych naukowców) czyni znaczne postępy, definiuje stopień inteligencji badanych stworzeń, szacuje wielkość populacji, cechy charakterystyczne, zachowania rozrodcze, problem w tym, że część badań, na przykład studiowanie anatomii - wiąże się z uśmiercaniem obiektów. Zabicie kilku sztuk nie wywołuje żadnej nieprzyjemnej reakcji, co usypia czujność ekipy badawczej i zabójstwa kolejnych stworzeń, coraz bardziej okazałych, coraz wyżej postawionych w pajęczej hierarchii. W końcu wśród zabitych znajdzie się, niestety, pierwotna córka pajęczej władczyni.

Okazuje się, że nawet w Trzecim Świecie matki - przynajmniej jeśli chodzi o zwierzęta - kochają swoje dzieci. Reakcja jest bardzo szybka i skuteczna: większa część ekspedycji zostaje zgładzona i zjedzona przez pająki. Życie zachowuje jedynie Renata i dwóch innych naukowców, którym pajęczycyca, świadoma własnych ograniczeń, składa propozycję nie do odrzucenia.

Dwójka pozostałych biologów mimo to ją odrzuca.

Renata Parzycka nie.

Opowiadając mi o tym, niegdysiejsza pani biolog nie potrafiła dokładnie wytłumaczyć, co wówczas zdecydowało, że powiedziała „tak” i przyjęła dobrowolnie ukąszenie pająka.

Może strach przed śmiercią? A może - nad tą odpowiedzią zastanawia się dłużej, stwierdzając wreszcie, że to chyba dobry trop, prawdziwy motyw - może zdecydowała nadzieja, iż ów śmiały krok pozwoli jej wreszcie zrozumieć prawa rządzące Trzecim Światem?

Nie od rzeczy będzie wspomnieć również (choć to już moje własne przypuszczenie), że przyjęcie pajęczej propozycji wiązało się z uzyskaniem całkiem wygodnego statusu, królowa - choćby królowa pajaków - to w Trzecim Świecie, przesiąkniętym wszędy i wzdłuż feudalnymi hierarchiami i takąż mentalnością, pozycja godna pozazdrosczenia.

Słuchałem tego wszystkiego cierpliwie, pewien, że w ten sposób odwlekam nieuniknione - czyli moment, kiedy ja i moi towarzysze zostaniemy skonsumowani przez gadające po polsku i rzucające kurwami monstrem. Okazało się jednak, że Renacie Parzyckiej (bo to właśnie ludzka, nie pajęcza część jej natury zdecydowała o naszym uwięzieniu) chodzi o coś zupełnie innego.

- Kochaj się ze mną - zaproponowała, nie pozostawiając jednocześnie złudzeń co do tego, jaki będzie nasz los, jeśli odrzucę tę prośbę. - Nie miałam mężczyzny od kilku lat.

Choć Elah i goblin, których paraliż ustępował wolniej niż mój, krzyczeli wniebogłosy, zaklinając mnie na Matkę, bym tego nie robił, spełniłem oczekiwania Renaty. Jeśli spoglądało się na nią w odpowiedni sposób, tak by wzrok i dotyk zatrzymywały się tylko na górnych częściach ciała, było to nawet przyjemne - choć spełnienie, siłą rzeczy, nie mogło się odbyć na sposób klasyczny (wymuszał to brak pewnych partii ciała), lecz francuski. Po kilkukrotnym powtórzeniu zbliżenia, pajęczyca uznała, że wystarczy.

Jesteście wolni, powiedziała, wskazując na nasze bagaże i pojazd, dostarczone w okolice jaskiń przez hordy mniejszych pajaków. Skłoniłem się, a ona na odchodnym posłała mi całusa i powiedziała coś, czego wówczas nie rozumiałem. „Wróć do mnie, kiedy twoje przeznaczenie się wypełni”.

Przez kilka kolejnych godzin jechaliśmy w całkowitym milczeniu, Elah spoglądał na mnie podejrzliwie i - jak przypuszczam - był zły, że nie zastosowałem się do jego rad (pytanie, czy wówczas ocalilibyśmy życie, pozostanie otwarte). Chyba dopiero wtedy zdałem sobie w pełni sprawę, jak mocny wpływ ma Trzeci Świat na nas, przybyszów z Ziemi. Z Polski.

Bo, jak się później okazało, Renata Parzycka nie była odosobnionym przypadkiem.

„Jan Kowalski”.

Tylko tyle ma mi do powiedzenia nasz rodak, kiedy pytam, dlaczego przyłączył się do stronników Dziwki. To młody chłopak, idę o zakład, że nie przesłużył nawet roku w Legii

Legendarnej Wojska Polskiego (tak oficjalnie nazywano wszelkie, poza Królikarnia, oddziały służące w Legendach). Sytuacja frontowa, skrajna, nie wydobyla z niego najlepszych cech. Gdy na niego natrafiamy, jest lokalnym kacykiem, parzy się jak królik z tutejszymi kobietami, nabył też miejscowych zwyczajów, jeśli idzie o stosowanie przemocy (ziemia między nami jest jeszcze wilgotna, tuż przed naszą rozmową krajan mój miał rozprawę z nie dość posłusznym podwładnym). Chociaż przedstawia się jako „Kowalski”, w niewielkim stopniu przypomina kogoś, kto kilka tygodni wcześniej (czasu ziemskiego) trafił do Trzeciego Świata. Widoczne są zmiany w odcieniu skóry (stała się ona „tutejsza”), uszy uległy nieznacznemu wydłużeniu, światło Dziwki wyostrzyło też Kowalskiemu rysy: teraz są one drapieżne i bardzo dobrze pasują do dwóch pasów amunicji, krzyżujących się mojemu rozmówcy na piersi.

Słyszę od niego zapowiedź zniszczenia Królikarni, zniszczenia Białej Wieży, słyszę wreszcie to, co Południe powtarza od długiego już czasu.

„Matka zgaśnie!”

To nieprzyjemne spotkanie, a widok rodaka w takiej kondycji jest szczególnie przygnębiający (choć, mierząc to tutejszymi kryteriami, Kowalski jest kimś, komu się powiodło: włada licznym klanem, jest po stronie sił, które przeważają, poza tym - inaczej niż w wypadku pani biolog Parzyckiej - nie musi wyrzekać się własnej natury).

Jak nazwać to, co się z nim stało?

Upadkiem?

A co jeśli on ma rację, myślę w pewnej chwili, obserwując niewzruszone przekonanie, z jakim mój rozmówca wyklada swoje racje. Co, jeśli dobro i zło są tylko złudzeniem, wywoływanym przez promieniowanie dwóch konkurujących ze sobą w niepojęty sposób gwiazd? W wielu kwestiach jego sądom nie można było odmówić słuszności: Biała Wieża niejednokrotnie zachowuje się równie okrutnie, jak sługi zła, a podła kondycja Południa w takim samym stopniu spowodowana jest brakami organizacyjnymi, niedorozwojem cywilizacyjnym i nieracjonalnym postępowaniem ludów zamieszkujących Trzeci Świat co działalnością Północy.

- Ale ja ciebie puszcę - mówi mi nagle Kowalski, nachylając się w moją stronę i niespodziewanie przechodząc na polski.

- Ja ciebie puszcę, jedź dalej, jedź. Wiesz dlaczego? Wiesz? Jesteś dziennikarz. Zobacz sobie, co ci twoi kochani „dobrzy” robią w tajnych bazach. Przyjrzyj się, do czego zdolna jest Królikarnia! No jedź, jedź! To niedaleko, na pustkowiu, moi ludzie cię podprowadzą, znają drogę, pokazałem im. Popatrz sobie. A potem to opisz. Może mnie zrozumiesz. Służyłem w Wylęgarni.

Równie nagle zdejmuję z ramienia karabin, i strzela - w powietrze, w piach, w swoich poddanych.

Obietnicy jednak dotrzymuje; oswobodzeni - następnego ranka ruszamy w dalszą podróż. Jedziemy w miejsce wskazane przez Jana Kowalskiego, na płaskowyż, gdzie pośród rzadkiej roślinności, czarnych magmowych skał i wciąż buchających ogniem małych wulkanów zlokalizowany jest tajny ośrodek badawczy Wojska Polskiego.

FOTOGRAFIA 12 - WYLĘGARNIA

Znowu zdjęcie mi nie wyszło, stwierdzam, zatrzymując wzrok na następnej fotografii - zamazanej i niewyraźnej. Zresztą trudno o dobre zdjęcie, jeśli robi się je ze znacznej odległości, a pomiędzy aparatem i fotografowanym obiektem znajduje się ze dwadzieścia kominów skalnych, którymi buchają w górę kłęby dymu i drugie tyle gejzerów, od czasu do czasu parskających parą. Niełatwo to opisać ziemskiemu czytelnikowi, porównanie z Islandią nie byłoby dokładne, lepiej sięgnąć do przebogatego skarbcza popkultury i wyciągnąć stamtąd obraz tolkienowsko-jacksonowego Mordoru.

Również patrząc na funkcję miejsca uwiecznionego na zdjęciu, dochodzi się do wniosku, że lepiej pasuje Mordor niż Islandia. Bo czy Islandia wykorzystywana jest do hodowli potworów, czy na Islandii zanurza się na przykład ludzi w sadzawkach retencyjnych, by nabrali właściwości magicznych, podczas gdy konsylium kilkunastu czarnoksiężników swymi zaklęciami formuje nowe, pożądane cechy: już nie człowieka, lecz hybrydy, dajmy na to, ze smokiem? Chcesz człowieka z głową byka - mówisz, masz (pamiętam, że Królikarnia podpisała bjoński kontrakt z Eurodisneylandem na dostarczenie prawdziwego Minotaura do nowo wybudowanego labiryntu, zastanawiałem się wówczas: skąd oni go wzięli, teraz już wiem). A może życzymy sobie, aby nasz nowy homo sapiens magicus miał skrzydła? - to również nie stanowi najmniejszego problemu, pan płaci, pan wymaga (wreszcie dowiedziałem się, skąd wzięły się lotne oddziały policji). Polski Koncern Budowlany wygrał przetarg na budowę mostu pomiędzy Niemcami a Danią i potrzebny jest do tego olbrzym, a najlepiej paru? Nie ma problemu, jest olbrzym jak się patrzy, prawdziwy chłop na schwał, lepszy niż ten naturalnego chowu, ci ostatni mają od czasu do czasu swoje narowy, swoje widzimisię - wytwór Wylęgarni natomiast (tak nazywa się to miejsce - nawet oficjalnie, właśnie taką nazwę można przeczytać na jednym z budynków), nie będzie sprawiał żadnych problemów.

Lecz to tylko przykłady najmniej kontrowersyjne.

Przewodnik, jakiego zaoferował nam Kowalski, prowadzi nas do punktów, z których widać naprawdę sporo, a na dodatek właściciele Wylęgarni wcale się ze swoim procederem nie kryją (najwidoczniej przypuszczając, że dostatecznie chroni ich niedostępna okolica).

Przede wszystkim przychodzi mi porzucić (złudną) nadzieję, że to miejsce nie należy do Wojska Polskiego; należy ewidentnie, świadczą o tym oznaczenia (biało-czerwone flagi, biały rysunek królika, literka K), świadczy o tym sprzęt, jaki można zauważyć w bazie, wreszcie - last but not least - twarze personelu (w okularze lornetki dostrzegam swoich rodaków, szczerze, słowiańskie twarze napuchnięte nieco od spożytego wczoraj alkoholu, jasne włosy, to bez dwóch zdań nasi).

Po drugie muszę przyznać, że jest gorzej, niż myślałem.

To wszystko, co odbywa się w tej bazie, jest ewidentną czarną magią - można się o tym przekonać choćby po symbolach, wyrysowanych na wszystkich budynkach i na placach przed budynkiem (wyglądają jak przeniesione do tej rzeczywistości rysunki z płaskowyzu Nazca) - i nie mam na myśli pentagramów czy odwróconych krzyży (choć też są, w towarzystwie trzech szóstek), lecz o wielu znakach tutejszego pochodzenia, przyzywających Dziwkę, kondensujących jej moc i pozwalających nad tą siłą zapanować. Nie dość tego - okazuje się, że zamontowano specjalne kadzie, a nad nimi system luster i soczewek, mający wychwytywać jak najwięcej światła Ladacznicy i kierować je na wodę - wykorzystywaną zapewne do produkcji potworów. Baczne oko wychwyci też destylarnie - z sadzawek retencyjnych spływa nasączona mocą Dziwki woda, następnie się ją odparowuje, zostawiając czystą esencję. Wolę się nie zastanawiać, co z nią później robią.

Przewodnik przerywa na moment moje obserwacje i wskazuje w przeciwną stronę. Ze wzniesienia, na którym się znalazłem, widać bowiem nie tylko Wylęgarnię, lecz położoną po drugiej stronie łańcucha górskiego ponurą równinę. Spoglądam w tamtą stronę przez lornetkę i widzę, że mam przed sobą prawdziwe Ziemie Jałowe, szmat przestrzeni czarnej, zadymionej i całkowicie spustoszonej. Wygląda to tak, jak gdyby ktoś wypalił pół równiny żywym ogniem.

Mają tam poligon, wyjaśnia. Tam testują swoje wynalazki.

Zastanawiam się, co też tam przetestowano? Mimowolnie wracam pamięcią do czasów konfliktu polsko-rosyjskiego, do zniszczenia Kaliningradu, Kazania i Władywostoku - widoki stamtąd i z równiny wyglądają tak samo, toczka w toczkę. Zastanawiam się, od jak dawna istnieje Wylęgarnia i czy właśnie tutaj po raz pierwszy przetestowano użyte w konflikcie z naszym wschodnim Wielkim Bratem żar-ptaki.

Przesuwam oko lornetki znów na bazę i przyglądam się poszczególnym, prostokątnym

blokom (jest ich bardzo wiele, z miejsca, w którym stoję, widać ich ponad trzydzieści, choć wiem, że to nie wszystkie, a do tego dochodzą rozległe podziemia). Budynki oznaczone są symbolami - na jednym widnieją nietoperze (czyżby produkowali tam wampiry do jednostek specjalnych?), jest i wilk, jest smok, dalej stoi blok oznaczony podobizną sowy, piktogramu przedstawiającego węża też rzecz jasna nie może zabraknąć w takim towarzystwie. Dalej idą jeszcze inne malunki: centaur, oko, ptak, gorgona, gryf, kruk, jaszczur, ważka, mucha, żądło, kot...

Ale na produkcji żywych stworzeń działalność tego upiornego miejsca się nie kończy; Wylęgarnia to również zakład przemysłowy, wytwarza się tu amunicję (na taką nic nie poradzą ziemskie kamizelki kuloodporne), różnego rodzaju preparaty (między innymi trucizny i substancje odurzające) i przedmioty z pozoru zwykłe, takie jak noże, pałki policyjne do tłumienia demonstracji (wielokroć bardziej skuteczne niż te wytwarzane na Ziemi, słyszałem że jedno uderzenie potrafi skruszyć mur), tarcze, też przeznaczone dla oddziałów prewencji, i masę innych rzeczy, jakich nie udało mi się zidentyfikować.

Choć częściowo linie produkcyjne zlokalizowano na wolnym powietrzu, co pozwala na w miarę dokładną obserwację fragmentu całego cyklu produkcyjnego, sporo jednak skrywają budynki, do których oczywiście nikt nie pozwoli mi wejść. Dość długo rozmyślałem (nie dochodząc wszakże do praktycznej konkluzji), jak się dowiedzieć więcej, zrezygnowany chciałem machnąć na to ręką, gdy tymczasem człowiek przydzielony mi przez Kowalskiego mówi nagle: „Ja opowiem”.

Początkowo podchodzę ze sceptycyzmem do tej propozycji, zastanawiające, dlaczego Królikarnia miałaby do swoich najmroczniejszych tajemnic dopuścić osobę pochodzącą stąd i to jeszcze z Południa. Elah też podpowiada, bym nie wierzył w słowa Południowca, bo każdy Południowiec to oszust. Wkrótce sprawa się wyjaśnia (przydzielony nam osobnik okazuje się ofiarą owych eksperymentów, na pytanie, w jaki sposób udało mu się przeżyć, z prostotą odpowiada, że ocaliła go Panna Wszeteczna i łut szczęścia, pozwalając uciec przez kanał ściekowy). Dlatego decyduję się go wysłuchać, mimo nieustających zastrzeżeń zgłaszanych przez elfa - przecież to ja dowodzę wyprawą!

Słucham więc o czarnych kotłach służących do przygotowywania koszmarów, jakimi można zatruć noce całych miast. Wykorzystuje się do ich produkcji żywe istoty - te posiadające inteligencję - podsuwając im możliwie najbardziej makabryczne obrazy. Następnie wysysa się ich psychikę do specjalnych akumulatorów (najczęściej wyglądają one jak najzwyklejsze w świecie przedmioty - może to być na przykład kamień, cegła, belka stropowa, kwietnik - coś, co łatwo ukryć, a trudno odnaleźć). To ostatni hit, nowa broń, z której Wojsko Polskie jest tak

bardzo dumne, słyszałem już o niej wcześniej, choć nie wierzyłem.

Nazywają ją terroryzmem emocjonalnym.

Sposób działania jest banalnie prosty i polega na zsyłaniu na całe wrogie metropolie nieustannych koszmarów; ledwie zamkniesz powieki, już twój umysł zalewają okropności i makabreski, serce, zamiast odpoczywać, przyspiesza, rzucasz się w łóżku, dyszysz, wreszcie budzisz się z krzykiem pośród ciemności - i tak kilkanaście razy w nocy. A wszystko to dzięki umieszczeniu w danym mieście jednego przedmiotu!

No, rzeczywiście, myślę sobie, czapki z głów.

Słucham dalej: o eksperymentach mających doprowadzić do stworzenia istoty zwanej „Morową Panną”; jak utrzymuje mój rozmówca, prace Wylęgarni były już daleko posunięte i między innymi te eksperymenty spowodowały, że okolica jest tak wyludniona.

Słucham o wielkiej hali pod ziemią, gdzie rozstawione są obrazy Beksińskiego i Boscha - na podobieństwo stworzeń nakreślonych ręką jednego lub drugiego mistrza tworzy się istoty z krwi i kości, zdolne do funkcjonowania, życia i działania podług rozkazu. Ostatnim tworem, jaki tam widziałem, mówi Południowiec, były Ptaki - demony odziane w długie szare płaszcze, o ludzkiej posturze, mające ptasie głowy, ozdobione długimi dziobami. Podobno potrafiły latać.

Podobno żywiły się nadzieją, pozbawiając jej tych, którzy pozostawali w zasięgu ich żerowisk.

Podobno wywieziono je z Trzeciego Świata, zamrożone w połyskujących metalem skrzyniach, zabezpieczonych inkantacjami.

Chłopak od Kowalskiego nie wie, dokąd Ptaki jechały, gdzie zostaną rozmrożone i kiedy. Ja zaś się zastanawiam, czy w ogóle chciałbym to wiedzieć. Tylko jedna sprawa nie daje mi spokoju, jedno wspomnienie, jeden widok: kwatera główna Królikarni, kilka miesięcy temu, mnisi, metalowe pojemniki sunące w powietrzu. Czy to na pewno były ciała poległych na wojnie polskich chłopców?

Inna znów sala - opowiada Południowiec niezrażony nieufnością okazywaną przez elfa, wskazując na jeden z hangarów stojących z tyłu, przesłonięty przez wcześniejsze budynki tak, że dostrzegam w zasadzie tylko jego cień - obwieszona jest czarno-białymi twarzami (domyślałem się, że w ten sposób Południowiec określa fotografie, pozostając wobec nich nieodmiennie nieufny). Zdjęcia te, jak zrozumiałem, służą za wzór, wykonuje się na ich podstawie małe odlewy z wosku - nie bardzo dokładne, lecz w zupełności wystarczające do tego, by laleczka voodoo zadziałała. Z opisu wnioskuję, że w Wylęgarni mają całą galerię postaci wszystkich możliwych Ziemi. Niech tylko któryś się wychyli, niech no stanie się

niewygodny...

Z tutejszych ziół uciera się rozmaite proszki i warzy się płyny wywołujące niemoc, szybsze starzenie się, śmierć.

Z tutejszych kamieni wytwarza się pozornie niewinne ozdoby, aby - podrzucone w odpowiednie miejsce - napełniły spokojny dotąd dom właściciela kłótniami, podejrzliwością i zdradą.

Tutejsza woda wykorzystywana jest do produkcji alkoholi, jakich używa się później, aby zniewolić daną osobę - taki drink potrafi uzależnić już przy pierwszym kontakcie, ten, kto go wypije, a następnie zostanie odcięty od źródła dalszych dostaw, zrobi wszystko, by otrzymać kolejną porcję.

O tym wszystkim opowiada mi tubylec, a w jego głosie pobrzmiewa uznanie dla rozumu przybyszów z innego, smutnego świata. W pewnej chwili stwierdza nawet z zazdrością, że takie pomysły nie wpadłyby do głowy nawet tutejszym, trzecioświatowym magom, wychowanym pod światłem Dziwki.

Istotnie, nie wpadłyby.

My, Ziemianie, nie mamy sobie równych.

Na obserwacji Wylęgarni spędziłem dwa dni. Z jednej strony okazało się to zajęciem trudnym do zniesienia, z drugiej wywoływało jakąś niezdrową ciekawość i fascynację. Trudno o lepszą okazję dla reportera - wiedziałem, że gdyby udało mi się przemycić informacje o Wylęgarni na Ziemię, byłaby to prawdziwa sensacja.

Poza tym muszę przyznać, że to przedsięwzięcie rzeczywiście wzbudziło moje zainteresowanie.

Mimo cennych informacji uzyskanych od tubylca przydzielonego mi przez Kowalskiego nie żywiłem do niego zaufania. Przebywał z nami zdecydowanie zbyt długo, zbyt wiele słyszał, mógł dowiedzieć się, jaki jest cel naszej podróży. Męczyło mnie przecucie, że z jego strony coś nam grozi - nie chciał odejść, nie udzielał jasnych odpowiedzi, lecz odniosłem wrażenie, że jak najdłużej chciałby nam towarzyszyć.

Oczywiście, można to wszystko wytłumaczyć tym, że był to młody chłopak, jak każdy młodzik, pod każdą gwiazdą - głodny nowych wrażeń.

Mógł jednak zachowywać się w podejrzany sposób również i z tej przyczyny, że otrzymał stosowne polecenia w tym względzie od Kowalskiego, próbującego nas śledzić, szpiegować. Ta hipoteza wydawała mi się bardziej prawdopodobna - po zastanowieniu doszedłem do przekonania, że jest to ryzyko zbyt duże.

Tak bardzo chciałem dotrzeć do Antymia.

Kiedy Elah, Trzynasty z Miotu i podwładny Kowalskiego jeszcze spali, odpoczywając po podróży, przyłożyłem do skroni chłopaka pistolet, załadowany - dla pewności - srebrnymi kulami i pociągnąłem za spust.

Z NOTATEK (12) - CI, KTÓRYCH NIE ZDAŻĘ SPOTKAĆ

Kiedy spoglądam na kolejną kartkę, przypomina mi się chwila, w której po raz pierwszy pomyślałem, że chciałbym tu zostać. To było wtedy, gdy zdałem sobie sprawę, ile jeszcze powinienem zobaczyć, co zbadać, aby powiedzieć, że mam pewne pojęcie o Trzecim Świecie. Myślenie tym towarzyszyła smutna konstatacja, że nie starczy mi na to czasu.

No, chyba że potrafiłbym wyczyniać z czasem to, co ów mityczny Czarownik; nie po raz pierwszy pozazdrościłem mu domniemanych umiejętności.

Więc sporządziłem listę - do tych miejsc nie dojadę, tych osób i społeczności nie poznam, nie ujrzę przedstawicieli tych a tych profesji, jakich próżno szukać na Ziemi - o ich istnieniu wiem tylko ze słyszenia, a opierając się na ustnych przekazach, trudno odśiać prawdę od zmyślenia. Najważniejsze pozycje w owym spisie przedstawiają się następująco:

1. Poławiacze syren

Gdzieś daleko, gdyby skrócić na zachód (łapię się na tym, że wciąż przystawiam do tutejszej geografii pojęcia ziemskie, podczas gdy zachód Matki i zachód Dziwki to przecież niezupełnie to samo), znajduje się ujście olbrzymiej rzeki. Rzeka ta, o nieznanym mi nazwie, zwana przez moich rodaków „Ściekiem”, ciągnie się z Południa, jej wody wygrzewają się w czerwonym, złym blasku, niosąc olbrzymie ilości skażonej wody. W tej właśnie wodzie, tam gdzie wpada ona do tutejszego oceanu, pławiają się syreny - stworzenia śmiertelnie niebezpieczne, lecz bardzo cenne. Są ich tam tysiące, pod powierzchnią wody przemykają całe ławice.

Moi krajanie, oczywiście, i na tym potrafią zrobić interes. Choć to robota piekielnie niebezpieczna, z wielkiego portu - zlokalizowanego w delcie Ścieku, spijającego ropę i inne surowce z tutejszych wód, dzień w dzień wychodzą w morze statki poławiaczy. Płyną w okolicy pobliskich archipelagów, prosto w szalejące tam sztormy, sobie tylko znanymi sposobami zabezpieczając się przed śmiertelnie niebezpiecznym wpływem na ludzi syrenich śpiewów, i polują na te stworzenia. Wyłapują je całymi setkami.

Podobno na nabrzeżu jest rzeźnia, w której córy morza się zabija, patroszy i obrabia - zamrożone mięso, rozbierane na części, idzie na Ziemię (stanowi rarytas, podawany w najlepszych restauracjach za oszałamiające kwoty, za prawdziwy przysmak uchodzi syrenia pierś). Nie mięso jest jednak powodem tych polowań, lecz łuska, wędrująca do zlokalizowanych w Trzecim Świecie fabryk kosmetyków, gdzie dodaje się ją do wszelkiego rodzaju kremów, błyszczyków do ust, odżywek i innych upiększaczy. Specyfiki te podobno odmieniają kobiety, dlatego na Ziemi ich ceny szybują pod sufit.

Tego portu, nabrzeża, okrętów, fabryk - nie zobaczę. Nie poczuję zapachu trzecioświatowego oceanu, nie spotkam syrenników, nie stanę na pokładach ich zachlapanych syrenią krwią łajb.

2. Poszukiwacze Graali

Ktoś może się dziwić: dlaczego chciałbym zobaczyć tutejsze składowiska odpadów, przecież i na Ziemi ich nie brak. Rzeczywiście, nie brak, choć uważne oko spostrzeże, że nowych nie przybywa - i to mimo wzrostu liczby ludności i dobrobytu.

Gdzie więc są te wszystkie śmieci? Odpady produkcyjne, trujące pyły, stare opakowania, zużyty elektroniczny sprzęt, nieprzydatny gruz, hałdy popiołu z pieców wszelkiej maści, dwutlenek węgla wychwytywany w elektrowniach nowego typu? Gdzie się podziały wszystkie te stare, przerdzewiałe karoserie samochodów, których nikt nie chce kupować? Gdzie dożywają reszty swoich dni ciekące lodówki i pralki? Kto posprzątał ziemski stół po uczcie współczesnych bogów konsumpcji? Co się z tym wszystkim stało?

Odpowiedź na pytanie: kto sprząta Ziemię, jest bardzo prosta - sprząta ją już od kilkunastu lat Polska Korporacja Utylizująca; firma ta zdobyła niekwestionowany monopol na rynku śmieci, poczynając od zużytych baterii i niedopałków po papierosach, kończąc na wrakach atomowych okrętów podwodnych z uszkodzonym reaktorem. PKU, mówią, jest zdolne oczyścić stajnie Augiasza szybciej niż Herkules.

A gdzie się to wszystko podziało?

Cóż, tutaj.

W Trzecim Świecie.

To - zestawiając z naszymi, ziemskimi realiami - pusta kraina, miejsca jest mnóstwo. PKU wie, jak je wykorzystać.

Nie miałem okazji oglądać tych wysypisk, słyszałem za to opowieści, jakie krążą o nich wśród miejscowej ludności traktującej składowisko odpadów jako kopalnię wszelkiego dobra. Ciągające się wiele kilometrów hałdy, zasypane śmieciami urokliwe doliny w niedostępnych

górach to nie ziemia jałowa, lecz eldorado, sezam zawierający okruch z innej rzeczywistości.

I - jak każde eldorado - arena bezwzględnej, krwawej walki o choćby najmniejszy ochłap skarbu.

Ludzie nie są pierwsi w kolejce do cuchnących bogactw; prymat wiodą smoki, wielkie bestie, mające swoje gniazda zwykle w tej części śmietniska, w której znajduje się kompost, zazdrośnie strzegące całego swojego dominium: pełnego błyskotek, papierków, plastików, puszek po napojach, kałuż smaru i starej, niepotrzebnej dłużej na Ziemi odzieży.

A jednak - dzień w dzień, mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa ze strony zięjących ogniem bestii - z wielkimi koszami na plecach, dzierżąc w dłoni szerokie, wypolerowane blachy (wzięte również, jakżeby inaczej, z wysypiska) wyruszają w swą drogę zbieracze. Ze świadomością, że każdy następny krok może być ostatnim. Z ponurą determinacją wypisaną na twarzach. Z maskami ze szmat zasłaniającymi usta i nos, mającymi chronić ich przed trującymi wyziewami.

Idą na poszukiwanie Graala.

Czasami jest nim całkiem jeszcze sprawny odtwarzacz filmów czy muzyki. Następnym razem - plastikowa butelka z niedopitą coca-colą. Ci, co mają prawdziwe szczęście i zdarzy im się trafić na akt rozpaczliwego ziemskiego nałogowca, który w przyływie żalu ciśnie do śmietnika butelkę wódki, zdobywają prawdziwą nagrodę.

Inni - najczęściej wtedy, gdy dzień jest chmurny i spojrzeń smoków nie można oślepić za pomocą blach, jakie z sobą taszczą - umierają w obłoku ognia lub pomiędzy dwoma monstrualnie wielkimi pazurami.

Lecz po nich przychodzą następni. Zawsze przychodzą. Nie mogą się oprzeć.

Tyle dobra!

Tyle wszelkiego dobra!

Prosto z Ziemi!

Oto dar.

Oto Graal.

Aby odpowiedzieć na pytanie „po co im to”, jakie każdemu przybyszowi z Ziemi ciśnie się na usta, należałoby napisać o przedstawicielach kolejnej profesji, z którymi nie będę miał okazji stanąć oko w oko.

3. Dekoratorzy

Jest to nowa w Trzecim Świecie profesja; liczy mniej więcej tyle lat, ile wysypiska śmieci i inne ślady bytności moich rodaków w tej Legendzie. Aby zostać dekoratorem, trzeba

relatywnie niewiele - nieco - zdolności magicznych (niezbyt silnych), zmysł praktyczny i śmieci.

Z tej triady śmieci są najważniejsze.

Dekoratorzy wynajmowani są zwykle przez osoby zamożne: właściciele ponurych zamczysk na wrzosowiskach, władców elfów w ich świetlistych pałacach, przez krasnoludy i gobliny chowające się w wykładanych szlachetnymi kamieniami, wykutych w skale rezydencjach, przez znamienitych rycerzy, wygrywających turniej za turniejem (ich status społeczny można by porównać z sytuacją dobrych ziemskich tenisistów czy kierowców wyścigowych), wreszcie przez bankierów, kontrolujących tutejszy obieg pieniądza, i przez kruki, trzymające w swych szponach losy większości trzecioświatowych bankierów.

Dekorator - dobrze opłacany, z pomysłem i dostępem do wysypiska - nadaje siedzibom tych wszystkich osób tak potrzebny blichtr, styl, ślad jego ręki stanowi dowód, że rzeczywiście należy się do tutejszej elity.

Krasnoludy zakochały się w foliach - Bóg raczy wiedzieć dlaczego; czy to przez fakt, że sale tych ich skalistych pałaców są wielkie i potrzeba je w jakiś sposób przedzielić (do czego rzekomo świetnie nadają się płaty folii zwisającej z sufitu)? Kruki z kolei osobiście upatrzyły sobie wszelkiego rodzaju folie aluminiowe - opakowania po serkach, czekoladkach, gotowych daniach lądują właśnie u nich; ostatni krzyk mody w elfich pałacach to ponoć wazonny zrobione z plastikowych butelek po tanich napojach, odkształconych pod wpływem płomieni i dotyku dłoni dekoratora.

Oczywiście jest to tylko przykład tego, jak można wykorzystać ziemskie odpady, zastosowań jest mnóstwo; w sąsiedztwie śmietnisk wręcz kwitnie przemysł utylizacyjny, a z rzeczy nieprzydatnych na Ziemi powstają prawdziwe cudowna tutejszej techniki. Przykłady można podawać z częstotliwością prestidigitatora wyciągającego króliki z kapelusza: są więc stocznie, które wykorzystując zużyte opony i plastikowe butelki, budują dla tutejszych rybaków tratwy, są tacy, którzy dotykiem przywracają do życia stępione noże i widelce, względnie siłą woli nadają pierwotny kształt powyginanym nienaturalnie łyżkom (następnie, nie dbając o podobieństwo, kompletuje się z nich zastawy sprzedawane tutejszym karczmarzom). Na bazie złomowisk rozwinął się nawet tutejszy przemysł samochodowy: sprowadza się on do tego, że z zebranych części dobiera się te mniej więcej do siebie pasujące, by następnie - po złożeniu pojazdu, przypominającego trochę samochód, spowodować, że - siłą rzuconego nań zaklęcia - będzie poruszał się tak jak zwykłe auto.

Na taką ekstrawagancję stać tylko nielicznych, rzadko więc widzi się tubylców pędzących przed siebie z zawrotną jak na te realia prędkością w swoich różnobarwnych autach

bez szyb i silnika.

4. Czarownik

W czasie podróży zebrałem wiele, bardzo wiele informacji na jego temat. O tym, gdzie wykryto jego obecność (prawie wszędzie, na Południu, na Północy, na terenach Pogranicza), i o tym, w jaki sposób dochodzono do wniosku, że znalazł się niedaleko (czas płynął inaczej lub stawał w miejscu, martwe ptaki spadały z nieba, odkształcały się cienie, podróżnicy mylili drogę), wreszcie o tym, jakie skutki wywiera jego pojawienie się: szaleństwo, zarazy, agresja, robactwo, głód, psujące się maszyny, rozpadające się budowle, gnijąca żywność, zatrute studnie; słowem - wszystko, co kojarzy się źle.

Doszedłem wreszcie do wniosku, że Czarownik to metafora zła, zła ostatecznego i jedynego możliwego w tym świecie, zła wspólnego dla obu półkul; podczas gdy na Północy boją się go jako potężnego wroga, który sprowadzi (tak powiadają) zagładę i spowoduje, że Matka raz na zawsze odwróci swoje oblicze od Trzeciego Świata, na Południu lękają się oblubieńca Wszeteczniczy jako srogiego pana, tyrana nietolerującego sprzeciwu, kogoś, kto wychowuje knutem, kto ogranicza południową swobodę i rozpasanie. Był więc Czarownik - doszedłem do przekonania - metaforą, symbolem; był projekcją wszystkich możliwych strachów.

Postacią mityczną.

Oczywiście, mógłbym spotkać udających, że są Czarownikami. Lub może: którym się tak wydawało. Najpotężniejszy z nich to „Bez duszny” - słynny upiór Południa, opętany żądzą władzy, przez długi czas ludy żyjące pod Dziwką traktowały go jako inkarnację Czarownika. Istotnie, mający liczne zdolności magiczne, zjednoczył pod swoim cieniem kilka południowych państw, prowadził z sukcesem wojny przeciw Północy, dopuszczał się okrucieństw przekraczających nawet naszą, ludzką miarę. Czerwona Turma - siedziba Bez dusznego - obrosła w tych latach nimbem tajemnicy, skryta za pomocą sieci czarów w chmurach przed oczyma niepowołanych, uchodziła za Antymiaasto; dostęp do niej miał tylko upiór we własnej osobie, i jego najwierniejsze sługi.

Powiadają, że nawet sam Bez duszny w to uwierzył: że poprzez niego Czarownik powrócił.

Jednak i ta legenda rozwiła się szybko, wraz z falą uderzeniową, wywołaną przez eksplozję setek bomb paliwowo-powietrznych, jakie spadły na - rzekomo niewykrywalną - Czerwoną Turmę. Sam Bez duszny wprawdzie przetrwał; demona nie można zgładzić za pomocą detonacji; niemniej upadł jego mit, poddani zbuntowali się, odwrócili, nikt już nie

traktował go poważnie jako wcielenia Tego, Którego Nie Można Zobaczyć. Potęga państwa Bezdusznego, budowana z takim mozołem, kosztem wielu, wielu litrów południowej krwi, rozpadła się jak gliniany dzban zrzucony na skałę.

Ponoć wciąż zamieszkuje tę samą, wypaloną do cna górską kotlinę, to samo okopcone gruzowisko czerwonych niegdyś cegieł, z którego ktoś z dużą wyobraźnią może odtworzyć dawny kształt: wysoką purpurową wieżę absorbującą światło Dziwki.

Ponoć Bezduszny - o ironio będący tylko duchem - postradał rozum.

Więc nie, przypadki w rodzaju Bezdusznego mnie nie interesują. W zeszycie zgromadziłem całą ich galerię, lecz nie mam zamiaru odwiedzać żadnego z nich; to wszystko są szaleńcy, mitomani o mentalności megalomańskich nastolatków. Owszem, interesowałby mnie prawdziwy Czarownik, o tak, to co innego.

Tylko że - jestem o tym przekonany - Czarownik ów nie istnieje poza opowieścią, legendą, poza mitem. Może i wszystkie jego podobizny są do siebie podobne, tak, lecz to przypadek, lub, najwyżej, świadectwo przenikania wzorców kulturowych. Sam Czarownik zamieszkuje nie Antymiasto, lecz umysły tych, którzy się go boją, mieszka tam, gdzie mieszka ich strach. Kogoś takiego nie sposób spotkać twarzą w twarz.

Chociaż, nie przeczę, Czarownik - taki, jakiego opisują go krążące po Trzecim Świecie podania - bardzo by się Południowcom przydał.

Z NOTATEK (13) - INSTRUKCJA POSTĘPOWANIA

Poranek:

1. Ablucja roztworem wody żywej (umyć twarz, okolice uszu, skronie, tułów, szczególną uwagę zwrócić na ten fragment ciała, który kryje serce).
2. Inwokacja do Matki.
3. Mazidło - rozsmarować po całym ciele, poczynając od dłoni, kończąc na dolnych częściach stopy. Nie pomijać genitaliów!
4. Ubiór - ubrać należy się, jeszcze w namiocie, w ochronnym cieniu, jaki daje tkanina namiotu. Należy wkładać co najmniej dwie warstwy odzieży (nawet jeśli jest gorąco!), pilnując, by pierwszą warstwę stanowiły rzeczy zrobione z wełny z owiec chowanych na stokach Białej Wieży, co będzie chroniło ciało przed promieniami Dziwki.
5. Gogle - o ile to możliwe, nosić gogle, co ochroni wzrok przed zepsuciem. Dziwka dociera

do umysłu za pośrednictwem oczu!

6. Rękawice ze skóry centaura spod Matki - naciągnąć na dłonie, zawiązać ściśle rzemyki.
7. Amulet (zasuszona łapka zajęcza, okopcona w dymie świętego dębu) - nie wolno o nim zapomnieć! - umieścić na piersi, na wysokości splotu słonecznego.
8. Łyk wody pochodzącej ze źródeł bijących pod Białą Wieżą.

Płk Jan Zawadzki

Przytaczam tę instrukcję in extenso, aby uzmysłwić, ile wysiłków należy włożyć w to, aby stosunkowo bezpiecznie podróżować przez kraje Południa. To tylko jedna z kilku procedur, jakie zaprezentowano mi w Białej Wieży. Część wymienianych w tych procedurach czynności może wydawać się irracjonalna, zgoła niepotrzebna (na przykład spluwanie przez lewe ramię na widok Dziwki, powstrzymywanie się od wymawiania określonych słów czy trzykrotny obrót wokół własnej osi od strony prawej na lewą), niemniej przestrzegałem tych zaleceń skrupulatnie i uważnie - liczne wizyty w Legendach nauczyły mnie, że nie należy lekceważyć potęgi rytuału.

Postępowałem tak zresztą nie tylko ja; każdy podróżnik zmierzający z Północy na Południe ma swój zestaw zabezpieczeń, w części zależnych od kultury, w jakiej wyrósł (elfy stosują inne obrzędy niż gobliny), wszyscy jednak spotykają się w pewnych punktach. Ot, choćby jeśli idzie o wodę ze źródeł na Północy - każdy z nas miał swoją, zakłęta, manierkę (czar powiększał pojemność piersiówki wielkości książeczki do nabożeństwa do wielu litrów, trzymając przy tym temperaturę), z której regularnie - co rano - pociągał (notabene w miarę podróży, mimo niezwykłych właściwości manierek, woda robiła się coraz mniej smaczna i piłem ją z narastającym obrzydzeniem).

Nasze poranki dla obserwatora z Ziemi musiały przedstawiać się osobliwie: trzech tak różnych towarzyszy, każdy pielęgnujący zestaw obrzędów, dziwacznych gestów, każdy mamroczący zaklęcia ochronne, obwieszający się jakimś przedmiotami na pierwszy rzut oka bez jakiegokolwiek praktycznego zastosowania, smarujący się substancjami o podłym gryzącym zapachu.

Osobną sprawę stanowiły amulety; każdy lud miał ich kilkaset wzorów, o rozmaitej mocy, skuteczności i zastosowaniu. Elfy, dla przykładu, lubowały się głównie w symbolice morskiej (być może miało to jakiś związek z tym, w jaki sposób znalazły się w Trzecim Świecie) - wśród ich talizmanów można było znaleźć długie łodzie, trochę przypominające te wykorzystywane na Ziemi przez wikingów, ptaki podobne do mew, symbole przedstawiające

ryby i inne morskie stworzenia. Często też, w wypadku amuletów bardziej wyszukanych, mających wiele zastosowań, spotykało się takie, do których produkcji używano drewna, oprawiając w nie twarze Matki malowane na płytkach wycinanych z jaspisu.

Gobliny najczęściej posługiwały się pierścieniami i wisiorami, znacznie bardziej prymitywnymi niż elfie, robionymi bez wyjątku z metali. Jak utrzymywał Trzynasty z Miotu, mimo że nie tak misterne jak artefakty stanowiące własność Elaha, były one równie silne. Ja wyposażony zostałem w kilka amuletów ludzkich, jeden pozwalający dokonywać teleportacji na odległość kilku kroków, drugi sygnalizujący niebezpieczeństwo (symbol wilczej głowy został, zdaje się, zaczerpnięty z jakiejś dwudziestowiecznej polskiej powieści), wreszcie trzeci, już rodzimego, trzecioświatowego wyrobu, mający osłaniać mnie przed chorobami.

Podróżując na Południe - to kolejna z prawd, jakie musiałem przyswoić - nie można też zapominać o odżywianiu: w tej rzeczywistości powiedzenie „przez żołądek do serca” nabierało całkowicie nowych znaczeń. Jadłeś to, co wyrosło pod Dziką - nie ma cudów, stawałeś się z czasem taki jak pozostali mieszkańcy Południa. Wszystko, co żyje, kąpie się w jej trujących promieniach, powtarzał Elah. Odżywialiśmy się więc głównie tym, co zabraliśmy z sobą (choć nie zawsze i nie wszędzie - nasze zapasy były ograniczone). Nie mogłem już patrzeć na wciąż te same konserwy, na suszone mięso, na cienkie, chrupkie, trzaskające w zębach pieczywo. W takich chwilach zastanawiałem się, czy warto znosić to wszystko - tylko dla reportażu? Czy warto poddawać się takiemu reżimowi? Niemniej postępowałem karnie i sumiennie, według agendy, punkt po punkcie.

Owe rytuały, ścisłe instrukcje, reguły, przestrzegane z niewyobrażalną wprost cierpliwością - to wszystko miało trzymać nas przy Matce.

A i tak nie pomogło.

Nie dało się nie zauważyć pojawiających się zmian: Elah jadł znacznie więcej kawy, stał się jeszcze bardziej małomówny i wyniosły, denerwował go byle drobiazg. Dostrzegłem też pewne przebarwienia na jasnej elfiej skórze, w kilku miejscach, na dłoniach, szyi, czole. Krył je skrzętnie, wkładając bluzy ze zbyt długimi rękawami, i stało się dla mnie oczywiste, że jest owymi plamami zawstydzony. Potajemnie zaczął zużywać znacznie większe ilości protektorów magicznych niż normy codzienne, wyliczone na jednego członka wyprawy. Były chwile, gdy zastanawiałem się, czy przypadkiem mój elfi przewodnik nie przemienia się w orka.

Kondycja Trzynastego z Miotu przedstawiała się, niestety, znacznie gorzej. Odkryłem, że od jakiegoś czasu pomija część rytuałów. Sądził, że dobrze się z tym kryje, lecz ja wiedziałem, ile czasu zajmuje prawidłowo wykonane Oczyszczenie. Nie miałem pojęcia, w co może

przemienić się goblin, ale, o ile wobec Elaha żywiłem tylko niejasne, nie do końca uzasadnione podejrzenia, to co do mojego kierowcy zaczynałem nabierać pewności - odczuwał wpływ Dziwki, bez dwóch zdań. Kiedy tylko to dostrzegłem, zacząłem baczniej go obserwować.

Zmieniło się jego usposobienie, po pierwsze stał się mniej przyjacielski i znacznie bardziej kłótlivy. Potrafił spierać się o byle co: ot, choćby o kawałek mięsa, o litr paliwa, o kilka groszy więcej zapłaty (ze względu na warunki, w jakich przyszło mu służyć); momentami stawał się nie do zniesienia i prawdę powiedziawszy, czułem do niego coraz większą niechęć. Zacząłem rozważać, czy lepszym rozwiązaniem nie byłoby pozostawienie go gdzieś po drodze, w jakiejś bazie Królikarni - z Elahem dalibyśmy sobie przecież radę sami. Ostatecznie okazało się to niepotrzebne.

Goblin często w tych dniach przebywał w samotności: odchodził na bok od obozowiska (usprawiedliwiając się chęcią zbadania terenu, zabezpieczenia obozu czy po prostu pragnieniem pooglądania nocnego nieba, innego przecież niż to nad Białą Wieżą). Zdarzało się, że kładł się spać kilkadziesiąt kroków od naszego obozu, na co wcześniej by sobie nie pozwolił. Kilkukrotnie próbowałem nawet podkraść się i zobaczyć, do czego jest ta samotność Trzynastemu potrzebna. Nie było to wszakże proste: gobliny to stworzenia mające znakomity słuch, podejść takiego to prawdziwy wyczyn. Najczęściej więc zastawałem Trzynastego z Miotu przy jakichś całkowicie niewinnych czynnościach: takich jak kreślenie znaków ochronnych na piachu, ustawianie zaklętych kopczyków, obserwacja równiny, przez którą wciąż podróżowaliśmy (zdawała się nie mieć końca, bezkresna niby morze, tyle że czerwona krwawym piachem). Zdarzało się jednak i tak, że udawało mi się podejść dostatecznie blisko i dostatecznie cicho.

Raz spostrzegłem, jak Trzynasty z Miotu bawi się klejnotami (mieliśmy w bagażach nieco kosztowności, które mogłyby okazać się przydatne w razie zagrożenia lub gdy skończą nam się zapasy gotówki i jedzenia). Nie wieźliśmy tego wiele i nie zwracałem na drobny pakunek uwagi (prawdę mówiąc, zapomniałem o jego istnieniu) - dopiero widok rozwiązanego woreczka uświadomił mi, że to całkiem okazały majątek, przynajmniej jak na warunki skrajnie ubogiego Południa. Goblin zachowywał się jak dziecko: oglądał świecidełka ze wszystkich stron, mruzczał niczym kocur, który upolował właśnie szczególnie apetyczną mysz, podrzucał klejnoty, przykładał je do oka, głaskał. Ten widok podziałał na mnie jak kolejny znak ostrzegawczy; słyszałem, jeszcze w Białej Wieży, że gobliny mają naturalne inklinacje do gromadzenia skarbów - za wszelką cenę. W świetle Matki, mówiono, ta cecha jest zupełnie niegroźna, ponieważ zostaje mocno przytłumiona sączącą się z nieba dobrocią, natomiast pod Dziwką, o, tam jest zupełnie inaczej. Niejednego goblina opanowuje chciwość - uczucie to

bywa tak silne, tak przemożne, że stworzenia te zupełnie tracą nad sobą kontrolę.

Kiedy więc zobaczyłem Trzynastego z Miotu, jak śmieje się, podrzucając do góry świecidelka, jedno za drugim, niczym zongler w cyrku, zdjął mnie strach. Odtąd zawsze nosiłem przy sobie broń, załadowaną srebrnymi pociskami.

Kolejne stadia upadku naszego kierowcy okazały się znacznie bardziej przykre. Kiedyś, gdy rozbiliśmy obóz w prawdziwym skalnym labiryncie (skalne nawisy i płaskie półki dawały znakomitą ochronę przez promieniami Dziwki), poszedłem za Trzynastym, kiedy oznajmił, że czas poszukać opału. Istotnie, noce w tej okolicy nie należały do przyjemnych, chłód wlaził pod plandekę, pod koce, polary, wciskał się do śpiworów - niemniej od czasu epizodu z klejnotami nie brałem już zapewnień goblina poważnie. Słusznie, jak się okazało. Znalazłem go skulonego za ostrym, dużym kamieniem: zapamiętałe lizał swoje genitalia, jęczał i tak pochłonęło go wykonywanie tych obscenicznych czynności, że w ogóle nie zarejestrował tego, że pojawiłem się nieopodal.

Zachowałem tę informację dla siebie, choć w Białej Wieży Łowczy bez mrugnięcia dokoniliby za coś takiego zmrożenia. Cóż, nie mieliśmy innego kierowcy, a Trzynasty z Miotu znał nasz pojazd znakomicie, był przy tym takich rozmiarów, jak gdyby został stworzony właśnie do naprawiania samochodów. Potajemnie - aby wzmocnić ochronę i podjąć próbę uratowania goblina - zacząłem nawet dosypywać do jego pokarmu więcej ekstraktu z korzenia mandragory (jedzenie stawało się przez to mniej smaczne, ale - przynajmniej w założeniach - specyfik ten miał właściwość cofania mutacji, jakie pojawiały się pod Dziwką). Okazało się jednak, że jest zbyt późno. Po kilku dniach dalszych obserwacji doszedłem do wniosku, iż nie jestem w stanie pomóc Trzynastemu.

Nikt nie był w stanie.

Również tym wnioskiem nie podzieliłem się z Elahem; sądzę, że on sam żywił pewne podejrzenia, rozumiał przecież ten świat znacznie lepiej ode mnie, znał też naturę goblinów. Tylko że elfowi też nie do końca ufałem (mimo intensywnych zabiegów czerwonobrazowe plamy nie ustępowały, wręcz przeciwnie, stawały się rozleglejsze: skóra na dłoniach przewodnika przypominała teraz wzór, jaki zwykle się widzieć na odzieży moro). Trzymałem więc język za zębami, tymczasem obawa, że grozi mi coś ze strony kierowcy narastała i po pewnym czasie stała się tak dojmująca, że praktycznie nie do zniesienia.

Pewnego dnia zatrzymaliśmy się na dłuższy obóz. Teren nierówny, formacje skalne, pośród których wila się droga, wskazywały na wysoką aktywność wulkaniczną w tych rejonach. Zgrupowania zastygłej lawy i kamieni z rzadka poprzątkane dziwnoroślami. Na postój szukaliśmy miejsc bezdrzewnych: tutejsza flora wykazywała zbyt dużo cech Dziwki, by

ryzykować nocleg w jej bezpośredniej bliskości. Elah ostrzegał przed agresywnymi kłęczami potrafiącymi udusić nieostrożnego podróżnika i przed rosnącymi w tempie dziesięciu kroków na dobę jeźdźcami. Na szczęście wystarczyło się uważnie rozejrzeć, aby znaleźć miejsce urokliwe, wymarzone na obozowisko; stanęliśmy w jednej z zatoczek okolonych wysokimi na kilkanaście metrów wałami zastygłej magmy. Po jakimś czasie Trzynasty z Miotu oddalił się, nie pytając o pozwolenie.

Dzień wcześniej, kiedy goblin i elf poszli zebrać opał, zajrzałem do prywatnych bagaży kierowcy - wśród rzeczy całkowicie bezużytecznych znalazłem wystruganą z drewna (najpewniej całkiem niedawno) figurkę. Przedstawiała ona nagą kobietę i przypominała mi znajdowane w różnych miejscach na Ziemi wyobrażenia bogini płodności.

Płodność w tej rzeczywistości jest reprezentowana przez jedno bóstwo. I nie jest to bynajmniej Matka.

Elah zajął się instalacją zabezpieczeń (wydaje mi się, że budował coraz silniejsze kręgi, co chwila wydobywał ze swoich pakunków jakiś przedmiot mający większą moc niż poprzednie, zastanawiałem się, kiedy dojdzie do kresu swoich możliwości i co się stanie, gdy przestanie to wystarczać), ja tymczasem poszedłem w ślad za goblinem. Przedtem wypilem spory łyk wody ze źródeł spod Białej Wieży: chciałem poczuć w sobie prawo i sprawiedliwość, chciałem znów zaznać świadomości tego, co jest dobre, a co złe, tak oczywistej, kiedy człowiek znajdował się na północnej półkuli.

Wiedziałem, że tego dnia taka świadomość będzie mi potrzebna.

Szło mi się ciężko, może to od rozgrzanych skał buchało gorąco, choć może to świadomość tego, co musi się stać, tak bardzo mi ciążyła. Na dodatek należało uważać, by nie wyjść prosto w światło Dziwki (Panna Rozpustna stała akurat w zenicie): okoliczne skały charakteryzowały się tym, że zupełnie nieoczekiwanie trafiało się na wyrwę pomiędzy nimi - jak szczybę w zdekomponowanej szczęce - która otwierała drogę złowrogim promieniom. Trzynastego z Miotu znalazłem właśnie w jednym z takich przesmyków w skale; klęczał w czerwonym świetle, twarzą zwrócony w stronę plugawej gwiazdy, bogini zła. Co robił? Podejrzewam, że bił przed nią pokłony, odprawiał jakiś obrzęd ku jej czci - nigdy nie dowiedziałem się tego na pewno.

Nie spytałem.

Podszedłem do niego, starając się stąpać cicho, choć dziwny rytuał tak go zaabsorbował, że nie usłyszałby i stada nadbiegających jednorożców. W chwili, gdy jego mała, ozdobiona śmiesznymi uszami głowa, odrywając się od skalistego podłoża, po raz kolejny powędrowała w górę (ruch ten do złudzenia przypominał ziemskie obrzędy muzułmanów), przyłożyłem mu

pistolet do skroni.

Czułem w sobie światło Matki, wiedziałem, co jest dobre, a co złe, stałem się lekki jak powiew wichru nad Białą Wieżą.

Wspaniałe uczucie.

Okoliczne skały wytłumiły huk wystrzału.

Nie rozmawiałem o tym zdarzeniu z Elahem zbyt obszernie; elf otrzymał jedynie suchą informację (zasadniczo ja dowodziłem wyprawą, miałem prawo do takiego kroku). Przejrzeliśmy wspólnie pakunki należące do goblina. Kiedy wskazałem na wystruganą niedawno przez Trzynastego z Miotu drewnianą figurkę - bóstwo płodności, ostateczny dowód na to, że nasz kierowca już od pewnego czasu był po stronie zła, Elah pokręcił głową.

- To Matka - wychrypiał. - Prymitywne ludy tak ją przedstawiają w rękodziele.

Spojrzał na mnie dziwnie tym swoim przenikliwym, zimnym wzrokiem i przez cały wieczór nie powiedział ani słowa.

SZKIC NR 7 - ŁOWCA

Ta plama czerni, jaka ukształtowała się z mojej bezładnej bazgraniny - to Łowca. Siatka kresek, cieni i obrysów, mimo że rysowałem ją drżącą ze strachu dłonią, układa się w wielki, ciemny kontur, zajmujący bodaj połowę kartki.

Kształt ów mimo wszystko coś przypomina.

To sylwetka człowieka z mieczem.

Człowieka?

Sam nie wiem.

To Łowca. Czarny rycerz. Maszyna do zabijania. Wlany w mięśnie, zbroję i hełm upiór. Przekleństwo. Ucieleśniony koszmar Południa.

Mimo że światło Dziwki pali, on idzie w czarnym, złowrogim płaszczu. Mimo że duchota wciska język do gardła, nie pozwalając oddychać, on nie zdejmuje maski z twarzy. Mimo że dłoń zwykłego człowieka zdrętwiałaby, on maszeruje, trzymając w garści wielki, czarny miecz. Mimo że piach na wydmach (bo jedziemy wówczas przez pustynię) wciąga wszystko, on przechodzi nietknięty, lekko, jak gdyby ważył tyle co koszmarny sen, z którego wyszedł.

Choć od spotkania z Łowcą minęło wiele czasu, nadal przechodzą mnie dreszcze na samo jego wspomnienie.

Przypatrując się mojemu szkicowi uważniej, można dostrzec, że Łowca nie jest sam. To, co nieuważny obserwator weźmie w pierwszym odruchu za kamień lub krzak nieopodal, okaże się skuloną postacią, klęczącą na piasku. Pomiędzy nią a dłonią Łowcy biegnie nić - to łańcuch, czarny, metalowy, kuty w kuźniach dalekiego Południa, nasycony mocą Dziwki do granic możliwości, jeszcze skwierczący. Łańcuch kończy się obręczą, która więzi szyję klęczącego. Z rysunku nie odgadniemy, kto to taki (widać tylko jego plecy, a i te skreślone są szybko, niewprawną kreską). Ale ja znam odpowiedź na to pytanie. Pamiętam dobrze.

To elfi książę. Bohater z Półmocy. Jeden z tych natchnionych przez Wiatr. Jeśli ktoś mógł mieć nadzieję na to, że dotrze do Antymiasta, że odwróci losy Trzeciego Świata - to tylko on.

W chwili gdy go spotykam - ciągniętego jak nieposłuszne cielę na łańcuchu, brudnego od krwi, odchodów, potu i piachu, jęczącego - bo pod metalem obręczy skwierczy jego skóra - trudno dostrzec choćby okruczeństwa dawnej chwały i mocy. Nawet jego aura przybladła, teraz to ledwie poblask mogący równie dobrze uchodzić za złudzenie optyczne.

Elf lka.

Kolejne wspomnienie to strach, jaki ogarnia mnie, kiedy Łowca odwraca spojrzenie w moją stronę. Jeden ruch ogromnego miecza - i moja podróż dobiegnie kresu. Czuję się jak gazela stojąca przed lwem: mógłbym próbować ucieczki, myślę, samochód z zapalonym silnikiem jest nieopodal, nawet on, nawet ten demon w czarnym płaszczu mnie nie dopędzi. A mimo to stoję, zahipnotyzowany przez oczy, których nie widzę, zniewolony widokiem bezwzględnej, nieznającej uczuć potęgi.

Nigdy się nie dowiem, dokąd Łowca ciągnie elfa - czy ktoś wyznaczył za niego nagrodę? Czy to jakiś zakład? Czy prowadzi go, by bohater został złożony w ofierze, kiedy na niebie pokażą się pierwsze poranne strugi czerwonego światła, ściekające po kamieniach jednego z licznych tutaj rytualnych kręgów? Czy jeniec w ogóle dotrze do miejsca swojego przeznaczenia - jest przecież sucho, gorąco, a on, najwyraźniej, cierpi do granic wytrzymałości.

Nie poznam odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Lecz - wbrew moim obawom - Łowca nie rusza na mnie. Wpatruje się w moją twarz przez dłuższą chwilę, wreszcie czyni coś, czego zupełnie nie rozumiem: pochyla głowę, kładzie na piachu przede mną miecz, posypuje włosy pustynnym pyłem. Trwa tak przez chwilę, przyklęknąwszy, wreszcie podnosi z ziemi broń, otrzepuje kolano i odchodzi.

Bez słowa.

Kiedyś starcie tych dwóch potęg - rycerzy Matki i sług Wszetecznicy - musiało wyglądać

inaczej. Jeśli wierzyć opowieściom tutejszych, elfy, zwłaszcza z wysokich rodów, nie miały sobie równych na obu półkulach, każdy byt musiał klękać pod ich aurą. Więc kiedyś to nie elf skowyczałby z bólu, to nie elf tarzałby się w piachu, krwi i pocie.

Znak czasów. Kolejny.

Zastanawia mnie, jak musiało wyglądać ich pierwsze spotkanie „po zmianie”. Czy elf wiedział o własnej słabości? Czy Łowca zdawał sobie sprawę z nowej siły? Nie wiem, ale lubię wyobrażać sobie tę chwilę - moment, w którym dochodzi do odwrócenia biegunów, zamiany ról.

Zatem elf - jeszcze pewny, jeszcze prowadzony starymi przyzwyczajeniami, dumny, wysoko noszący głowę. Aura - piękna, złoto-biała - aż bije spod płaszcza. I druga postać, owinięta w czarną szatę. Jest sporo wyższa od elfa, bardziej muskularna i lepiej uzbrojona, ale - mimo tych przewag - cofa się, przestępuje niepewnie z nogi na nogę, małymi krokami idzie do tyłu. Też nienawykła do porażek i rejterad, tym razem spotyka przeciwnika owianego legendą. Wie - o ile wiedzę taką można wynieść z podobnych, wcześniejszych przypadków - że z elfem przegra. Że nie ma szans. Ale jednocześnie czuje, że coś się zmieniło.

Nie ucieka.

Elf unosi brew. Jeszcze nie rozumie, jeszcze nie zaatakował - najczęściej rozstrzygało samo jego pojawienie się, błysk aury spod płaszcza, cień mocy i świadomość przeciwników, z kim mają do czynienia. Strach w istocie stanowił najskuteczniejszą elfią broń - o wiele bardziej pewną niż magia i uroki. Lecz elf spostrzega, że ten oręż nie działa. Nie tym razem.

Pomiędzy dwiema postaciami zalega pełna napięcia nerwowa cisza.

Cisza ta nie trwa długo, ledwie kilka uderzeń serca, kilka niepewnych oddechów - lecz czas ten starcza, by zmiana się dokonała - bo myślę, że właśnie ten moment był decydujący. I kiedy elf uderza, zrzucając płaszcz, z dobytym z pochwy kutym w blasku Matki ostrzem, jego cios zostaje sparowany, zatrzymując się na smolistej tarczy. Łowca, jeszcze z lekkim niedowierzaniem, spogląda na czarny metal, który wedle praw dotąd obowiązujących nie mógł przetrwać takiego uderzenia. Tarcza jednak pozostaje cała i nawet jeśli są na niej wgłębienia - nie mają one istotnego znaczenia. Liczy się to, że jest w jednym kawałku.

Więc teraz Łowca - już nie tylko przeczuwając, ale i widząc na własne oczy zmianę - sam atakuje.

Zaczyna wierzyć.

Być może to pierwsze - wyobrażone - spotkanie skończyło się mimo wszystko zwycięstwem elfa. Możliwe też, że obaj przeciwnicy legli pod ciosami lub - co wszakże, biorąc pod uwagę wzajemną nienawiść, wydaje się mało prawdopodobne - obaj zrezygnowali z

nierozstrzygalnej walki. Lecz pierwszy krok został uczyniony właśnie wtedy. Pierwsza wyrwa w murze.

Wyrwa, przez którą spotkany przeze mnie na drodze Łowca przeciągnął elfa wysokiego rodu.

Z NAGRAŃ (4) - HELIKOPTER

Następne nagranie, jeśli się nad nim zastanowić, jest monotonne - nie zarejestrowałem wiele, ot zwyczajny hałas w chwilach, kiedy helikopter podrywa się do lotu. Bez kontekstu zapis ów wydaje się zupełnie niepotrzebny, a fakt, że zachciało mi się nagrać właśnie ten dźwięk, mógłby świadczyć o tym, że moja podróż była jałowa, nieciekawa, pozbawiona istotnych spostrzeżeń czy wydarzeń.

Nic bardziej mylnego - ten warkot bowiem to końcowy efekt wielu zabiegów i rytuałów, wielu zaklęć i zwierząt składanych w ofierze, a fakt, że nagrywana maszyna okazała się w ogóle zdolna poderwać do lotu zakrawa na cud.

Na działanie magii.

Jest tym zresztą w istocie.

Gdyby ktokolwiek postawił się na moim miejscu i spojrzął na obserwowane przeze mnie zdarzenie wtedy, gdy nagrywałem te dźwięki, musiałby dojść do takich samych wniosków: helikopter jest stary, bardzo ciężko uszkodzony, zbiorniki paliwa są dziurawe, a maszyna nie ma prawa wzbić się w powietrze. Wystarczyłoby zatrzymać spojrzenie na oderwanych drzwiach, złamanej łopacie, osmalonym ogonie. Wgniecenia blachy z przodu, przy kabinie, wskazywały, że śmigłowiec został uderzony smoczym ogonem - idę o zakład, że nikt z załogi nie przeżył; najlepszy dowód stanowią zresztą brudne od sadzy szkielety, wciąż siedzące w fotelach wyłożonych spaloną podczas katastrofy tapicerką.

Wrak, doszedłem wówczas do wniosku, musiał trwać tak co najmniej kilka lat: opuszczony, poddany działaniu deszczy, porannych mgieł i rosy; korozja zostawiła na nim swoje bezlitosne znamiona.

A jednak, kiedy ten kawał żelastwa - a wraz z nim mnie i elfa, odpoczywających w cieniu tego złomu - wytropiła hanza, gromada bandytów z Południa, zbójcy cieszyli się jak dzieci, twierdząc buńczucznie, że to dobry sprzęt i posłuży ich szajce jeszcze przez długi czas.

Nie bez podstaw.

Trudno sklasyfikować członków hanzy; nie można powiedzieć, że ich rzemiosłem jest rabunek (choć rabują często), nie są to również najemnicy ani wędrujący z miejsca na miejsce pasterze. Przypominają wprawdzie nomadów, wiodąc żywot koczowniczy, z tym, że nie pędzą ze sobą stad owiec, kóz czy bydła, utrzymując się z tego, co uda im się znaleźć, ukraść lub zarobić, wykonując jakieś dorywcze zlecenia. Bandy te - prócz określenia „hanza” funkcjonuje jeszcze nazwa „wataha” - są przykładem swoiście pojmovanego egalitaryzmu; może do nich przystąpić każdy, dlatego, kiedy spojrzałem na otaczające nas postacie, dostrzegłem orki, wilkołaki, ludzi różnych kolorów skóry, krasnoludy, gnomy południowe, centaury, nawet kruki - a to nie koniec. W tym towarzystwie nie przejmują się ezodeformacjami; pokryte łuską dłonie, ogony - płaskie, przypominające bobrowe, ramiona obrośnięte futrem, troje oczu, dwie szyje: wszystko to jest akceptowane i nikomu nie przeszkadza (na Północy odkształceńcy zostaliby skazani w najlepszym razie na wygnanie, choć raczej zostaliby zmrożeni). Są w hanzie i hybrydy, nikt się nimi pod Dziwką nie brzydzi: lepperghule, elfozwierze, matki upiorne, gryfeazy kamienne; banda jest doprawdy różnorodna, a części stworzeń tam spotkanych nie potrafiłem w ogóle nazwać.

Jednocześnie choć demokratyczne reguły niewątpliwie obowiązywały, dotyczyły tylko członków watahy. W stosunku do obcych grupa była bezlitosna, nierzadko okrutna. Miałem okazję oglądać, jak przesłuchują jeńca - żołnierza Królikarni, którego przez jakiś czas ciągnęli z sobą. Wypytywali go o rozmaite szczegóły: gdzie są magazyny żywności, gdzie broń, gdzie oddziały Wojska Polskiego, jakich obszarów należy unikać; pamiętam, miałem wówczas dziwne wrażenie, że choć przesłuchanie ciągnie się długo i jest bardzo szczegółowe, to oprawcy znają już prawie ze na pamięć to, co mówi umęczony chłopak z kujawsko-pomorskiego. Patrzyłem na jego twarz przepełnioną strachem i uległością i nie mogłem zrozumieć: dlaczego go jeszcze męczą? Dlaczego wrzucają za koszulę wygłodniałe pająki i wielkie jak cytryna karaluchy? Dlaczego biją, sadzają na krześle, pod wpływem zaklęcia kurczącym się, wyginając kończyny młodego sierżanta w nienaturalny sposób? Przecież usłyszeli już wszystko, co chcieli usłyszeć, znali te informacje, widziałem, że wszystkie wymienione przez dręczonego żołnierza punkty mieli odznaczone na swoich mapach.

Sądzę, że po prostu to lubili.

Czytelnik - jeśli oczywiście te zapiski znajdą jakiegokolwiek czytelnika, w co zaczynam mocno wątpić - zapyta zapewne, dlaczego więc nie pomogłem? Dlaczego przyglądałem się bezczynnie, nie zdobyłem się na heroizm, i jeśli nie w inny sposób, to choćby szybką, polską kulą nie zakończyłem cierpień mojego rodaka?

Nie umiem odpowiedzieć. Pierwszy wniosek, jaki się niemal automatycznie nasuwa w takiej sytuacji - że powstrzymał mnie strach, lęk przed karą ze strony członków watahy, nie będzie tak do końca prawdziwy. Owszem, bałem się, lecz zdecydowało coś innego. Otóż powstrzymała mnie myśl, że występując w obronie Polaka, stracę możliwość obserwowania hanzy i dziwnego obrzędu, do którego już zaczęli się przygotowywać.

Że stracę materiał.

A młodemu sierżantowi i tak była pisana śmierć. Stanowił, by tak rzec, ukoronowanie długiego ciągu ofiar, składanych bezlitosnemu, gorącemu bóstwu, jakie czerwieniało na tutejszym niebie. Najpierw pod ofiarny nóż poszły dzikie ptaki (kilku młodzików z watahy nałapało parędziesiąt sztuk specjalnie na tę okazję). Ptaki jeszcze drgały, gdy grupa starców (pośród nich elf z twarzą wykrzywioną w krwiożerczym grymasie, pomarszczona ze starości dziwożona i męczyzna z siwą brodą - na Ziemi zapewne wzięto by go za wcielenie mądrości i łagodności) oblała krwią wrak maszyny. Dalej szły kolejne stworzenia, na helikopter wylewano kolejne wiadra posoki, a cała wataha zaczęła pokrzykiwać niezrozumiale, tupać i recytować rytmicznie jakieś inkantacje (ich znaczenia nie pojąłem do dzisiaj).

Rytuał trwał przez dłuższy czas bez wyraźnych efektów; poza transem, w jaki wprawiły się krasnoludy, poza oparami palonych ziół i potem, jaki wydzielaly stłoczone na niewielkiej przestrzeni ciała podrygujące w gorącym powietrzu. Elah jednak, pamiętam wyraźnie, zmarszczył brwi, odsunął się od tańczących na tyle, na ile pozwalały na to skały, przy jakich leżeliśmy, gryzł kawę jak szalony i szeptał pod nosem zaklęcia ochronne.

Nie wiem, czy to przez światło Rozpustnicy, czy sprawił to pobyt w Trzecim Świecie - ale ja też to czułem.

W pewnej chwili - a wydawało się to wtedy tak naturalne, jak gdyby należało do odwiecznych praw natury - jeden ze szkieletów, ten będący zapewne pilotem, uniósł głowę, potoczył pustymi oczodołami po zgromadzonych i wykonał dłonią zapraszający gest, zdający się mówić: na pokład! Po tym wszystkim zepchnął na piach szczątki drugiego pilota, robiąc miejsce dla przywódcy hanzy.

A potem, kiedy przelano jeszcze więcej krwi, kiedy uśmiercono kolejne istoty, spośród których ostatnią był nieszczęsny sierżant z kujawsko-pomorskiego (jego gardło otworzyło się pod ostrym kamiennym nożem, uciszając krzyk brzmiący w moich uszach jak wyrzut sumienia), helikopter drgnął. Wirnik obrócił się, najpierw niespiesznie, potem coraz bardziej zdecydowanie, silnik zacharczał. Kilkadziesiąt postaci ruszyło w stronę maszyny, próbując dostać się na jej pokład; ci, co się nie zmieścili w kabinie, uczepili się wszelkich elementów, dających cię nadziei, że nie odpadną od kadłuba - śmigłowiec przypominał mi wówczas

ogryzek oblepiony przez mrówki.

W następnej chwili maszyna oderwała się od ziemi.

Owszem, kilka postaci spadło, ci, co się nie wepchnęli do środka (a przecież mała maszyna nie mogła pomieścić liczącej sto osób bandy), biegli za nim; owszem, blacha na kadłubie nadal pozostawała wgnieciona, a śmigło też się nie zrosło - ale leciał! Leciał! - wbrew prawom fizyki, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew uszkodzeniom zadany przez inny oddział Południowców, kiedy jeszcze znajdował się w rękach wroga.

Gdy obserwowałem ich - odlatujących w kierunku jednego z magazynów broni, wskazanych przez zamordowanego Polaka - przyszło mi do głowy skojarzenie z ostatnią sceną starego filmu, jaki kiedyś widziałem. Film opowiadał o wydarzeniach na Wyspie Wielkanocnej i kończył się sceną, w której większa część populacji z wyspy przesiada się na górę lodową, by odpłynąć w stronę słońca - ku zagładzie.

Właśnie tak pomyślałem wówczas o tych, którzy przesiedli się na ten zdezelowany helikopter.

Rapa Nui.

Dociękliwy czytelnik tego reportażu zapyta: zaraz, zaraz, ale jak to się stało, że wy przeżyliście?

Nie potrafiłbym odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

Owszem, z naszego bagażu zniknęło kilka puszek z jedzeniem, nieco alkoholu, lecz nic ponadto. Niespecjalnie przetrzebili nasze pakunki, traktując i nas, i naszą własność z pobłażliwością, której nie rozumiałem. Snułem rozmaite domysły: a to że nie byli wcale tak okrutni, za jakich ich brałem, a to że przyczynił się do tego elf, chcący oszczędzić swojego współplemieńca. Kiedy podzieliłem się tymi domysłami z Elahem, mój przewodnik parsknął krótkim śmiechem.

Elfy, wyjaśnił wtedy, sobie nie pomagają. Zwłaszcza jeśli przejdą na drugą stronę; taki elf to dla innego członka starszego ludu, takiego, co wciąż oddaje cześć Matce, najgorszy wróg, a zarazem żalсна kreatura. Nie, powiedział. To twoja dłoń. Nie zabija się kogoś, kto ma taką dłoń. Tutaj, na Południu wszyscy znają opowieści o Czarowniku. Tutaj wszyscy na niego czekają.

ZE ZBIORÓW (6) - WORECZEK PO KAWIE

Przedmiot ten jest jedynym, co pozostało mi po moim przewodniku.

Przyjacielu?

Nie, nigdy nie miałem co do tego złudzeń; elfy nie mają w zwyczaju zawierać przyjaźni z przybyszami z Ziemi, jedyne, na co można liczyć, to życzliwa pogarda. Niemniej, nawet mając spore pojęcie o tej rasie, nie spodziewałem się tego, co nastąpiło.

Dzień, w którym zorientowałem się, że Elah uciekł, był wyjątkowo podły; od dwóch nocy męczyły mnie ataki, powtarzająca się słabość, uderzająca do głowy, bijąca w serce, wyciskająca pot przemieszany z krwią. Podobne napady niemocy zdarzały się mi już kilkakrotnie, ten jednak okazał się najsilniejszy. Co to za choroba - nie wiem do dziś, pozostają podejrzenia; musiało to wszakże mieć coś wspólnego z fatalnym incydentem, kiedy to parę dni temu ukąsił mnie czerwony owad. Atak przebiegał zawsze w ten sam sposób: ślad po użądleniu siniał i zaczynał pulsować nieznośnym, uporczywym bólem, wkrótce bolało mnie już wszystko, każdy skrawek ciała. Wcześniejsze napady (mijające po kilku - kilkunastu godzinach) przetrwałem z tyłu samochodu, jadąc owinięty w lekkie płótno, szczelnie osłonięty przed światłem Dziwki. Elah podawał mi wówczas regularnie wodę Matki, dodatkowo dorzucając do niej jakieś zioła. Szeptał zaklęcia, przykładając dłonie do śladu znaczącego użądłone miejsce, wspominał też, że ataki mogą się nasilać, kiedy będziemy coraz dłużej szli „pod Dziwką”.

Miał rację.

W pewnej chwili pomyślałem nawet, że choroba mnie zabije; trzęsło mną potwornie, wargi miałem suche, głowę zalewały brudne wizje, a gardło posłuszne sile mrocznej, innej niż mój własny umysł, wypowiadało słowa, jakich nigdy nie wypowiedziałbym, będąc w pełni władz mentalnych.

Ale wstałem!

Tylko po to, by zobaczyć, że Elah odszedł.

Uciekł.

Przed czym?

Zabrał wszystkie swoje rzeczy, to zrozumiałe, a także część prowiantu. Odszedł również z całym zapasem białej wody, jaki mieliśmy na dwóch. Nie mogłem odnaleźć mazidla i najlepszego z płaszczy ochronnych. Kilkadziesiąt srebrnych kul, karabin - to również

dopisałem do listy sporządzonej, by oszacować straty, podobnie jak resztkę kawy, zachowaną przeze mnie na moje własne potrzeby (większość i tak wcześniej wydałem elfowi). Na odchodnym zbił jeszcze lustro pozwalające na komunikowanie się z bazami Królikarni.

Ze zdziwieniem odkryłem, że pozostawił mi samochód. Przynajmniej to.

Dlaczego uciekł? - to naturalne w takich chwilach pytanie pozostanie bez odpowiedzi; mogę jedynie snuć domysły. Można przyjąć, że elf zląkł się zmian, jakie się w nim dokonują; wiedziałem przecież, że to żaden książe starszego ludu, skoro pracował dla ludzi jako najemny przewodnik, musiał być elfem upadłym, powiada się w tych stronach, że taki ktoś jak on, raz złamany - nigdy nie podniesie się do końca. Mogłem zresztą domyślić się tego wcześniej - te wszystkie słabostki: nałóg kawowy, złośliwości i pogarda, jaką żywił do innych istot (w tym do Trzynastego z Miotu, a nawet, domyślam się, do mnie), nadzwyczajna jak na elfa aktywność seksualna (może i nie chadzał do Karli, ale zwykłymi prostytutkami, jakich w mieście było pełno, nie pogardzał), wszystko to były drobne, lecz istotne sprawy, które w świetle Dziwki uległy wyostrzeniu, zostały wzmocnione prawie tak, jak gdyby widziało się je pod szkłem powiększającym. Pod Panną Rozpustną te przywary - w innych okolicznościach niegroźne - rzucały długi, złowrogi cień.

Gdyby czekał dłużej, nie pomogłaby mu ani biała woda, ani mazidło, ani płaszcze ochronne. Przestraszył się tego, kim mógł się stać, to dlatego.

Jednakże teoria ta nie tłumaczy wszystkiego - po pierwsze nie wyjaśnia, z jakich powodów odszedł wtedy, gdy leżałem złożony gorączką. Być może sądził, że tak znakomita okazja już się nie powtórzy (podróżowaliśmy wszak głównie nocą, tylko wtedy mógł uciec, chcąc skryć się przed światłem Dziwki). Równie dobrze jednak mogłem zostać przez niego uśpiony jednym z jego czarów lub ziół; co wydaje się rozwiązaniem zdecydowanie bardziej humanitarnym niż opuszczenie mnie podczas choroby (takie postępowanie mogło przecież oznaczać wyrok śmierci, a Elah - cokolwiek by o nim mówić - nie należał do istot okrutnych). Poza tym - jeśli chciałby się mnie pozbyć, zatrzeć ślady - najlepszym rozwiązaniem byłoby zabranie mi samochodu, czego nie zrobił. Ba, zostawiając pojazd, dał mi tym samym więcej szans niż samemu sobie - on uciekał z Południa na Północ na piechotę, ja wciąż dysponowałem niezłe spisującą się maszyną. Te wszystkie okoliczności przemawiają za tym, że na decyzji o ucieczce zaważyły meandry elfiej psychiki (których nie poznam nigdy) i jakiś gwałtowny impuls.

Prawie nic nie zapamiętałem z czasu, gdy leżałem powalony chorobą - wiem wprawdzie, że majaczyłem, ale co to było, nie mam pojęcia. Zastanawiam się więc, czy to nie ja sam dałem Elahowi powód? Czy podczas mojej choroby zobaczył coś, co go przeraziło? Coś, co kazało

spakować mu najpotrzebniejsze rzeczy i uciec, nie zważając na wcześniejsze zobowiązania? Użądlenie takie jak tamto zmienia ludzi, mówił kiedyś.

Czy ja się zmieniałem?

Innymi słowy - czy przestraszył się nie tego, czym może stać się on, lecz tego, w co przemieniam się ja?

To druga hipoteza wyjaśniająca jego rejteradę. I - jeśli miałbym być szczery choćby sam ze sobą - teza o wiele bardziej prawdopodobna.

Z NOTATEK (14) - O SPOŁECZNOŚCIACH POŁUDNIA

Kolejne dwa tygodnie po ucieczce Elaha podróżowałem samotnie, według map i tutejszych kompasów, nieniekpokojony przez nikogo. Nie znaczy to wcale, że tereny nadal pozostawały bezludne, przeciwnie, im dalej brnąłem w stronę Dziwki, tym więcej mijałem osad, wsi, miasteczek, miast - przez te dwa tygodnie spotykając większą liczbę Południowców niż przez całą dotychczasową podróż. Dopiero widok nieprzeliczonych jak na standardy tej rzeczywistości rzesz (a to przecież wciąż była strefa przygraniczna!) uświadomił mi, że zmiana, wielka zmiana w tym świecie, istotnie jest nieunikniona.

Wymusi ją nie magia, nie Armageddon, lecz demografia. Przez dłuższy czas zastanawiałem się, co decyduje o powodzeniu południowej strony globu. Przecież nie gospodarka; bieda tutaj aż piszczy, większość tubylców żyje w skrajnym ubóstwie, poniżej jakichkolwiek ziemskich norm. Ale kontrasty nie dotyczą jedynie relacji Ziemia - Trzeci Świat, nie, różnicę widać, nawet porównując Południe do Północy; większość mieszkańców Białej Wieży uchodziłaby w dziedzinach oświetlanych przez Wszetecznice za bogacza.

Może mentalność? - snułem domysły.

Południowcy istotnie mają zupełnie inną psychikę niż mieszkańcy Północy. Ci ostatni są nieufni, dają wiarę tylko tym, których znają, akceptują tylko to, z czym już wcześniej obcowali przez dostatecznie długi czas, z surową bezwzględnością karząc wszelkie odstępstwo od normy (bo przecież norma to esencja dobra, wyznaczana przez Matkę, jakiegokolwiek odchylenie czy to w wyglądzie, w zachowaniu, czy w sposobie myślenia sugeruje, że inna moc jest tam czynna). Na Południu jest inaczej. Zasadniczo dla autochtonów nie ma znaczenia, że jestem „stamtąd” (przy czym to „stamtąd” oznacza nie Białą Wieżę, lecz Ziemię). No, oczywiście, muszę mieć się na baczności, bo mój majątek stanowi dla Południowców łakomy kąsek, lecz nie

dostrzegłem pośród nich otwartej wrogości tylko dlatego, że inaczej wyglądam, mówię, że nie jestem stąd. Podczas podróży wielokrotnie rozmawiałem z prostymi tubylcami: rolnikami, handlarzami, szynkarzami, a nawet z Łowcami, pytając o dalszą drogę - żaden się nie skrzywił na mój widok, nikt nie próbował mnie zatrzymać czy obrabować. Czy taka jest ich natura? Czy ci, których uważałem za wrogów, w rzeczywistości są lepsi niż bezwzględni, bezlitośni dogmatycy z Północy o białych twarzach? A może rzeczywiście, tak jak powszechnie sądzi się tutaj, Biała Wieża zasługuje na zniszczenie, Matka musi zgasnąć, a Dziwka zalać cały glob swym czerwonym blaskiem, by zapanowało szczęście? Może to namiestnicy zasiadający na białym tronie zasługują na śmierć?

Wiem, jak wyjaśniłby brak ataków na mnie Elah: że to przez dłoń, przez siedem długich palców, bo od pewnego czasu przestałem je wstydliwie ukrywać. Że nikt z Północy na Południu nie przetrwa zbyt długo, prędzej czy później wpadnie w oko sługom zła, rozpusty, wszeteczeństwa; a jeśli cię nie ruszają, to dlatego, że mają cię za swojego.

Że mają cię za Czarownika.

Odegnałem szybko tę myśl, wracając do rozważań o możliwych przyczynach wojennych niepowodzeń Południowców.

Może wynika to z braku organizacji? Na Południu panuje bowiem polityczny chaos, miasta rządzą się samodzielnie, ba, zdarzają się nawet wolne wsie (choć te ostatnie - przynajmniej - trafiają się rzadko, większa część populacji wiejskiej to niewolnicy pracujący na panów zamkniętych w wysokich niedosiężnych wieżach). Organizacja zresztą - a raczej jej brak - to prawdziwa pięta achillesowa tutejszych; namiestnicy z Białej Wieży powinni dziękować opatrności, gdyby cały ów żywioł, wszystkie te śniade, różnokolorowe i różnorasowe miliony, zjednoczone, ruszyły na Północ, klęska Białej Wieży byłaby przesądzona. Lecz taki obrót wypadków jest mało prawdopodobny; tutejsi wolą walczyć między sobą, o swój mały kawałek podłogi, wolą toczyć ciągnące się przez pokolenia spory graniczne i honorowe, rozgrywać swoje małe wendety, palić sąsiadów za grzechy, jakie ich przodkowie popełnili kilkadziesiąt lat wcześniej. Sądzę, że w ostatnich latach, mimo wojny toczonej z siłami Północy, więcej Południowców padło w tych lokalnych potyczkach, zatargach i starciach.

Wojna toczona z siłami Północy, tak.

Lecz sprawą ciekawą jest, kto ją toczy - otóż są to nieliczni, ci lepiej zorganizowani, ogarniający większe połacie terenu i o władnięci żądzą władzy. Najczęściej, mówi mi jeden z tutejszych rolników - centaur, na moment zaprzestając ciągnięcia pługa - to są magowie lub wiedźmy. Spogląda przy tym niechętnie w stronę konturu turmy górującej nad okolicą, spluwa.

Kiedyś, wzdycha, mieszkańcy tych wież to może i byli ludzie, elfy, krasnoludy, centaury, tacy jak my, ale pod wpływem magii zmienili się w demony. Stary rolnik o wytartej od rzemieni przytrzymujących pług sierści ponownie spluwa na suchy piach, a ja rozumiem go doskonale - na wojnie z Północą stracił sześciu synów, niczego zaś nie zyskał; pracuje tak, jak pracował, a tylko kontrybucje „na wieżę” się zwiększyły.

Jednocześnie jednak ta wojna wydaje się z perspektywy Południowców koniecznością - jest ich zwyczajnie zbyt wielu, półkula obecnie będąca w ich władaniu nie wyżywi tych tłumów, nie pomieści.

Ale dlaczego ma nie wyżywić? Przecież są tutaj tysiące tysięcy hektarów, nie tylko siał, uprawiać, orać, zbierać. Widziałem olbrzymie połacie łąk: niezagospodarowanych, leżących odłogiem, stanowiących raj dla dzikich stworzeń, a obok, dzień jazdy stamtąd, wielkie miasto, ledwie dyszące, skręcające się z głodu, toczy własną krew, by się wykarmić, niczym skandynawski Uroboros pożera swój własny ogon.

Więc może brakuje rąk do pracy?

Nie, oczywiście nie brakuje. Rąk jest aż nadto, niektórzy mają ich trzy, inni cztery, wielu dwie - Południe oferuje tutaj dużą różnorodność, deformacja to cecha konstytutywna wszystkich istot żywych, zasypiających i budzących się pod Dziwką, a Panna Rozpustna sprzyja też przyrostowi naturalnemu, który - jeśli wierzyć statystykom prowadzonym przez Królikarnię - jest kilkunastokrotnie wyższy niż na Północy. Tyle że te ręce, te dłonie nie garną się do pługa, radła, do ziarna na siew i do żarna. Nie, południowe ręce garną się do żelaza: choćby do najmarniejszego noża, do tępego topora, do włóczni; czy też bardziej współcześnie: do karabinów (jeśli komuś uda się je kupić od nielegalnych handlarzy przemycających broń palną z Północy), do samopałów samoróbnych, bardzo tutaj, w kraju Wszetecznicy, popularnych, do domowej roboty materiałów wybuchowych, do czarów obojętniających, zapalających, paraliżujących, zabijających, deformujących, czarów zadających cierpienie, czarów zniewalających, mylących drogę, ogłupiających. W tym względzie Południe wykazuje nadzwyczajną inwencję - prawie że dorównującą tej demonstrowanej przez przybyszów z Ziemi. Podczas gdy inne dziedziny życia kuleją, wytwornictwo broni i wszelkich przyrządów służących do wojowania kwitnie. Huczą kuźnie, wyrabiające złowrogie artefakty, dymią huty, przetapiając metal na zbroje i miecze, wycina się olbrzymie przestrzenie lasów, by wybudować okręty wojenne, pożytkuje się całą moc płynącą od Dziwki na to, by doskonalić siebie i swoje wyposażenie w sztuce zadawania śmierci. I to często samym sobie; wciąż tylko wojny, spory, utarczki wewnętrzne! W głowach tutejszych co rusz pobrzmiwają pytania - kto winien? Kto ma rację? Kto chce nas urazić? Kto krzywo spogląda?

Kogo jeszcze można złupić z jedzenia?

Podróżując przez krainę Dziwki, łapię się czasem na myśli, że tkwi tutaj niezmierny potencjał! Gdyby wszystkich zebrać, zorganizować, zaprząć do jednej dobrze działającej maszyny państwowej - któż by się przeciwstawił? Tym nieprzeliczonym zbrojnym tłumom, tej magii, wielokroć potężniejszej od łagodnych i wyglądających nieco dziecinnie czarów Północy? W jeden miesiąc ta zabiedzona, zwaśniona i kipiąca frustracją kraina wyleczyłaby swój kompleks niższości wobec ludów zamieszkujących zimną półkulę.

Tylko brakuje przywódcy, brakuje kogoś, kto podniesie sztandar, nie ma wśród Południowców kogoś, kto widziałby dalej niż granice swojego panowania. Rozleniwia ich magia, ten wytrych, jakiego używają w stosunku do rzeczywistości, ta droga na skrót, odcinająca ich od drogi do prawdziwej chwały. Południowcy „nie potrafią”. Choć podskórnie wyczuwają swoją niemożność, choć niektórzy, co bardziej ambitni, chciwi i krwiożerczy, zdają sobie sprawę, że można byłoby poczynić sobie lepiej - nie potrafią. Zatracili zdolność radzenia sobie z trudnościami, zatracili zdolność wykorzystywania możliwości. Jeśli rzeczywiście Południe zatriumfuje nad Północą, stanie się to POMIMO działań wyznawców Rozpustnicy, nie dzięki nim.

No, chyba że objawi się Czarownik. Zaczynam rozumieć, dlaczego tak powszechnie się tutaj na niego czeka.

Jest potrzebny. Stanowi konieczność. Niezbędny element układanki. Klocek z rozsypanego na podłogę pudełka, gdzieś zagubiony, przez co nie można nic zbudować, bo właśnie ten jeden element jest kluczowy. Trybik, bez którego nie ruszy maszyna.

Czarownika bardzo na Południu brakuje.

Z NOTATEK (15) - ZAPISKI LUŻNE

Już ponad miesiąc, odkąd podróżuję sam. Nie używam mazidla: skończyło się. Nie piję białej wody: zabrał ją Elah. Nie wkładam płaszcza ochronnego: jest mi w nim zbyt gorąco, niewygodnie, nadto drażni on moją skórę. Nie korzystam z zapasów żywności z Białej Wieży: przestały mi smakować, kilkakrotnie po nich wymiotowałem i musiałem przerywać podróż - zamiast nich jem to, co uda mi się zdobyć tutaj, osobliwie smakuje mi mięso tutejszych zwierząt, najlepiej surowe.

No i krew. Tylko kiedy ją piję, mogę ugasić pragnienie (w tych rejonach jest piekielnie

gorąco).

Przed pierwszym łykiem wzdragałem się, bo, wiadomo, krew, picie, wampir - naszych wzorców kulturowych nie da się zbyt prosto dopasować do rzeczywistości Trzeciego Świata. Jednocześnie jakaś część mnie wiedziała, że właśnie tego potrzebuję, że tylko w ten sposób przytlumię buzujący w trzewiach płomień. Nie przestawałem więc pić.

Już się nie wzdragam.

Nie używam gogli, chroniących wzrok przed promieniowaniem Dziwki: wkładając je, znacznie gorzej widzę (zupełnie, jak gdybym spoglądał na świat przez zamazane osadem dno butelki), dodatkowo paski, zrobione ze skóry owiec hodowanych na stokach Północy, cisną mnie w skronie, a raz nawet przypaliły mi skórę na czole i uszach.

Poza wszystkim świat oglądany bez tych przeklętych gogli wygląda znacznie lepiej.

Nie korzystam też z kapelusza mającego chronić mnie przed plugawym światłem Wszetecznic; pewnego dnia spłonął, sam z siebie, pozostała po nim kupka popiołu.

Zresztą teraz to światło, przed którym niby to mam się chronić, wcale nie wydaje mi się plugawe. Nie korzystam więc z rady Elaha, by podróżować nocą: mimo że promienie Panny Plugawej są ostre i gorące, ciągnie mnie do tego blasku, jak gdyby moja skóra potrzebowała ciepła, jakie dają tylko krwiste promienie Rozpustniczy.

Wczoraj skorzystałem z kałasznikowa - konałem z głodu i pragnienia, w okolicy nie było żadnej zwierzyny, ale nad bagnami kołowało kilka młodziutkich wił. Wyglądały jak anioły, piękne i smukłe, choć słyszałem, że bywają bardzo niebezpieczne, a część przewodników po Legendach nie zalicza ich do istot inteligentnych. W Trzecim Świecie wiły działają trochę tak jak syreny przeniesione na ląd - zorganizowane w gromady, swą urodą i głosem obezwładniają przybyszów po to, by okraść ich i zabić. Nie chciałem czekać na podobny rozwój wypadków, poza tym naprawdę bardzo chciało mi się pić.

Ich krew była dziwna - brązowa, ciepła, pachniała bagnem. Mimo wszystko smakowała.

Wczoraj przeszedłem kolejny atak choroby.

Był inny niż poprzednie: wystąpiła gorączka i dreszcze, wystąpiły wizje, lecz tym razem nie czułem się tak słaby jak wcześniej. Mogłem - wciąż! - chodzić, mogłem swobodnie oddychać, a w pewnych chwilach, wtedy gdy krwawe wizje ustępowały, mój umysł odzyskiwał jasność, choć może słowo „odzyskiwał” nie jest najlepszym określeniem, lepiej byłoby rzec „uzyskiwał”; z jakichś przyczyn moja sprawność umysłowa w tych momentach wzrastała do poziomów, o jakich na Ziemi czy w Białej Wieży nie mógłbym nawet marzyć. Czułem, że

jestem tuż-tuż od rozwikłania tajemnicy mojej podróży (dopiero wtedy pomyślałem, że może kryje się w tej peregrynacji jakaś tajemnica, wcześniej postrzegałem wyjazd jedynie jako kolejną reporterską podróż). Niestety, atak trwał zbyt krótko, przebliski mojej nowej świadomości utrzymały się ledwie przez kilka minut. Następnym razem!

Od kilku tygodni - a bardziej precyzyjnie od momentu, kiedy przeszedłem przez Most - dręczy mnie pytanie, jaki jest prawdziwy cel mojej wyprawy. Tam, w administracji, w sztabie, w Królikarni musieli przecież wiedzieć, jak wyglądają realia. Musieli zdawać sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie wrócę - a jeśli bym przypadkiem wrócił i jakimś cudem przemycił na Ziemię notatki, napiszę o rzeczach, które polski rząd, Królikarnia i wiele korporacji chciałyby ukryć przed światem.

A jednak puścili.

Podpisali wszystkie potrzebne zgody w kilka minut (mimo że wcześniej podanie leżało przez półtora roku w jednym z urzędów i nikt się nie kwapił, by się nim zająć). Wyposażyli w środki i sprzęt. Dali przewodnika.

A przecież wiedzieli, w którą stronę pojedę. Wiedzieli, jakie są moje zainteresowania, czytali poprzednie reportaże.

Więc dlaczego?

Dlaczego?

Na Dziwkę, dlaczego?

???

Moja dłoń - ta z siedmioma palcami - zachowuje się dziwnie. Spostrzegłem to rano, następnego dnia po kolejnym nawrocie choroby, lecz wtedy pomyślałem sobie: przywidzenie, gorączka.

Lecz nie, nie jest to przywidzenie. Tracę kontrolę nad częścią własnego ciała. Dłoń wykonuje dziwne gesty, układa z palców rozmaite figury, po opuszkach palców błąkają się czerwone płomienie. Wszystko to przypomina do złudzenia Elaha, kiedy próbował rzucać czary za pomocą gestów dłoni (na własne potrzeby nazwałem to mudrowaniem), z kilkoma wszakże różnicami. Przede wszystkim - po palcach elfa przeskakiwały białe błyski, nie czerwone. Po drugie gesty, jakie wykonuje moja dłoń, są znacznie bardziej skomplikowane, układają się w dłuższe ciągi. Po trzecie wreszcie elf wspominał, że ta metoda czarowania jest piekielnie trudna i mogą jej używać jedynie osoby niezwykle biegłe w magii, gdy tymczasem ja byłem kompletnym laikiem.

Moja dłoń najwyraźniej nie. Wyglądała tak, jak gdyby przypominała sobie od dawna nieużywane układy. Zgięcie palca wskazującego, połączone z ruchem kciuka - ptak przelatujący nade mną spada z nieba. Zetknięcie czterech palców - stojący mi na drodze kamień odchodzi dostojnym krokiem, usuwając się na pobocze.

Ale to moja dłoń, to ona, ONA! - ja w żaden sposób świadomie nie potrafię tego kontrolować.

Koszmar.

Kiedy to wszystko się dzieje, podróżuję przez bagna, wdycham wyziewy gazów, jakich nie ma na Ziemi, jem tutejsze owoce. To halucynacje, myślę, spoglądając na swoją dłoń. To przywidzenia.

Ta myśl uspokaja, uspokaja na tyle, że mogę pisać, że mogę sięść do notatek, że przestaję dygotać wewnątrz, że odzyskuję kontrolę, przynajmniej nad prawą dłonią. Halucynacje, obłąd, jakie to uspokajające.

Tak, tak.

Chcę, żeby to halucynacje. Żeby były.

Czuję się, że się dzieje się ze mną coś niedobrego.

Pomocy.

Pomo.

Cy.

Po.

Mo.

Poco.

Lewa dłoń się uspokoiła, ja też. I to mimo myśli, jaka dotarła do mnie, kiedy minęły te przeklęte zwidy, a ja znów potrafiłem trzeźwo myśleć.

Wiem już, że nie wrócę na Ziemię.

Nie zdążę. Jestem sam, brakuje mi żywności, jadę po drogach, których nie ma na mapach, według moich obliczeń minęło już ponad pięć miesięcy, odkąd postawiłem pierwsze kroki w Trzecim Świecie, a ja nawet nie zacząłem wracać.

Nie zdążę wrócić. Nie wiem, którędy wracać. Nie mam możliwości powrotu. Zresztą nie wiem, czybym chciał. Trzy dni temu skończyło mi się paliwo. Na pustkowiu, pośród piaskowej równiny, na którą wjechałem na pełnym gazie, nie zastanawiając się - bo wiedziałem (skąd?): do Antymiasta tylko tędy. Silnik zarzęził, kaszlnął, chrząknął paskudnym dźwiękiem

długotrwałego palacza z rakiem krtani - i zgasł. Bak pusty, puste kanistry. I na dodatek brakuje żywności. Stałem tak, spoglądając w suche przestrzenie, w falujące powietrze, prosto w oczy śmierci z głodu i pragnienia.

Po czym zdałem sobie sprawę, że odzyskałem władzę w lewej dłoni.

Skończyła mi się ropa, tak. Wcześniej bym się tym przejął. Ale teraz wystarczyła tylko krew; niezbyt dużo krwi, nóż przejechał po wierzchu prawej dłoni, czerwona ciecz na masce, czerwone światło, czerwono robiło mi się przed oczyma.

Więc krew.

I mudry - skądś (nie wiem skąd) wiedziałem które.

Pamiętam to. Pamiętam ten dreszcz. Drżenie. Iskry na palcach.

Pamiętam, jak włosy na przedramionach stają dęba.

Jak silnik wznawia pracę.

Jak jadę dalej.

Bez paliwa.

ZE ZBIORÓW (7) - PESTKI

Małe, brązowoczarne nasiona są stosunkowo świeże. Ile czasu minęło, odkąd żulem soczysty miąższ, słodki sok spływał mi po brodzie i na wszystkie strony plułem podłużnymi pestkami jabłek?

Dwa tygodnie?

Trzy?

Mgnienie oka?

A może to się dopiero zdarzy?

W momencie, w którym napotkałem drzewa noszące te owoce, czas wydawał mi się nie linią, ale wielkim, rozciągającym się we wszystkie strony oceanem. Ziemskie poczucie czasu, pozwalające twardo trzymać się na nogach, zatraciłem znacznie wcześniej.

To przez tę przekłętą drogę, piekielną trzecioświatową autostradę. Od wielu dni podróżowałem nią: bez jedzenia, przez okolicę dziką, choć piękną, po wybojach, donikąd. Drogą tą nie jechał nikt prócz mnie; zupełnie jak gdyby otwarła się tylko, by zrobić mi przejazd. Nie miałem możliwości, by kogokolwiek poprosić o jedzenie, pomoc. Żeby zapytać o to, dokąd dalej.

Zresztą tutaj, na dalekim Południu, jeśli ktokolwiek by się zatrzymał, to nie po to, by mi pomóc.

Nie zatrzymywałem się. Właśnie ten trakt prowadził do Antymiasta. Ten i żaden inny. Jeśli zaufać informacjom zebranych przeze mnie podczas podróży, trudno odnaleźć właściwą trasę, co przejawia się nawet w popularnych powiedzeniach w rodzaju „nie wszystkie drogi prowadzą do stolicy Południa”. A ja mimo wszystko byłem przekonany, że wybrałem właściwie.

Skąd ta pewność?

Dobre pytanie. No właśnie.

Elah, kiedy jeszcze podróżował ze mną i razem studiowaliśmy mapy, opowiadał się za innym szlakiem, twierdząc, że ten kierunek jest nazbyt oczywisty, a przecież siłą ludów Dziwki jest przebiegłość i oszustwo, kłamstwo i fałsz. Z pewnością, mówił, tkwi w tym podstęp. Wodził palcem po węzłach szlaków na mapie, dodatkowo wskazując, że trasa, którą ostatecznie i tak obrałem, okaże się najtrudniejsza.

Pamiętam tę mapę, oczywiście, że tak. Gdyby ją wziąć do ręki, gdyby pochylić się nad nią, nanieść moją aktualną pozycję, nanieść ten dziwny gaj, pełen soczystych owoców, okazałoby się, że wyrysowany szlak już się skończył, że jadę przez bezdroża. A ja i tak wiedziałem, że to droga właściwa.

Tylko dlaczego tak pusta?

Żadnych osiedli, żadnej zwierzyny, żadnych rzek przez wiele, wiele kilometrów. Będzie brakowało jedzenia, ostrzegął Elah. I to akurat się potwierdziło.

Żadnych miejscowości.

Żadnej zwierzyny.

Żadnych rzek.

Żadnych jadalnych roślin.

Szalałem z głodu.

Kiedy więc trafiłem na sad, pierwsza myśl, która mi przyszła do głowy, była taka, że oto nagroda za mój trud.

Sad - choć chciałoby się, nie całkiem ściśle, powiedzieć: las, lub może gaj, bo przecież nikt się tymi drzewami nie zajmował, nikt o nie nie dbał - rósł przy drodze, niedaleko wypalonego przez Dziwkę na popiół traktu, opuszczony i spokojny. Zagadką pozostawało, w jaki sposób w tym miejscu mogła istnieć tak bujna i kwitnąca roślinność? Skąd brała wodę (w promieniu wielu kilometrów nie widziałem nawet źródła)?

Czy ktoś te drzewa pielęgnował? Choć dookoła nie było żywej duszy, żadnych

zabudowań, ba, nawet szałas czy lepianki, czegoś dającego schronienie opiekunowi tego miejsca, zagłębiając się między drzewa, miałem wrażenie, że wchodzę do ogrodu dopiero co porzuconego przez ogrodnika. A kiedy już brnąłem między obwieszonymi ciężkimi owocami drzewami, nie wierzyłem w to, co widzę.

Na Ziemi jeden zbiór z tego sadu oznaczałby niewyobrażalny majątek. Zapłata za jedno jabłko starczyłaby na dobre mieszkanie. Słyszałem o imprezach dla obrzydliwie bogatych biznesmenów, podczas których dzielono owoc - jeden owoc! - na kilkadziesiąt drobnych kawałeczków, porcja na gościa (i to tylko jeśli należało się do ścisłej elity).

Owoce z drzewa wiadomości dobrego i złego, tak je nazywano.

Mówiono, że są zakazane.

I - przede wszystkim - skuteczne. Nie udało się znaleźć kogokolwiek, kto oparłby się ich wpływowi, i tym sztywnym, zawsze correct, z pozoru niedostępnym puszczały wszelkie hamulce, po kilku chwilach od spożycia rozpoczynała się rozpasana orgia. Biorąc pod uwagę, że nawet mały kęs dodawał sił, wzmagał moce witalne, a z drugiej strony potęgował doznania - owe uczty (nazywane ucztami złych i dobrych wiadomości) trwały do białego rana. Siłę działania jabłek najlepiej ilustruje dowcip (lub sabotaż, kogo stać na tak kosztowne żarty?), jaki ktoś zrobił w klasztorze franciszkanów. Nie wiadomo, w jaki sposób owoc trafił do sałatki, która stanowiła posiłek trzydziestu zamieszkujących w klasztorze braci - zniewoleni przez moc jabłka rzucili się na siebie, zadzierając sutanny i odsłaniając to, co kryło się pod nimi, i oddając się temu rodzajowi seksu, którego Kościół katolicki chyba nigdy nie zaakceptuje.

I to wszystko dzięki jednemu małemu jabłku! Przede mną zaś rozpościerało się morze drzew, wielkie czerwone kule oblepiały gałęzie gnące się pod tym ciężarem tak, że prawie sięgały trawy. Gdybym miał ciężarówkę, załadował choć jeden transport i przewiózł to wszystko do Polski, przez rabbithole, zostałbym bogaczem.

Gdybym z kolei spojrział na całą sytuację tak, jak widział ją mieszkaniec Północy lub Ziemi, któremu przed oczyma w zalewie wszechogarniającej szarzyzny znikąd pojawia się zielony sad, sad pełen zakazanych, złych jabłek, kuszących swoim nadmiarem, wabiących nienaturalnie silnym aromatem, agresywną czerwienią skórki, fałszywą zielenią, powiedziałbym bez wahania: pułapka, sprawka Dziwki, wytwór złej magii.

Jednak w tamtej chwili nie kalkulowałem, nie dokonywałem obliczeń, jaki to majątek mam przed sobą, i nie obchodziło mnie, czy to pułapka, czy nie.

Byłem po ludzku głodny.

Sięgnąłem po jabłko bez namysłu, odruchowo, jak gdyby leżało na paterze w moim warszawskim mieszkaniu.

Było słodkie, sok pociekł mi po policzku, i - rzeczywiście - dodawało sił, choć nie poczułem nagłego impulsu zmuszającego do rozładowania seksualnych emocji. Myślę wręcz, że ci, którzy tak twierdzili, potrzebowali po prostu pretekstu, wymówki dla realizacji zachcianek w nich drzemiących - jabłko stanowiło zaś wymówkę perfekcyjną. Ja po prostu chciałem zaspokoić głód.

Ale ciepły soczysty miąższ dał coś nadto.

Wiedzę. Zrozumienie. W tym sensie nazwa tych drzew i owoców okazała się w pełni uzasadniona - drzewa wiadomości dobrego i złego, tak.

Więcej - zdecydowanie więcej - było złego.

Chyba po raz pierwszy poczułem wtedy, że - nareszcie - pojmuję Trzeci Świat: tutejszą logikę, obyczaje, legendy, konflikty, układ sił, oplatające mnie intrygi, cel mojej podróży.

Zasłona spadła, oczy mi się otworzyły.

I zobaczyłem przed sobą Antymiaasto.

Część piąta

CZAROWNIK

I żyli długo i szczęśliwie aż do końca.

*„Śpiąca Królewna”,
w „Baśnie dla dzieci” ./ i W. Grimm*

ZZA OKNA - MIASTO, KTÓREGO NIE MA

Wyglądając przez okno wieży, stanowiącej obecnie moje mieszkanie, często zastanawiam się, jak zareagowali ci wszyscy pochyleni nad monitorami komputerów (ludzie Królikarni) i kadziami białej wody (magowie Białej Wieży). Kilka miesięcy zmudnych obserwacji, wiele, bardzo wiele nieprzespanych nocy, problemy z krążeniem i z sercem spowodowane hektolitrami napojów energetyzujących, wszystko podporządkowane frustrującemu śledzeniu jednego, czerwonego punktu na interaktywnej mapie.

Punktu, który nagle zniknął.

Czy byli zdziwieni? Wściekli? Zawiedzeni? A może wręcz przeciwnie, może właśnie na coś takiego czekali - choć w to wątpię, sądzę raczej, że plan przewidywał co innego. Idę o zakład, że sztabowcy założyli następujący bieg zdarzeń: przemierzam Południe, docieram do stolicy stolic, do miejsca, gdzie jest tron Panny Wszetecznej - i tam zostaję. Bądź to jako więzień, bądź też, co jest bardziej prawdopodobne - zważywszy na czas, jaki przebywałem w świetle Dziwki - jako jeden z oddanych sług i wyznawców Rozpustnicy. A gdy już docieram do miasta Nierządniczy, wyzwala się algorytm zakłęcia - tego, które wszczepili mi w serce, a w kilka chwil Biała Wieża i Królikarnia wiedzą już - Antymiaasto jest tam a tam.

Naiwność.

Tam, gdzie się obecnie znajduję, nie działają te ich, pożałuj Boże, zakłęcia.

Bo gdzie jest Antymiaasto? Czy można je pojmować tak, jak czynią to stratedzy generała Wdowiaka i mędracy Białej Wieży? Południowcom udało się oszukać nawet elfy; bo przecież i starszy lud twierdził, że Antymiaasto to jeden, konkretny punkt na mapie, jakaś nieodkryta dotąd plama na południowej półkuli, skrzętnie ukryta kipiąca życiem aglomeracja.

Na ich usprawiedliwienie dodam, że sam tak myślałem. Do momentu, kiedy nie zrobiłem pierwszego kroku na schodach, jakie zobaczyłem, otarłszy usta ociekające sokiem wiadomości dobrego i złego.

Lecz jest to przekonanie błędne, w czym utwierdza mnie spojrzenie przez okno - jeśli spojrzę w jedno, to wychodzące na północ, zobaczę, całkiem wyraźnie, Białą Wieżę; ujrzę fortyfikacje, jakie powstają dookoła niej, pokażą mi się też czarne, wpółotwarte ślepie silosów raketowych, jakie powstały tuż po moim wyjeździe na Południe.

Antymiaasto, tak. Już sama nazwa powinna podpowiedzieć im, że nie można o nim myśleć

w tych samych kategoriach, jakimi posługujemy się w stosunku do każdej innej miejscowości. Dla sztabowców, zgromadzonych w zadymionych pokojach, przesyconych zapachem zimnej kawy i rozgorączkowanych głów Antymiaasto to tylko metropolia, wielka, ważna i dobrze ukryta, lecz wciąż metropolia - tak samo podatna na bomby atomowe, jak wszystkie pozostałe miasta. Sądzę, że trudno byłoby im wytłumaczyć, że Antymiaasto to po prostu inny - wyższy - poziom istnienia w Trzecim Świecie. Lecz żeby to zrozumieć, cóż, trzeba by przyswoić sposób myślenia tutejszych. Naprawdę przyswoić, a nie tylko wykorzystać. Trzeba by zrozumieć, że ta cała magia, te wszystkie cudowności to tylko cień skrzydeł orła szybującego nad pustynią.

Dlaczego stratedzy Królikarni wybrali akurat mnie?

Pozostaje mi tylko zgadywać. Być może powodem stała się opinia, jaką cieszyłem się po odbyciu wielu podróży do rozmaitych Legend; mówiono o mnie, że dotrę dalej, zobaczę więcej niż ktokolwiek inny. Że nie przerywam podróży, dopóki nie osiągnę celu. Wszystko to zresztą - przyznam bezkrytycznie - było prawdą.

Ostatnia nadzieja białych, myślę, wydymając usta w pogardzie. Bo wszystko jest już jasne. To, dlaczego nagle rozpatrzono moje podanie i dano zezwolenie na wjazd do Trzeciego Świata. To, dlaczego tak hojnie mnie potraktowano, dlaczego udzielono szerokich pełnomocnictw i wyposażono najlepiej, jak to tylko możliwe.

Chodziło o to, by namierzyć. By podać współrzędne.

Więc w owej krytycznej chwili, gdy czerwony punkcik znika z map - i tych elektronicznych, i tych metafizycznych - pierwszą reakcją obserwujących musi być szok i rozczarowanie. Bezradność.

Ktoś - zapewne - mówi, głosem drżącym ze zdenerwowania: tego nie było w planie.

Ale przecież wiem, co zrobią. W miejscu, w którym się znalazłem, trudno mi orzec, czy decyzja już została podjęta, czy sztab jeszcze obraduje (czas wygląda teraz inaczej, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość mieszają się i łączą), lecz to, co z tych obrad się urodzi, jest dla mnie jasne jak promienie Panny Rozpustnej spoglądającej teraz na mnie z bliska przez jedno z okien.

Jasne jak rozbłysk, który niebawem rozjaśni niebo Trzeciego Świata.

Atak. Na miejsce, gdzie zniknąłem. Bezładne pustkowie stanie się więc świadkiem największej eksplozji nuklearnej w dziejach.

A to i tak Białej Wieży nie pomoże. Nie przez przypadek zakazane drzewa rosły w miejscu oddalonym o setki kilometrów od ludzkich siedzib. Nie przez przypadek właśnie tam Antymiaasto otworzyło przede mną swoje bramy.

Do niedawna nikt tutaj nie mieszkał; cała ta podniebna siedziba czekała, trwała w półśnie, nie martwa - bo to miejsce nigdy nie jest martwe; o ile zdążyłem je poznać, ma własną

inteligencję (choć nie wiem, czy świadomość) i oddziałuje na rzeczywistość. Wszystko zaś przepełnia moc, moc biorąca się z czerwonej kuli, wiszącej nad horyzontem.

Zabawne, że i Północ dysponuje podobną rezydencją. Też stoi opuszczona, niezamieszкана, czekająca na swojego pierwszego - i jedyne - lokatora. Gdyby to w oknach, które mogę dostrzec, wychylając się z fotela, pojawił się jakiś mieszkaniec, wówczas losy Trzeciego Świata mogłyby potoczyć się inaczej. Wielka, podobna do mojej struktura wyrasta z chmur tuż nad Białą Wieżą, co pozwala sądzić, że wejście ukrywało się gdzieś tam. Naprawdę blisko.

Ale to miejsce nie doczeka się już mieszkańca.

Nie pozwolę na to.

Gdyby Północ nie szła na wojnę - to kto wie? Przecież wiedza o Mieście w Chmurach funkcjonowała: w pieśniach, tutejszych baśniach czy na ścianach starych budowli można odnaleźć ślady. Myślę jednak, że lud Północy zbyt zawierzył cudom, jakie przyszły z Drugiej Strony, z Ziemi. Zbyt się wsłuchał w terkot kałasznikowów, w miarową pracę silników, w łomot eksplozji powodowanych przez granatniki. To była pycha: sądzić, że można osiągnąć zwycięstwo, łamiąc reguły danego świata, za pomocą asów z zupełnie innej talii.

Więc za to zapłacą.

Antymiasto daje nieograniczone możliwości - skraca drogi, uniezależnia od uciążliwego upływu czasu, daje kontrolę nad kumulowaną przez wieki mocą. Cokolwiek przywiozą tutaj moi rodacy, cokolwiek by chcieli odpalić - na nic. Już na nic.

Kiedy widzę, że z silosów raketowych, otoczone biblijnym ogniem i dymem, wynurzają się głowice raket, pojmuję, że mój los się wypełnił. Podobnie jak przeznaczenie Trzeciego Świata. Czekam jeszcze jakiś czas, aż pociski wzbiją się w powietrze, jeszcze daję im złudną nadzieję, jeszcze kilku być może zdoła się wycofać przez portale - po czym jedną zdecydowaną myślą zmieniam tor lotu wszystkich pocisków.

Wyglądając przez okno mojej turmy, która ma ściany koloru zawsze stojącego w opozycji do bieli - widzę, że Matka przygasa, słabnie, blednie.

Palcem rysuję linię na nieboskłonie; mieszkańcy Trzeciego Świata jeszcze tego nie widzą, ale niebawem odczują skutki.

Niebawem trajektoria Matki zmieni się nieodwołalnie, a cały glob zaleje czerwone światło. Nad Trzecim Światem gęstnieją ciemności nocy.

FOTOGRAFIA 13 - LUSTRO

Ostatnia z fotografii, jakie mam przed sobą, rozłożonych bezładnie na stoliku, jest inna niż wszystkie pozostałe. Kameralna, nie przedstawia żadnej panoramy, nie wychwytuje szczegółów, nie pokazuje trudów życia prostego ludu zamieszkującego Trzeci Świat, nie jest też dokumentem jakiegoś szczególnie ważnego wydarzenia historycznego. Mimo to jest ona najważniejsza. Dla mnie. Dla Trzeciego Świata.

To portret.

Zdjęcie nie jest wyraźne, nigdy nie byłem zbyt dobrym fotografem, a sfotografować lustro jest nie lada sztuką - zwłaszcza gdy lustro nie jest zbyt dobrej jakości, kiepskie i wybrakowane, zostało tutaj dostarczone przez jedną z tych niezliczonych firm handlujących z Legendami tym, czego nikt nie kupi na Ziemi. Są więc na lustrze rysy, tafla jest brudna, nakrapiana i jakby przydymiona - ale tutaj i tak uchodzi za przejaw luksusu. Zwłaszcza na Południu.

Mimo tych zastrzeżeń natury technicznej widać wystarczająco wiele, by zorientować się, co mam przed oczyma. Te same ostre rysy, ten sam nos, ta sama, agresywnie zaciśnięta kreska ust - widziałem tę podobiznę nie raz i nie dwa.

Prawdę mówiąc, widywałem ją codziennie. Potrzebny był jednak owoc z drzewa wiadomości. Musiała z moich oczu opaść zasłona.

A przecież chciałem być pierwszym, który wbijając wzrok w ciemność, zobaczy to oblicze. No więc widzę.

Uważajcie, o co prosicie, bo może się to spełnić.

Zdjęcie przedstawia twarz Czarownika.

Moją twarz.

KONIEC

Wrzesień 2008 - sierpień 2009